

KAZIMIERZ WYKA

---

# Życie na niby

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

KAZIMIERZ WYKA

# *Życie na niby*

SZKICE Z LAT 1939–1945

# Spis treści

Wstęp . . . . .	4
O świecie . . . . .	6
Dwie jesienie . . . . .	14
Gospodarka wyłączona . . . . .	45
Historia trzech godzin . . . . .	66
Haus Kressendorf w hrabstwie tęczynskim . . . . .	71
Miecz Syreny . . . . .	79
Faust na ruinach . . . . .	83

## WSTĘP

Lata okupacji hitlerowskiej spędziłem prawie bez przerwy w rodzinnym miasteczku Krzeszowicach, podówczas siedzibie generalnego gubernatora Hansa Franka, o „zgermanizowanej” *ad hoc*<sup>1</sup> nazwie — Kressendorf. Po polsku znaczy to — Rzeżuchowo. Od rośliny i kwiatu rzeżuchy.

Małe miasteczko, trochę mieszczańskie, trochę proletariackie, trochę jeszcze wiejskie, tuż przy granicy Rzeszy, było wyjątkowo dogodnym miejscem dla tzw. (dzisiaj) wyjazdu w teren. Wszystkie te lata były jednym wielkim wyjazdem w teren — swojego narodu, wojny, i teren historii. Wyjazdem, jakiego przed wojną nie zaznałby nigdy w tym wymiarze ówczesny asystent uniwersytetu, a już na pewno nigdy nie zazna powojenny profesor. Warunki codziennego życia, które zawdzięczało się podówczas Rodzicom — niechaj te słowa będą dla Nich skromną odpłatą długu wdzięczności — tym bardziej sprzyjały dokładnemu wejściu we wspólne myśli i wspólne odczucia środowiska.

Natychmiast po wojnie zacząłem był<sup>2</sup> zebrane obserwacje układać i spisywać. Zamierzałem więcej ich uporządkować, aniżeli znów pozwoliło biurko redaktorskie, uniwersytet i tym podobne zajęcia. Dzisiaj, po kilkunastu latach, widzę, że wszystko to są już jedynie dokumenty, w których ani cokolwiek zmienić, ani z niezużytej mąki obserwacji coś tam jeszcze dorzucić.

Takie stare ciasto nie daje się już zarabiać w nowe formy. Puszczam je w świat takim, jakim się upiekło, w nadziei, że jako dokument dla samego piszącego, tym więcej może to być dokument niepozabawiony interesu<sup>3</sup> dla tych, co okupacji hitlerowskiej w latach 1939–1945 nie przeżyli na własnej skórze. Albo byli zbyt młodzi, albo poza krajem, w obozach, na wywózce czy na emigracji.

Skoro mam przed sobą już tylko dokumenty i świadectwa, niechaj będzie wolno trochę nad nimi podumać. Świadectwa pragną w jakiś sposób prześledzić i przedstawić niektóre z wymiarów społeczno-politycznych, moralno-obyczajowych i gospodarczo-ekonomicznych tego zjawiska, które podczas drugiej wojny światowej stało się wieloletnim udziałem całej gromady narodów europejskich — okupacja na skutek agresji. Ale które dopiero na ziemiach położonych na wschód od granic niemieckich, na ziemiach polskich i okupowanych republik radzieckich, przybrało wymiary klasyczne, niczym od strony napastnika nieosłonięte. Obozy śmierci umieszczał on tutaj, ponieważ wiedział, że *tutaj wszystko wolno* — zdołaby.

Człowiek jest istotą społeczną co najmniej w dwojakim zakresie tego terminu. Wytwarza go społeczeństwo i — przeszłość, ale on również stwarza społeczeństwo i — przyszłość. Jest stworzeniem społecznym, ponieważ zdeterminowany w swojej narodowości, określony historycznie, przynależny klasowo, podlega on tym wszystkim układom socjalno-historycznym.

Lecz człowiek jest istotą społeczną także w tym sposobie, że kręgi, funkcje i zadania socjalne, które go otaczają, zależą od jego aprobaty, jego zgody, jego przyświadczenia. On je kwalifikuje lub unieważnia, jako fakty ideowe przyjmuje lub odrzuca. Człowiek, istota społeczna, inaczej zapewne funkcjonuje w ramach bazy, inaczej w ramach zbiorowych organizacji współżycia społecznego, inaczej na stopniu ideologii.

Okupacja, nieznaną żadnej aprobaty ideowo-politycznej ze strony poddanego jej zbiorowiska ludzkiego, stanowi zupełnie szczególny fakt psychosocjalny i prawno-państwowy. Człowieka jako istotę społeczną w każdej z jego funkcji stawia w szczególnej sytuacji. Rozpada się organizm państwowy. Przystaje istnieć władza centralna; zamiera polityka zagraniczna, militarna; idzie do niewoli armia; zmieniają się pieczętki i nazwy urzędów; herb państwowy staje się przestępcą; także i blankiet z urzędowym nadrukiem; aparat porządku i ucisku państwowego w swojej odgórnej warstwie zostaje zmieciony; w dolnej dla własnych celów używa go okupant; nie ma ministra finansów, lecz są urzędy podatkowe; fikcyjny bank emisyjny drukuje kolorowe papiery z cyframi.

Wielkie zbiorowisko społecznych i moralnych paradoksów! Chociażby ten: póki trwa

<sup>1</sup>*ad hoc* (łac.) — na poczekaniu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*zacząłem był* — daw. konstrukcja czasu zaprzeszczonego; znaczenie: zacząłem wcześniej, uprzednio (w stosunku do czynności wyrażonej zwykłym czasem przeszłym). [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*niepozabawiony interesu* — tj. interesujący, budzący zainteresowanie. [przypis edytorski]

Kondycja ludzka, Pozycja społeczna, Państwo, Naród

Wojna, Historia, Czas, Wróg, Władza, Niewola, Obywatel

prawno-państwowy stan okupacji, dorastający obywatele danego kraju są absolutnie niedostępni dla munduru wojskowego zdobywcy, całkowicie zaś dostępni jako materiał całopalny dla obozów koncentracyjnych. I jedno jest w porządku, i drugie jest w porządku. Przenikają się i do czasu współżyją przeciwne porządki rzeczywistości. Człowiek przeciętny musi żyć, zarobkować, chorować, płodzić się w narzuconych warunkach, a jednocześnie warunkom tym odmawia jakiegokolwiek sensu ideowego, odmawia trwałości.

Niewola polityczna, długotrwała, poprzez pokolenia, to nie to samo. Okupacja jest niczym weksel przez obydwie strony traktowany jako do wykupu po mniej więcej określonym czasie, niewola jest bez płatności o widocznym terminie. Nieczęsto się zdarza sytuacja społeczna i ideowa podobna do okupacji. Przeżywa ją członek sekty zmuszony egzystować we wrogim religijnie otoczeniu, jakoś się przystosować, utaić, by dzięki jemu podobnym prawdziwa wiara nie zaginęła. Przeżywa członek partii politycznej zepchniętej do konspiracji.

Wszyscy oni dzielą swoją egzystencję na pozorną i rzeczywistą. Wypełniając podstawowe obowiązki swego zawodu, pracując w ramach oficjalnie istniejącej społeczności — *żyją na niby*; zamykając się pośród swoich — *żyją naprawdę*. Bo żyją podówczas w kręgu przeświadczeń, na jakie wyrazili zgodę teraz i na przyszłość.

Okupacja to taka sekta, której członkowie posiadają nieporównywalną przewagę liczebną nad kapłanami i wyznawcami wrogiego porządku, a przecież postawieni zostali ci członkowie w położenie narzucające im wprost przeciwny system postępowania. Żyją na niby, tym bardziej na niby w swoim codziennym bytowaniu, im dobitniej odczuwają tymczasowy paradoks narzuconej im sytuacji. W szczególny sposób układają się podówczas odruchy obronne zagrożonej świadomości zbiorowej, jej wyobrażenia o rzeczywistym położeniu historyczno-politycznym, w jakim i okupant, i okupowany wspólnie się znajdują jako medium obiektywnym. I jednemu, i drugiemu tylko częściowo dostępnym, jeśli chodzi o pełne w nim rozeznanie.

We wspólnym tytule chciałbym zasugerować tę więź, która łączy wielorakie objawy zjawiska oznaczonego terminem — okupacja. Więź jaka sama w sobie, w oderwaniu od faktów, chyba opisać się nie daje. Wydaje się, że zgromadzone pod owym tytułem szkice przynoszą pewną garść spostrzeżeń i uogólnień na ten temat. Pochodzących z bezpośredniej obserwacji, trochę jak prozaik, gdy zbiera swój materiał, a nie z nagromadzonych dokumentów, jak to obowiązkiem bywa naukowca.

Odczytywane po latach, jak gdyby je pisał obcy człowiek, mają te szkice dla autora jeszcze inny, dość specjalny posmak. Był to wyjazd w teren, przez to dziwny wyjazd, że na ziemię wiadomą od dziecka, gdzie każdy człowiek napotkany to znajomek, a przecież ziemię jakże mało znaną. Prozaicy, pisarze mający prawo do fikcji żadnych w tym nie mają trudności, ilekroć zapragną i jeśli naprawdę kochają i naprawdę znają otoczenie lat dzieciennych. Innym osobnikom zdarza się to dosyć wyjątkowo. Proszę w to imię wybaczyć pewne regionalne czy rodowe sentymenty, czy też wśród utyskiwania na szklane domy — własną budowę podobnych domów, burzenie całych niezburzonych dzielnic Warszawy, wykrawanie w tym mieście ulic piękniejszych niż Rue de la Paix<sup>4</sup>.

*Życie na niby* nie jest bowiem tylko własnością środowiska oddanego agresji i przemocy, aczkolwiek jego uczestnicy najmocniej odczuwają fikcyjny charakter, za wypowiedzeniem i do czasu, narzuconego im układu rzeczy. W swoistej mierze uczestniczył w tym życiu także zdobywca hitlerowski. Już sam ten fakt, że musiał on dla podbitego narodu urządzać obcojęzyczne, fikcyjne ministerstwa i urzędy, że musiał w imię tego doraźnego układu rzeczy udawać, że na Wawelu nie leżą wcale królowie tego narodu — skazywał go na pielęgnowanie fikcji. Kosztem okupowanego narodu, jego historii i przyszłości, okupant też żyje na niby.

Dokonuje się wzajemna wymiana fikcji. Fikcją dla pokonanych jest nadany im przez zwycięzcę wygląd życia codziennego, fikcją dla nich jest rzeczywisty byt społeczny. Fikcją zaś dla zwycięzcy jest to wszystko, co podtrzymuje opór przeciwko bytowi i organizacji społecznej, jaką on narzucił.

Podobne doświadczenia społeczne oraz odpowiadające im warunki gospodarczo-ekonomiczne nie przechodzą bez śladu u zbiorowości poddanej takim próbom. W dziesięć

Niewola, Czas

Wojna, Władza, Prawo,  
Historia, Czas

Wojna, Okupacja, Fałsz,  
Czas

<sup>4</sup>*rue de la Paix* (fr.) — ulica Pokoju. [przypis edytorski]

lat po skończeniu okupacji hitlerowskiej w całej pełni kwitła w Polsce Ludowej gospodarka wyłączona. Dotąd nie uwiędła, chociaż inni jej byli społeczni partnerzy i swoiste objawy, nie te same dokładnie co w Generalnym Gubernatorstwie. Nie mają jest rzeczą snuć dalej podobne analogie.

*Życie na niby* to nie tylko raz na zawsze skończona i ograniczona do kilku lat formacja socjologiczna. Kto wie, czy nie dotyczy ona również samego charakteru narodu. „Polacy! Polacy! Musicie *kochać* własny niedorozwój — oto klęska” — woła Gombrowicz. Tego się lękać wypada także w roku 1957.

Polska, Pozory

K. W.

## O ŚWICIE

*Tymczasem dzieci o rannej godzinie  
Gdzieś do szkół idą,  
Oracz wyuleka pług, i Wisła płynie,  
I Warta z Nidą.*

Tymi słowy kreśli Cyprian Norwid najprostszy obraz ojczyzny polskiej. Złożony ze składników, jakie nigdy, nawet czasu największych katastrof, nie podlegają zmianie.

Pierwszego września 1939 roku dzieci polskie nie poszły do szkół. O rannej godzinie, o świcie, do twardej i długiej nauki wzięła historia cały naród polski. W dni niewiele krwią spłynęły wszystkie rzeki polskie. Pod innym, bardziej ponurym niebem, bez patosu tamtych dni wrześniowych, o krok od pospolitości, nędzy, głodu, zaprzaństwa, zwierzęcego egoizmu, o krok od prostackiej niezmienności instynktów, trwają nad nami dzieje. Wąskim płomykiem, bezgłośnym jak mżenienie letniej błyskawicy, przewija się pośród nich — nadzieja.

Zamknęły się za nami trzy lata wojny. Armie hitlerowskie znowu postępują naprzód. W miasteczku przesunięto godzinę policyjną na pełny zmrok. W tym celu, ażeby na wielkiej płachcie rozwieszanej w rynku mieszkańcy mogli oglądać wyświetlane postępy niemieckiej ofensywy. Na niezmiernych polach słonecznikowych wytryskują pociski i czolgi żłobią drogi, w upalnym powietrzu fałuje daleki Kaukaz, pożary, ten sam wciąż od lat krajobraz wojny. Przedziwne widowisko. Mosty zwisające w głąb potężnych wąwozów, skrzypi nazwa Terek. Żaden sen, najdziwaczniejszy sen nie spełniłby na rynku rodzinnego miasteczka podobnego widowiska. „I wstrzymał huczny i wspaniały Tereka bieg”.

Najeżdźcy ciągle prą naprzód. Daleko do świtu. Pomędzy komunikatami frontowymi niewiele da się czytać. Po wielekroć *Wojnę i pokój*, nie dla historycznej anegdoty — bardziej dla rozmyślań rannego księcia Bołkońskiego na polu bitwy pod Austerlitz, dla spotkania z Napoleonem. Po wielekroć *Słowo o wyprawie Igora*, skargi ziemi ruskiej.

Niewesoła nam, bracia, godzina,  
Niewesoła godzina nastąpiła.  
Siłę naszą pokryła pustynia,  
Dziewa Krzywdą w ruskiej ziemi wstała.

Oblicze przyszłości jest nadal ciemne. Nie wiemy, jak będzie wyglądać Europa po tryumfie nad złymi mocami hitleryzmu i faszyzmu. Nie wiemy, jak Polska będzie wyglądać.

Zaczęło się w porannej mgłę pierwszego ranka wrześniowego. Skończyło się w słoneczny dzień października dumną defiladą pancernych kohort wśród śnieżnych ruin stolicy. Cała pierwotność i okrucieństwo historii, jej obojętność na prawdy i prawa, które nie zdołały dla siebie wytworzyć siły, wytoczyła się na ziemię naszą pomiędzy tym dniem pierwszym a ostatnim kampanii wojennej. Dla pokolenia, do którego należę, pokolenia roku 1910, było to pierwsze za jego życia tak doszczętne i nikczemne unicestwienie przyrodzonych, mniemałeś, praw narodu — każdego narodu, narodu polskiego również.

Piszę w takie same ostatnie dni sierpnia, jak tamte, dni ostatnie. Kiedy od tygodni żar spóźnionej, obojętnie pięknej pogody przepala puste po żniwach pola, ostro przetkane

Wojna, Klęska, Polska

smugami kwitnącego lubinu, pyli upalną mgłą i kurzem linie lasów i dróg, kiedy nastają noce wczesne i chłodniejsze, oko mimo woli szuka dalekich lun, ucho czeka stłumionego pomruku dział. Drogi są puste, mogły zapadłe. Biegają dzieci tych, co polegli i nie ujrzeli maleństw. Czas się przetoczył i jest ten sam, bolesnym uciskiem wspomnień chwytając za gardło w te dni podobne. O zmroku słyszysz pod oknami głosy ludzi prostych: całym tak samo jak wówczas, kiedyśmy uciekali. Ziemia rany zasklepia, ziemia tych ran zwyczajna i ściele się w płaszczynach wypłowiałych jak stary płaszcz żołnierski. Wierna i niezmienna, matka nadziei.

Do końca życia nie zapomnimy tych niesamowicie trwałych pogód września, rozpiętych nad naszym krajem ciągiem upalnych dni i nocy zatłoczonych od gwiazd, ciągiem tak niezmiennym, że traciła się rachuba dni i wydawać się mogło, jakoby sam czas przystanął w locie i zastygł w pysznej obojętności przyrody, której nie poruszą losy ludzkie.

Szlak wrześniowej wędrówki z moich okolic prowadził przez dumne nazwy — Wiślica, Stopnica, Oleśnica, Połaniec, Rytwiiany, Baranów, Koprzywnica, Dzików, Sandomierz. Po raz pierwszy ujrzalem podówczas nazwy — Raclawice, Dziemierzyce, Janowiczki. Rzeczywistą stawała się historyczna i aktualna mapa ojczyzny. A jednocześnie?

Kto jej nie znał, temu spod znakomitych nazw odsłoniła się Polska w ubóstwie i w getatywnym trwaniu między kurną chałupą a cmentarzem.

Bliskie i dalekie wioszczyzny, nędza dróg, działeczki lichych zbóż — oto co z okna wieży ariańskiej oglądał Nienaski i co widać przez nią wciąż i na długie jeszcze pokolenia.

Ramię wroga leżało wielką obęczą. Od wszystkich granic ku niemu wystawionych ruszyły przerażone łańcuchy pieszych i wozów, dzieci i kobiet. Najeźdźca następował żelazem i motorem. Ścigany miał być szybszy boso i tylko na własnych nogach. Nad miastami, nad osiedlami, nad kolejami, nad mostami, gdzie tylko drgnął ślad życia ludzkiego, rozpostarło się rojowisko samolotów. Dotarły do wszystkich gniazd ptaki tej jedynej jesieni. Widziałeś, jak nad kluczem machin ludzkich przeciągał jesienny klucz żurawi. Rytm życia szedł nieskłócony i dzieci na świat przychodziły na wozach wędrowców. Tak przed wiekami uciekać musiały plemiona całe, pędząc przed sobą bydło, zabierając dobytek co najpotrzebniejszy. Następowало plemię inne, głosząc, że zdobywa na wieki, że przelana nad zgwałconą zdobyczą krew silniejszego pieczętuje zdobytą ziemię prawem wyższym od wszelkich praw innych, prawem lepszego narodu. Powtórzmy to po polsku. Powiedzmy po niemiecku.

...Serce łomotało w piersiach zdobywcy, gdy wspominał i ogarniał we władzę ziemie widziane, powiaty przebyte, wody i ich źródlika, poniki, potoki, strumienie, rzeki, stawy i błota, wzgórza i rozdoły, puszcze i polany, dąbrowy i poręby, pola i ugory, łąki i pastwiska, bezdroża, przesmyki, przesieki, ścieżki i drogi.

Serce biło w piersiach gospodarza, gdy mierzył i liczył, odkrywał i przewidywał bogactwa jawne, wpadające w oczy nawet głupca, i skarby skryte przed oczyma niedołączonych lub ciemnych — budulec surowy w lasach, żelazo i miedź, złoto i srebro, zbiorowiska soli twardej i rozpuszczonej w wodzie, drogie kamienie i drogie futra zwierząt wałęsających się w lasach, cenne ptactwo i wyborne ryby, zapelniające stawy, jeziora, rzeki i strumienie.

Serce biło w piersiach budownika, gdy widział w olśnieniu marzeń statki pławackie na wodach, ławy na potokach, mosty na rzekach i z brzegów jezior na wyspy, tamy i jazy plecione do połowu ryb z morza, w górę rzeki na tarło ciągnących — drogi i płoty, budy i szopy, chaty i wsie, brogi i gumna, targowiska, podgrodzia, miasta, grody, zamki, kościoły i wielkie katedry, twierdze niezdobyte i porty jeszcze niewidziane u wybrzeży.

Mógł oto wyciągnąć rękę i zabrać!

Ogarnąć to wszystko!

Powtórzmy to samo po niemiecku, w rodzimym języku podobnych pragnień.

*Alle diese Gebiete, die damals Polen einverleibt worden sind, verdanken ihre Entwicklung ausschliesslich deutscher Tatkraft, deutschem Fleiss und deutschem schöpferischem Wirken... Polen, das aus den Blutopfern zahlloser deutscher*

Polska, Historia, Wiś,  
Bieda

Ucieczka, Wojna

*Regimenter entstanden war, hat sich auf Kosten alten deutschen Siedlungsgebietes und vor allem auf Kosten jeder Vernunft und jeder wirtschaftlichen Möglichkeit ausgedehnt.*<sup>5</sup>

*Es ist in den letzten 20 Jahren klar erwiesen worden: der Pole, der diese Kultur nicht begründet hatte, war nicht einmal fähig sie auch nur zu erhalten. Es hat sich wieder gezeigt, dass nur derjenige, der selbst kulturschöpferisch veranlagt ist, auf die Dauer auch eine wirkliche kulturelle Leistung zu bewahren vermag. 50 Jahre weiterer polnischer Herrschaft würden genügt haben, um diese Gebiete, die der Deutsche mühselig mit Fleiss und Emsigkeit der Barbarei entrissen hat, der Barbarei wieder zurückzugeben...*<sup>6</sup>

*Dabei ist es noch ein Unterschied, ob ein Volk von einer minderen kulturellen Bedeutung das Unglück hat, von einem kulturell bedeutenderen regiert zu werden, oder ob ein Volk von hohem Kulturstand dem tragischen Schicksal unterworfen wird, von einem kulturell minderentwickelten vergewaltigt zu werden. Denn in diesem minderen Volk werden sich alle nur denkbaren Minderwertigkeitskomplexe gegenüber dem besseren, kulturtragenden Volk auswirken und abreagieren. Man wird grausam und barbarisch dieses überlegene Volk misshandeln.*<sup>7</sup>

Słowami Stefana Żeromskiego mówił na kartach *Wiatru od morza* Herman Balk. Po nim 19 września 1939 roku, jeszcze nie skończyła się kampania wrześniowa, Adolf Hitler przemawiał w Gdańsku. Siedem wieków niewiele znaczy.

Po tygodniu walki najazd uderzył w próg stolicy. Powitały go barykady i stara pieśń powstańcza. Ziemia patrzyła nadal pyszna i surowa. Tydzień wystarczył, ażeby rząd tego kraju stał się wędrowcem, jak każdy jego najlichszy obywatel. Gnany bombami wroga, oburzeniem podwładnych, przemykał się zatłoczonymi drogami, aż w blażej mieścinie pokuckiej porzucił swoje granice, skoro od wschodu ruszyło plemię drugie. Prezydent na obcej ziemi ukazał cudzoziemski paszport. Marszałek wojsk zgubił gdzieś buławę. Kardynał dusz nieśmiertelnych pobłogosławił je przez graniczny szlaban. Ja nie szydę, tylko wspominam. Szydła historia.

Odpędzone od granic, jakich usiłowały bronić, wojska w głębi kraju walczyły z wrogiem, którego miały osiągnąć w jego własnej stolicy. W szkołach polskich niszczył on zbiory i rozpruwał wypchane ptactwo. Palił książkami lub załatwiał w nie potrzeby naturalne. Ludność cywilną rozstrzeliwał jako sprawców wojny. Żydów wypędzał na rynki miasteczek z miotłą w ręku, ażeby nauczać czystości. Szedł wspaniałomyślny dla pokonanych i przestrzegając wszelkich praw wojny. Nocami auta wywoziły lupy: futra i rzeźby, ubrania i zboża, czego nie zdołały zrabować swojskie hieny.

W kilka tygodni nastał przeciętny, zwykły dzień Generalnej Guberni. Trwa już trzy lata. Od chwili najazdu na Związek Radziecki rozszerzył się ten dzień na olbrzymie tereny, od Leningradu po Rostów. Kilkadziesiąt milionów ludzi przynależnych do wielu narodów musiało się w nim jakoś urządzić. Przez miasteczko moje przelatują bez postoju *urlauberzugi* — Charków-Kolonia. Na trawnikach przed *Haus Kressendorf*, siedzibą gubernatora

Wojna, Polska, Władza,  
Ucieczka, Historia

<sup>5</sup>*Alle diese Gebiete (...) jeder wirtschaftlichen Möglichkeit ausgedehnt* — Te wszystkie obszary, które zostały wówczas wcielone do Polski, zawdzięczają swój rozwój wyłącznie niemieckiej energii, niemieckiej pracowitości i niemieckiemu twórczemu działaniu... Polska, która powstała z ofiar i krwi niezliczonych niemieckich pułków, rozprzestrzeniła się kosztem starych niemieckich obszarów osiedleńczych, a stało się to wbrew wszelkiemu rozsądkowi i wbrew jakimkolwiek jej możliwościom gospodarczym. [przypis autorski]

<sup>6</sup>*Es ist in den letzten 20 Jahren (...) der Barbarei wieder zurückzugeben* — W ciągu ostatnich 20 lat zostało dowiedzione: Polak, który nie stworzył tej kultury, nie był jej również zdolny utrzymać. Pokazało się raz jeszcze, że tylko ten, który sam jest zdolny do twórczości kulturalnej, potrafi w sposób trwały zachować dorobek prawdziwej kultury. 50 lat dalszego polskiego panowania wystarczyłoby, aby te obszary, które Niemiec mozołnie, z pilnością i starannością wydarł barbarzyństwu, zostały z powrotem barbarzyństwu oddane. [przypis autorski]

<sup>7</sup>*Dabei ist es noch (...) dieses überlegene Volk misshandeln* — Jest bowiem rzeczą zgoła odmienną, czy kraj o mniejszym znaczeniu kulturalnym ma to nieszczęście, że zostanie opanowany przez naród o większej kulturze, czy też naród o wysokiej kulturze spotka ten tragiczny los, że ulegnie on narodowi stojącemu pod względem kulturalnym niżej. Bowiem w tym niższym narodzie ujawnią się i zaczną działać wszystkie możliwe kompleksy niższości wobec narodu o wyższej kulturze, ów wyżej stojący naród będzie traktowany okrutnie i po barbarzyńsku. [przypis autorski]



Franka, ścierała się i śpiewają jak pawie barwami rabaty tulipanów sprowadzonych z Holandii, nim jeszcze Francuzi skapitulowali. Do jakiegoż to widowiska dekoracje?

Przeciętny, zwykły dzień. Pokonany dwudziestokilkumilionowy naród nie posiada ani jednej własnej gazety. Zwycięzca zapowiada, że stan taki jest początkiem normalnej w tej sytuacji wieczności. Naród ten nie posiada ani jednej drukarni własnej. Mogą się ukazywać tylko podręczniki porozumiewania się ze zwycięzcą. Żadnego uniwersytetu, żadnej szkoły wyższej. Nie ma ten naród prawa do żadnego dzieła sztuki. Wszystkie obrazy, wszelkie przedmioty zabytkowe znajdujące się w prywatnym i publicznym posiadaniu zostają skonfiskowane celem „zabezpieczenia ich pospólnego użytkowania”. Spisane nadto będą wszystkie kury i krowy, auta i dusze ludzkie. Naród ten nie posiada prawa do żadnej fabryki, do żadnego lasu, do zajęcia w polu i jajka w kurniku. Nie wolno mu chodzić do teatru, odbijać piłki tenisowej, kopać piłki nożnej, pracować wiosem. Na ziemi przeznaczonej dla pokonanego nie może się znajdować ani jedna kopalnia węgla, ani jedna huta, ani jedna przędzalnia. Jedynym towarem, który wolno swobodnie porywać i wywozić, to niewolnik przyprzężony do maszyny fabrycznej i baba do pielenia buraków.

W postaci skrótovej groteski tak było można przedstawić stan za okupacji nieświadomemu mieszkańcowi wysp szczęśliwych. Równie mało będzie on skłonny brać tę groteskę za rzeczywistość, jak my przygody Guliwera w krainie Rozumnych Koni. Nasze dzieci również nie uwierzą.

Lecz nie mieszkamy na wyspach szczęśliwych. Za oknami przechodzą znów sąsiedzi, spieszą przed godziną policyjną, kroki na chodniku tłumią ostatnie słowa: — Dzieci teraz, panie, bawią się w ucieczkę. Klamotów na deszczkę nakładają byle jak, nocnik przywiązują sznurkiem, ciągną tę deszczkę i wrzeszczą, że nalot. Wstaje później toto z rowu uciorane jak nieboskie stworzenie, ino tłuc. A Żydów też rozstrzeliwują, patyka jakiego wezmą... — kroki stukają, godzina już ciemna.

W naturze ludzkiej w przedziwny sposób kojarzą się i nie wykluczają dwie, zdawałoby się, najbardziej sprzeczne właściwości: człowiek jest plastyczny jak żadne ze zwierząt i człowiek jest niezmienny, w tym nie różniąc się od zwierząt. Człowiek posiada zdumiewającą siłę nagięcia się i przystosowania. Człowiek w okolicznościach, które do głębi powinny go przeorać, ukazuje się taki sam, niezmienny w podstawach i objawach swej psychiki. Te dwie dążności wypływają dzisiaj na samą powierzchnię istoty ludzkiej i stają się widoczne jak nigdy w czasie pokoju...

Oto jednostka przywykła do określonego toku życia i zajęć, wydawałoby się utrwalona i całkowicie stabilna w swoich nawyknieniach, w pozycji społecznej i kulturalnej, jednostka, z którą w czasie pokoju tak te wymagania i obyczaje się zrosły, że zdają się tworzyć jej drugą naturę, oto ona zostaje nagle i brutalnie wyrwana ze swojej powłoki, rzucona w inną rzeczywistość, nie jej, nie tę, nad którą panować umiała. Musi sobie radzić postawiona w obliczu najpierwszych i najbardziej pierwotnych potrzeb: w obliczu głodu, trwogi, troski o całość swojego ciała, śmierci. Wojna jest niemowlęctwem ludzi dojrzałych, ich powtórna nagością, oddaniem na pastwę przypadku i grozy. Okupacja, jaką przeżywamy, to wojna przedłużona w sposób jak najbardziej kapryśny i szaleńczy, to front każdej nocy podchodzący pod okna, chociaż zamiast pocisków padają tylko w milczeniu sierpniowe gwiazdy.

Przeżycie wojny w wojnach poprzednich, odsłaniające człowieka plastycznego i człowieka niezmiennego, zapisywało się jedynie w duszy żołnierza frontowego. Na tyłach, w miastach i okolicach, do których nie dotarł front, można było przeżyć niejedną opisywaną w podręcznikach kampanię, a o tym przeżyciu nie nabrać wyobrażenia. Chyba nigdy ten rozdźwięk nie był większy jak w wojnie poprzedniej — ponura rzeźnia okopów w pieniądź pęczniejący na tyłach, pieniądź ożeniony z wielkim frazesem.

Ucieczka całych milionów, paniczny ruch, jakiego żadna siła ludzka nie zdołałaby powstrzymać, udział lotnictwa zawieszono jako możliwość grozy nad każdym osiedlem zapomnianym od Boga i ludzi, wszystko to czasu kampanii wrześniowej człowieka czyniło plastycznym. Zmuszało zejść do elementów bytowania, w kilku dniach zdarło naskórek pokoju. Okupacja to podtrzymuje. Zmieniły się elementy, nie zmieniła się konieczność, że każdej godziny człowiek może być wciągnięty w inne bytowanie. Zamiast konkretnie widzialnego samolotu nad każdym domostwem zawisa obóz koncentracyjny i skutek wobec człowieka plastycznego jest identyczny.

Wojna, Niewola, Polska,  
Polak, Własność

Dziecko, Zabawa, Wojna

Kondycja ludzka, Konflikt  
wewnętrzny

Wojna, Obyczaje,  
Dzieciństwo, Dorosłość

Wojna, Żołnierz, Pieniądź

Ale człowiek jest niezmienny. I pora próby, zdzierając z sumień pozory i osłony codzienności, ujawnia właściwe treści psychiki. Do rdzenia się ona obnaża. Obnaża się tchórzostwo i ukazuje wzniosłość. Obnaża się bohaterstwo i jadowym zaciekiem wypływa małość. Ujawnia się zdolność pomocy i zwierzęcy egoizm. Wszystko, co nieoczekiwane w naturze człowieka, przeciwne sobie, niewidoczne w spokojnym bytowaniu, wystrzela jak miny założone skłóconymi rękoma. Człowiek okazuje się takim, jakim był naprawdę, obnażony, niezmienny, oddany we władzę swojej natury.

Ponure widowisko. Jakaś beużyteczność moralna historii. Kiedy zaczną piąć, że wyszliśmy oczyszczeni i poprawieni, kłamstwo. Kiedy z koturnu jękną, że przeorane dusze wydadzą inny plon, kłamstwo. Kiedy powołają się patetycznym głosem, że byli uczestnikami, kłamstwo. Widzieli tylko, nic więcej.

W miasteczku Kressendorf została tego lata, kiedy niemiecki front wschodni długo nie mógł ruszyć z miejsc, do których przymarzył zimą, reaktywowana groteskowa instytucja. Istniała jesienią 1939 roku, później została zapomniana, przypomniał ją sobie gorliwy burmistrz. Warto zapisać, bo nie uwierzą później. Instytucja zakładników. Na tym polega, że każdego wieczoru o godzinie policyjnej kilkunastu mężczyzn zbiera się w rynku, w opuszczonej pożydowskiej piekarni i obejmuje „służbę”. Burmistrz bardzo sobie upodobał moją osobę na te nocne obchody. Są zawsze chętni do zastępstwa, można się wykupić. Latem nie warto.

Łazimy całą noc po miasteczku, z laską jako bronią, cisza i nocne pociągi frontowe, księżyc na dachach i pośród postrzępionych obłoków, czasem pijani żołnierze niemieccy, głęboka, bezgraniczna pustka nocy nad światem. Co godzina zmieniamy się, wychodzi nowa partia, w zadymionej piekarni karty i butelka. Rankiem meldunek u burmistrza: *In Kressendorf nichts neues*<sup>8</sup>.

Nocy ponad światem — tak mi się samo napisało, a przecież to tytuł niezapomnianego opowiadania Dąbrowskiej, w jakim nieszczęsnemu Nikodemowi pozostał tylko wierny pies, noc i gwiazdy, wciskające się psu w kudły, nieszczęśnikowi w uszy i oczy. Tak łazimy i bimbrem się pocieszamy, Nikodemy, kandydaci do niedalekiego Oświęcimia.

Wojna jako zespół widocznych i bezpośrednio odczuwalnych działań frontowych po trzech latach odbiegła tak daleko od tych okolic, że w tym sensie staje się czymś nierealnym, zupełnie fantastycznym w swoim obecnym wymiarze. To płótno na rynku, wieczorem, i huki z Kaukazu przywiezione na taśmie filmowej. Gdyby pod koniec września, trzy lata temu, ktoś powiedział, że Niemcy stojąc na Pirenejach, pod Narwikiem, Leningradem, za Donem i po drugiej stronie Morza Śródziemnego będą dalej od zwycięstwa aniżeli w momencie kapitulacji Francji, zostałby uznany za ponurego szaleńca. Owszem, byli tacy polityczni szaleńcy, lecz wśród poetów polskich. Przed wojną przeczuwałem, że katastrofści pośród nich mieli rację, lecz dokąd jeszcze w czasie sięgnie ich ponura racja?

Skoro wszakże jest tak, jak jest, skoro nawet nocne Nikodemy mają pomóc Hitlerowi do zwycięstwa i porządku na linii pociągu urlopowego Charków-Kolonia, a niemiecka machina wojenna nie dojeżdża do zwycięskiej mety, jest w tym widocznie jakiś nowy sens — i militarnie, i historycznie. Wrzesień polski 1939 roku odżywa we wspomnieniu takim, jak naprawdę wyglądał, lecz w refleksji — po trzech latach co on naprawdę oznacza, co podówczas się stało?

Militarny początek drugiej wojny światowej, który trzy lata temu rozegrał się na naszych ziemiach, był na pozór całkowicie nielogiczny i burzył wszelkie przewidywania. Zaledwie jednak wstępne ogniwa tej wojny, błyskawiczne zwycięstwa i błyskawiczne kampanie niemieckie stały się zrozumiałe pod względem militarnym, kiedy ten sens w wielkich zmaganiach na Wschodzie znów został przewrócony. Znowuż się okazało, że ponad współczesną techniką wojenną górują klasyczne i pradawne prawa wojny, proporcja ogólnego stosunku wielkich całości mocarstwowych, stosunku przestrzeni, materiału ludzkiego, wysiłku produkcji przemysłowej. Wojna, która dopóty była błyskawiczną, dopóki w specjalnych pojedynkach Niemcy stawiali naprzeciwko partnera przynależnego do zupełnie innej wagi ringowej, rozciągnęła się w drugą już kampanię wyczerpującą i długotrwałą, skoro te wszystkie wyjątkowe okoliczności odpadły.

<sup>8</sup>*In Kressendorf nichts neues* (niem.) — W Kressendorfie nic nowego. [przypis edytorski]

Swoje błyskawiczne początkowo zwycięstwa zawdzięczają Niemcy hitlerowskie skomercywowaniu nowoczesnej techniki wojennej z doskonałym odczytaniem rzeczywistej, niezależnie od traktatów, paktów i porozumień oficjalnych, sytuacji politycznej narodów kontynentu. Powody ich zwycięstw po równi były czysto militarne, co polityczne. Powody militarne do tego się sprowadzają, że nowoczesna technika wojenna ogromnie pogłębiła dysproporcję siły między narodem mniej licznym a liczniejszym, mniej produkującym a więcej produkującym, pogłębiła na rzecz liczniejszego i więcej produkującego.

Z wielu broni, usług, służb i składowych współczesnej techniki wojennej dwie zdają się być podstawowe: czołg i samolot. Na morzu — łódź podwodna. Wszystkie były już stosowane w pierwszej wojnie światowej. Nie wywarły na jej wynik decydującego wpływu. Jedynie łódź podwodna, wiemy to dzisiaj, była najbliższej celu każdej nowej broni: takie zaskoczenie przeciwnika, by zdołał ochłonąć, kiedy jest już zbyt późno.

Różni więc obecną wojnę od poprzedniej nie sam fakt wynalezienia całkiem nowych broni, ile tak masowe i przemyślane ich zastosowanie, że na stopniu strategicznym stają się one rozstrzygające. Samych środków nauki użyto przecież dotąd mniej: myślę o gazach bojowych, które tak niezwykłą rolę odgrywały w przewidywaniach obecnej wojny, że w Polsce każda gospodyni uszczelniała spiżarkę, jak gdyby na każdy worek mąki wróg miał przygotowany pocisk gazowy. A cóż dopiero w utworach i zapowiedziach katastroficznych poetów. „Ja przy foliach jurysta za — krztuszony wołaniem gaz” — powiadał o sobie Józef Czechowicz, a od bomby kruszącej zginął.

Czołg i samolot są bronią napastnika i atakującemu pozwalają jego przewagę natchmiast, głęboko i na wielu miejscach — na froncie i poza frontem — zanieść w kraj przeciwnika. Stąd pierwsza faza drugiej wojny światowej tak się przedstawia, jak gdyby zupełnie na przebieg ataku przestały wpływać tak ważne w dawniejszych wojnach momenty zbliżonej równowagi liczebnej, zależności operacji wojennych od terenu geograficznego itd. Armia zaopatrzona we współczesne środki bojowe i pomocnicze, w opancerzony motor walczący i nieopancerzony dowożący, z równą sprawnością i szybkością poruszała się po bezdrożnych równinach Polski, co przez gęste linie fortyfikacji zachodnich, co pośród gór i przełęczów bałkańskich. Pościg, całkowite zniszczenie nieprzyjaciela, czołgi stojące u przeciwnych granic napadniętego kraju. Zdawało się, że odżywa wielka strategia typu napoleońskiego. Trwało to od kampanii polskiej po bałkańską. Polska, Norwegia, Holandia, Belgia, Jugosławia, Grecja upadały w ten sam militarnie sposób i okres wojny od września 1939 roku po maj 1941 to jakaś jednolita faza.

Na politycznych nastrojach i ocenach żywionych w kraju przez przeciętnego człowieka ten łańcuch zaważył w sposób paradoksalny i szczególny. Do czasu upadku Francji, do czasu i sposobu jej upadku — kampania wrześniowa była czymś zgoła niepojętym, czymś, co w świadomości odkładało się jako dowód wyjątkowego niedołęstwa militarne-go, gospodarczego i organizacyjnego Polski przedwrześniowej. Każde następne widowisko przyrządzone przez armie hitlerowskie zasępiało umysły, aż do ponownych w czerwcu 1940 roku, jak we wrześniu 1939, samobójstw, zasępiało od strony horyzontu europejskiego, w jakiś paradoksalny sposób rozjaśniało od strony polskiej. Nie byliśmy ostatni, do hańby i do przeraźliwego wstydu ostatni.

Czy była to naprawdę wielka strategia napoleońska? Tylko w warunkach absolutnego skłócenia państw europejskich i absolutnego egoizmu i ślepoty dawała ona wyniki. Bo spleciona była ze stosowaną przez Hitlera metodą preparatu politycznego. Polityka zagraniczna niemiecka wyluskiwała każdego kolejno przeciwnika z jego naturalnych koneksji i interesów politycznych, każdą kampanię tak rozgrywała politycznie i propagandowo, jakby w niczym ona nie dotyczyła pozostałego świata, chociażby sąsiada o miedzę. Była to swoista gra uśmiechu i pięści, grymasu dyplomatycznego wobec ofiar, na które jeszcze nie była pora, pięści wobec ofiary będącej na rozkładzie. Tę grę dyplomacja hitlerowska dobrze prowadziła, wiedząc, że im sprawniej, szybciej i potężniej uderza pięść, tym skłonniejsi są uwierzyć uśmiechowi ci, do których okazjonalnie był on kierowany. Wszystko to mogło się udawać w sytuacji, gdzie między ofiarami kolejnych najazdów hitlerowskich nie było śladu jedności, śladu wspólnego interesu. Mają słuszność, którzy powiadają, że

nieszczęście rozpoczęło się w Monachium, podówczas bowiem po raz pierwszy ofiara stała samotna<sup>9</sup>.

W pismach Mussoliniego odnalazłem następujący tekst. Mussolini w czerwcu 1918 roku w „Popolo d'Italia” ogłosił artykuł pod tytułem: *Ośmielić się*, a w nim pisał:

„Wierzę, iż jest sprawą palącą, by z jak największym zdecydowaniem wprowadzić element jakościowy w tę olbrzymią wojnę ilościową. Wierzę, że czynnik jakości powinien osiąść przeważający udział w grze wojennej antagonizmów, która jak dotąd była tylko ilością, prawie wyłącznie ilością. Jest faktem, że Niemcy nie tylko nam narzuciły wojnę, lecz zmusiły nas również do podjęcia ich metod wojennych, ich mentalności wojennej. Nie wprowadziliśmy do nich żadnej nowości. Na wojnę pozycyjną odpowiedzieliśmy wojną pozycyjną, na wojnę mas wojną mas. Przyjęliśmy użytek gazów trujących na wielką skalę, kiedy w dziesiątku bitew Niemcy rzuciły je na nas. Podobnie z miotaczami płomieni... W prowadzeniu wojny ze strony Czwórprzymierzą jest tylko jeden nowy element: tanki brytyjskie, czyli wozy szturmowe. Zdaje się jednak, że i na tej drodze zatrzymano się w pół drogi. Czwórprzymierze mogło być wydobyć wiele usług z lotnictwa: lecz i w tej dziedzinie dziennikarze i poeci byli dalekowzroczniejsi aniżeli ludzie rządzący, a przecież odpowiedzialni...

Chciałbym wygłosić takie zasadnicze zdanie: wojna będzie wygrana przez grupę walczących, która najszybciej i najgłębiej zmieni charakter wojny i przetworzy ją w wojnę wojowników, świadomych i gotowych z entuzjazmem znieść wszystko, co było dotąd jedynie trudami i ofiarami zrezygnowanych tłumów”.

Oto o czym już pod koniec poprzedniej wojny światowej marzyli jej prości kombatanci, dyktatorzy faszystowskie czasu drugiej wojny światowej. Marzenie znakomicie przylegające do jej pierwszej fazy zawartej w datach 1939–1941. Druga faza rozpoczęła się od najazdu na Związek Radziecki i nie wiadomo, dokąd jeszcze potrwa. Kampania letnia obecnego lata nie zapowiada jej końca. Ta faza druga mieści w swoim przebiegu znacznie więcej logiki aniżeli kampanie z lat 1939–1941. W wymiarze nieskończenie rozleglejszym, w wymiarze cyfr i przestrzeni wciągających cały glob ziemski do współakcji, wojna światowa zdaje się powracać do klasycznej, zawsze istniejącej w historii zależności pomiędzy wymiarem zdobyczy a proporcją sił obydwu przeciwników.

Cała potęga Niemiec hitlerowskich, rzucona przed dwoma laty na Rosję, wolno przypuszczać, że w zamiarach niemieckiego dowództwa miała doprowadzić do jej rozbicia w pojedynku wprawdzie dłuższym i trudniejszym aniżeli z Francją czy Jugosławią, ale pojedynku o zasadniczo identycznych prawidłach: przewaga techniki i sprawności militarnej unieważniająca przestrzeń i liczbę, a więc znów skreślająca naturalne warunki wojny, stosunku sił i produkcji. Dowództwo niemieckie nie przyjmowało w swoją rachubę ubiegłej kampanii zimowej. Wprowadziły ją klasyczne warunki wszelkiej wojny. Dlatego ubiegłej jesieni z takim gorączkowym pośpiechem dobijało się to dowództwo do bram Moskwy i Leningradu.

Skreślenie warunków naturalnych przez technikę militarną nie nastąpiło. Do warunków naturalnych należy także siła oporu ideowego, poczucie obrony sprawy rewolucyjnej światowej kierujące komunistami. Nie traktują warunków naturalnych w sposób mechaniczny i jak uczeni hitlerowscy zwykli powiadać — geopolityczny. Kampania na

---

<sup>9</sup>nieszczęście rozpoczęło się w Monachium, podówczas bowiem po raz pierwszy ofiara stała samotna — chodzi o układ podpisany w Monachium 30 września 1938 r. przez szefa rządu Wielkiej Brytanii, Neville'a Chamberlaina wspólnie z reprezentującymi: Francję Édouardem Daladierem, Włochy Benito Mussolinim i Niemcy Adolfem Hitlerem; *układ monachijski* (zwany też *dyktatem monachijskim*) stanowił porozumienie dotyczące przyłączenia do III Rzeszy Niemieckiej części terytoriów Czechosłowacji, mianowicie Kraju Sudetów, na pograniczu z Niemcami i Austrią, zamieszkanego w większości przez ludność niemiecką. Czechosłowacja, której terytorium i suwerenność stanowiły przedmiot obrad i decyzji, nie była reprezentowana; po uzgodnieniu procedur i terminów oderwania regionu sudeckiego od Czechosłowacji (tj. pozbawienia jej 40% potencjału ekonomicznego oraz naturalnej linii obrony w razie niemieckiej agresji), wezwano ją do wysłania do Monachium swojego delegata, którego rola ograniczyła się do przeczytania i podpisania tekstu postanowień wręczonych mu przez premiera Chamberlaina. [przypis edytorski]

Wschodzie rozwinęła się w walkę długotrwałą i powolną, kraj napadnięty obroniła odległość centrów zaopatrzenia militarnego, liczba żołnierza, jego przekonanie o słuszności, a więc klasyczne reguły obronności w każdej walce narodów. Okazało się, że współczesna technika wojenna również posiada granice swojej rozprężności, nie tylko u brzegów mórz, nad którymi latem 1940 roku stanęła bezsilnie czysto kontynentalna machina wojenna hitlerowska. Podobnie pośród wielkich przestrzeni kontynentalnych, dostatecznie wielkich, ażeby przyjęły w siebie i rozpuściły efekt pierwszego uderzenia. Jeżeli te granice nie ujawniły się w pierwszej fazie obecnej wojny, to dlatego, ponieważ przestrzenie były jeszcze zbyt małe, przewyżka siły po stronie przygotowanego napastnika dawała efekt całkowity, do rozbicia całego organizmu państwowego strony przeciwnej prowadzący.

Istnieje zjawisko, które można nazwać — stopień rozprężności siły. W nocy zakładnikom przynależne, kiedy pociągi frontowe tłuką się spoza zakrętu, spod Trzebini, i bez zatrzymania przelatują rozpędzone, tak to staram się objaśnić. O ile mają ochotę słuchać. Bo wszystkie te dywagacje są nocne, mądrości nocne Clausewitzów<sup>10</sup>, którym najbliższy na front — do Oświęcimia.

Nie należy sądzić, ażeby ta rozprężność siły wzrastała równomiernie z postępem czasów. Jej rozrostowi przeciwstawia się odporność społeczeństw lepiej zorganizowanych, coraz sposobniejszych, ażeby odeprzeć nagłą zmianę sytuacji. Im bliżej naszych czasów, tym szerzej wszelkie zasadnicze wynalazki, wszelkie zasadnicze przemiany w sytuacji produkcyjnej są wiadome i teoretycznie dostępne każdemu narodowi. Człowiek poprzez technikę jest ściśle z innymi spleciony pod każdą szerokością geograficzną. Promień rozprężającej się siły urasta skokami, by znów się cofać i stabilizować. Wiele współczynników składa się na taki skok. Gwałtownie rozbudzone potrzeby określonych narodów, potrzeby gospodarcze, ideowe, kuszące je na drogę podbojów, nowe pomysły strategiczne, osobowości wodzów.

Kiedy te okoliczności narosną, kiedy podsumują się w sposób przez współczesnych nieprzewidywany, bo nasza orientacja historyczna jest zawsze orientacją wedle tego, co było — przychodzi zaburzenie sięgające dna, przekreślające wszelkie rachuby, promienie sił kreślą się po mapie Europy w kołach wielkich i nieprzewidywanych. Ileż przykładów takich ona oglądała; czy jest kontynent bardziej od niej przeorany tymi promieniami i mocniej przeświecający od historii — gdzie dotknąć!

Tak było w wojnie trzydziestoletniej za sprawą wynalazczości strategicznej królów szwedzkich. Tak za Napoleona dzięki pojawieniu się wielkiego wodza akurat wtedy, gdy istniał czekający właściwego użycia materiał na wielką niespodziankę militarną, materiał wyrobiony w rewolucyjnej kuźni roku 1789 — pierwszy naród o wysokiej liczebności, wyrzucający z siebie wojsko masowe, ludowe i masowo przekonane o słuszności swoich zdobyczy. Nie pierwsza wojna światowa, ale tamte kampanie przypominają to, co się odbywało w latach 1939–1941. I prawdopodobną trzecią fazę zmagania, kiedy szala ostatecznie przechylił się przeciwko faszystom i hitlerystom.

Promień siły, zakreślony czołgiem i samolotem, potrafił swoim zasięgiem ogarnąć całe państwa, prawie całą Europę kontynentalną. Zakreślony łodzią podwodną ogarnął wszystkie oceany. Aż utknął. Oto się waha i drży straszliwie napięta struna. Ekran z Kaukazem w rodzinnym miasteczku. Lokomotywy z napisem — *Räder müssen rollen für den Sieg*<sup>11</sup>. Nie tylko lokomotywy — fabryki, samochody. Wojna nowoczesna jest totalną nie tyle w sensie broni i zniszczeń, ile *totalną w sensie socjologicznym*. Żadna funkcja społeczna i gospodarcza nie jest dla niej obojętna, każda do ostateczności napięta i wyzyskana. Struna drży. Widowisko okrutne. A kiedy świt? Od której strony świt?

Znający prawa najgłębszej nocy nędzarz, Nikodem, powiada, że nikt nie wie, jak mało jest nocy bez gwiazd. I nie zna godziny prawdziwego świtu, trzeba mu odpowiedzieć.

25–28 sierpień 1942 r.

<sup>10</sup> Clausewitz, Carl von (1780–1831) — teoretyk wojny, generał, walczył w armii rosyjskiej i pruskiej, wykładowca Akademii Wojskowej, autor opublikowanej pośmiertnie książki *O wojnie*; popularność zyskały jego aforyzmy, takie jak „Wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami”; uważał obronę za najefektywniejszy sposób prowadzenia wojny. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *Räder müssen rollen für den Sieg* (niem.) — koła muszą toczyć się do zwycięstwa. [przypis edytorski]

## DWIE JESIENIE

*Jak czołg przetoczył się wrzesień  
ziemi ojczystej przez piersi,  
a moja dłoń jest bezbronna  
i bezbronna jest ziemia ojczysta.*

Władysław Broniewski

### I

Na ziemiach polskich położonych na wschód od Wisły okupacja niemiecka trwała pięć lat bez jednego miesiąca. Na ziemiach położonych na zachód trwała pięć lat i pięć miesięcy. Było więc na tych ziemiach wiele wojennych wiosen, wiele miesięcy, kiedy nadzieja mówiła — a może już tego roku? — i było wiele jesieni i zim, kiedy nadzieja zasypiała. Mimo to, kiedy już z tego niewielkiego dystansu, jaki posiadamy w roku 1946, patrzeć na lata okupacji, układają się one w porządek pór całkiem inaczej rozciągniętych w czasie i przeżyciach zbiorowych, aniżeli wskazuje na to kalendarz.

Ten czas okupacyjnego doświadczenia skupia się bowiem w trzy bardzo wyraźne pory, które tylko częściowo pokrywają się z astronomicznymi wycinkami roku. Skupia się przede wszystkim w dwie jesienie. Jesień roku tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć i jesień roku tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery, bardzo różne od tej przewlekłej doby, która je rozdziela. Doba ta, chociaż obejmuje kilka lat, bardziej jest jednolita i bardziej tylko do siebie samej podobna aniżeli do którejkolwiek z tych dwóch jesieni. Zatem: *dwie jesienie* — i okres, jaki wypada nazwać *pełnią okupacji*.

Jesień pierwsza, poprzez którą społeczeństwo polskie wchodziło w okres doświadczenia okupacyjnego. Jesień druga, w jakiej społeczeństwo to, przemienione i przetworzone głębiej, niż jest tego po dzisiaj dzień świadome, z doświadczenia lat okupacji wychodziło w życie normalne narodu. Pomiędzy nimi okres, w którym to społeczeństwo wytworzyło sobie jakieś sposoby bytowania w narzuconych mu warunkach, sposoby obrony gospodarczej i samotniczej, czysto indywidualnej, albowiem wszelkie formy zorganizowanej obrony społecznej — poza konspiracyjnymi — zostały mu odjęte. Dość powiedzieć, że zjawisko gospodarki wyłączonej i związane z tą gospodarką przeobrażenia w obrębie społeczeństwa polskiego, powstanie nowego mieszczaństwa, związane są z pełnią okupacji, a pierwszej jesieni zaledwie kiełkują. Jaką zaś rolę gospodarka wyłączona odgrywa podczas drugiej zasadniczej jesieni wojennej — ujrzymy.

Z tych dwóch twierdzeń chronologicznych niewątpliwie bardziej proste i oczywiste do przyjęcia jest zdanie dotyczące pełni okupacji. W miarę upływu czasu stosunki za okupacji upodabniają się do siebie bez względu na rok, do jakiego odnosi się konkretne, pojedyncze wspomnienie. Któż potrafi dzisiaj naprawdę dokładnie odtworzyć różnicę atmosfery psychosocjalnej pomiędzy wiosną 1942 a wiosną 1943? Któż zapamiętał dokładnie ceny z poszczególnych lat? Już dzisiaj trzeba wysiłku pamięci, ażeby ustalić we własnych wspomnieniach, której to wiosny Niemcy całkowicie nie reagowali na wzmożoną akcję bojową i zamachową, a której jesieni poczęły na słupach i murach jaskrawieć listy rozstrzelanych. Te listy wydają się tak dawne, jak cała okupacja w ogóle, ceny wydają się wysokie od pierwszych tygodni. Tak bowiem działa pamięć nasza: sumuje i upodabnia nawet koszmar.

Natomiast odrębność wstępnej i końcowej jesieni domaga się uzasadnienia i opisu. Spróbujmy najpierw w sposób czysto kalendarzowy. Mówiąc: jesień, na myśli mam w obydwu wypadkach porę znacznie rozciąglejszą, aniżeli jesień astronomiczna roku 1939 czy 1944. Tyle że kulminacja zjawisk, o jakich będziemy mówić, w obydwu wypadkach przypada na jesień prawdziwą. W rozumieniu, które pragnę uzasadnić, pierwsza z tych pór rozciąga się od chwili najazdu niemieckiego na Polskę do upadku Francji. Oprócz jesieni następującej po kampanii wrzesniowej obejmuje zatem zimę i wiosnę następnego roku. Druga z pór rozpoczyna się w głębi lata 1944 roku, kiedy armia radziecka wkroczyła na ziemie polskie, sięgać zaś powinna do wczesnej zimy 1945 roku, kiedy wszystkie ziemie polskie zostały wyzwolone. Siegać, kończyć się powinna w styczniu minionego

roku<sup>12</sup>. Ponieważ bynajmniej o tym czasie się nie skończyła, jeżeli idzie o szerokie masy społeczeństwa polskiego, mówić o niej warto i należy.

O takich dwóch jesieniach będziemy pisać.

## II

By ocenić należycie szok, którego w ciągu kampanii wrześniowej zaznało społeczeństwo polskie, należy cofnąć się do tych pojęć o własnej roli militarnej i politycznej, z jakimi przeciętny człowiek polski wkraczał w drugą wojnę światową. Będziemy najpierw analizowali pojęcia dotyczące roli militarnej, a to z tej przyczyny, że — ujrzymy to — w ich gwałtownym przekreśleniu zawiera się centralne miejsce szoku przebytego we wrześniu 1939 roku przez społeczeństwo polskie. Od tego miejsca w sposób promieniujący rozchodzą się dalsze objawy psychosocjalne owej jesieni.

Na to zaś bowiem, co w ciągu września 1939 stało się w tym społeczeństwie, nie ma innego terminu jak — szok. Czyli najbardziej gwałtowny, nieprzygotowany, zaskakujący wstrząs polityczny, społeczny i moralny. Wstrząs rozciągnięty na wszystkie dziedziny życia zbiorowego, na wszystkie twierdzenia, na jakich postępowanie i przewidywania opierały się jeszcze 31 sierpnia, jeszcze 1 września. Twierdzenia nieważne w tydzień później. Wstrząs ten nie był równomiernie rozłożony na wszystkie klasy społeczne. Przeciwnie, uzasadniony to niżej, inaczej przebiegał u chłopą, inaczej u robotnika, a wygląd klasycznego zawodu i rozczarowania nieotwierającego żadnych perspektyw posiadał tylko wśród inteligencji.

Szok związany był z błyskawicznym tempem pochodu niemieckiego, z przeżyciem terroru lotniczego, z niewidzianym dotąd związaniem działań bojowych z psychozą ucieczki ogarniającą całą ludność cywilną, z błyskawicznym zapadnięciem się dachu nad budowanym przez lat dwadzieścia gmachem państwa. Dzisiaj, po latach siedmiu, niełatwo jest odtworzyć przeraźliwą dotkliwość tego doświadczenia. Zblakło ono przez to, że podobnie runęła Holandia, Belgia, Francja, Jugosławia — ale społeczeństwu polskiemu przypadło pierwszeństwo w tym doświadczeniu. To wszystko prawda, wszystko to były czynniki wyzwajające ów wstrząs, ale w istocie był on związany z zawaleniem się pewnych pojęć, z powstaniem próżni psychosocjalnej, w którą natychmiast napłynęły treści najbardziej dziwaczne, najbardziej nieoczekiwane, pochodzące z przeróżnych i nagle ożywionych schematów historycznych.

I dlatego musimy najpierw określić, które to pojęcia runęły, tworząc na przeciąg pierwszej jesieni próżnię. Rozpocznijmy od przeżycia, jakie wydawało się wówczas sprawą tylko polską, zanim wiosną 1940 roku w przebiegu kampanii francuskiej nie okazało się powszechnym doświadczeniem strategicznym tej wojny. Spróbujmy temu przeżyciu nadać kształt słowa i wzruszenia, jakie posiadało wówczas, przed laty siedmiu. Oto dzisiaj dzień pierwszego września. Późne lato u stóp Śnieżki jest piękne i łagodne, kończą się żniwa, niech je przekreśli pamięć.

Żelazny i błyskawiczny pochód niemiecki wydawał się we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku jakoś znajomy. Kiedy w nocy ucieczki płonęły nieznane wsie, kiedy dniem i nocą, i znów nocą i dniem, w kurzu nieopadającym jak powłoka mgieł, w chrzęście i niskim, drażniącym huczeniu, sunął wszystkimi szlakami najeźdźca, powstawały w pamięci przytłumione wyobrażenia poczęte z czasów zniszczeń dawnych. Tak samo musiały wyglądać najścia Krzyżaków, z takim wilczym pośpiechem przez puszcze średniowieczne przerywać się musiały, byle naprzód, byle najdalej, zagony Tatarów<sup>13</sup>.

Ta sama też biegła przed nimi wieść grozy, obezwładniając wolę i decyzję, tym samym złym skrzydłem wyprzedzała krok najeźdźcy. Pancerni i biali krzyż na czołgach były krzyżackie, pośpiech i niepokój łupieżców był tatarski. Płowowłose Słowianin zbrojny w maczugę, w procę i ledwie okuty oszczep ścierał się z rycerzem w hartowanej zbroi. Karabin szedł na czołg, maczuga na miecz obosieczny. Ta krzyżacka różnica zwyciężała we wrześniu jak przed wiekami. I dlatego, zanim objawiły się inne klęski podobne,

Polska, Historia, Klęska,  
Wizja, Niemiec, Wojna

<sup>12</sup>w styczniu minionego roku — tj. w styczniu 1945 r.; szkice pochodzące z tego zbioru zostały zredagowane w latach 1946 i 1948 na podstawie notatek okupacyjnych. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Tak samo musiały wyglądać najścia Krzyżaków (...) zagony Tatarów — Oglądając w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym wspaniały film Eisensteina *Aleksander Newski*, uderzony byłem siłą podobnie zaczerpniętej z najdawniejszej przeszłości analogii wizualnej i historiozoficznej zarazem. [przypis autorski]

wyglądała na tak specyficznie polską i — chciałoby się powiedzieć — zgodną z tradycją polskich upadków militarnych.

W tygodniach wrześnieowej wędrówki ujawniały się również w przeżyciu prawdy inne i prześlepione w latach pokoju. Z kart geografii zbiegły mądrze uładzone zdania o kraju przejściowym, otwartym, o przeważającym procencie granicy niebezpiecznej, o oporze, który na tej ziemi postawi tylko człowiek, ponieważ nie pomoże mu w tym przyroda. Do końca życia nie zapomnimy tych niesamowicie trwałych pogód września, rozpiętych nad płaszczyznami różańcem dni upalnych i nocy zatłoczonych od gwiazd. Różańcem tak niezmiennym, że zatracala się rachuba dni i wydawać się mogło, że sam czas przystawał w locie, że zastygał w pysznej obojętności przyrody, obojętnej na dopełniające się w jej tle losy ludzkie.

Ziemia nasza była jedną wielką mapą rozwijaną pędem bombowców. Jak nieme i przeżalone zwierciadło przyjmowała na siebie cienie przelatujących eskadr i nie myliła ich z obłokami. Drogami wlokły się kłębowiska kurzawy, nieściekające ku ziemi, podniecane nowym milionem słów. O przedrannej godzinie wstawały mgły i majakiem rozcieńczały martwiejący w ostatniej kwadrze księżyc. Milczące i znużone rzesze, wędrujące w tych godzinach, zdawały się pochodzić wprost z zapomnianych grobów powstańczych, na podobną klęskę beznadziejności podniesione nocnym oddechem ziemi. Ponure zmarłych wstanie wszystkich mar zapomnianych na krótką chwilę niepodległości.

Bagna nadrzeczne nad Nidą, spękane i pobrużdżone w skorupiaste wieloboki, nie wciągały stóp. Wisła przestawała toczyć wody i po przedwczesnym wysadzeniu mostu zapóźnione pułki przechodziły ją w bród. Z wyschniętych studzien wiadra czerpały brudny szlam. Odludne drogi, strzechy porośłe niezrywaniem nigdy mchem, płatki plecione z nieobrobionych gałęzi, bajora pełne wymierających żab. Dla ludności miejskiej, a ona przede wszystkim została ogarnięta pędem ucieczki, było to odkrycie nieznanego, oglądanej dotąd z okien wagonu ojczyzny. Odślaniała się prowincja polska i wieś, nędzne i zesmutniałe w ubóstwie, w zapadłej, małorolnej biedzie, rzadko ozdobione pamiątką wspanialszych czasów, kraj, którego świetność historyczna mieści się w dalekiej przeszłości, a terażniejszość ukształtowały niewola, wiekowe błędy rozwoju społecznego, leniwa obojętność ludzi zamieszkujących ziemię, o której pisał poeta:

Nie dla nas winnic modrych stok  
I winnic wdziek, i winnic sok,  
A dla nas pyłny owsa łan  
karczmarz Żyd, i wódki dzban.<sup>14</sup>

Nie wszystko w tym obrazie było tak ponure. Nie minął miesiąc, a do łańcucha nazw historycznych powtarzanych z czcią przybyły nowe klejnoty. Tym cenniejsze, im bardziej świadomość zbiorowa potrzebowała pokrzepienia, im silniej tęskniła za legendą i potwierdzeniem, że bohaterstwo żołnierza, że cierpienia porwanej wędrówką ludności nie były daremne. Nazwy Warszawa, Kutno, Westerplatte, Hel ustaliły się natychmiast w nowej swojej roli. Poprzez trzaski i tupot niemieckich orkiestr wojskowych przedzierał się w aparacie radiowym pobrzękujący jak ginąca mucha głos Warszawy. Rwały się zmęczone zdania prezydenta Stefana Starzyńskiego i obnażonym do żywej kości sensem płakała melodia *Warszawianki*. Nie wstydzili się wówczas ludzie łez.

Jest dzień pierwszego września 1946 i nawet tutaj, daleko od tamtych ugorów, pokrytych wczesną rdzą jesienną i pleśnią wrzosów, trudno się opędzić od wspomnień.

### III

Wspomnienia przełożmy na język, którego nie znaliśmy jeszcze we wrześniu. Ten przekład dokonał się później, w obliczu kampanii francuskiej, utrwaliła go zaś kampania jugosłowiańska. We wrześniu wszyscy w Polsce sądzili, że tylko wyjątkowe błędy i kłamstwa ukryte pod skorupą tzw. tajemnicy wojskowej, a oznaczającej całkowicie nieprzystosowanie militarne naszego kraju do wymagań współczesnej wojny, stanowiły przyczynę klęski. Kampania francuska była bowiem czymś w rodzaju rehabilitacji.

<sup>14</sup>Nie dla nas winnic (...) wódki dzban. — fragment wiersza Jarosława Iwaszkiewicza z tomu *Księga dnia i księga nocy* (1929). [przypis edytorski]



Z przerażeniem na widok błyskawicznego rozpadu maszyny wojennej anglo-francuskiej mieszało się uczucie o takim mniej więcej wyglądzie: a przecież nie okazaliśmy się najgorsi, przecież w proporcji sił wrzesień polski znaczy tyle co sześć tygodni francuskiego oporu. W ciemności nastającej u kresu pierwszej wojennej jesieni było w tym porównaniu jakieś światełko — zupełnie bezsilne zrazu. Jeszcze niewyjaśniające tego przewrotu w oczekiwaniach wojennych światełko, które dopiero po napaści Niemiec na Związek Radziecki, po Stalingradzie szczególnie, stało się zrozumiałe.

Ale przełożmy wreszcie doświadczenie wrześniowe na język obalanych w nim pozione pojęć strategicznych. Przekładając pamiętajmy wciąż, że będąc pierwszym preparatem doświadczalnym owej jesieni, jeszcze zupełnie nie pojmowaliśmy, o co chodzi. Cóż bowiem wiedzieliśmy jedynie? Że masowe i celowe użycie broni pancernej oraz lotnictwa daje napastnikowi przewagę, która grzebie wszelkie przewidywania o przebiegu starcia. Ujrzelśmy tylko nagle i jaskrawo, że dysproporcja siły pomiędzy narodem liczniejszym a mniej liczny pogłębiła się na niekorzyść narodu słabszego w sposób przez nikogo nieprzeczuwany.

Państwo o trzydziestu kilku milionach mieszkańców, którego obywatele posiadają wielokrotnie sprawdzone w historii cnoty żołnierskie, gdyby na jakiejś idealnej płaszczyźnie walki, nieistniejącej naturalnie nigdy w dziejach, mogło się spotkać z państwem siedemdziesięciomilionowym, nie jest w porównaniu z nim aż tak słabe, ażeby doszczętnie rozpaść się w niecałym miesiącu. Państwo dwudziestomilionowe nie jest tak słabe, by zostawać rozniesionym w dwa tygodnie. Tymczasem w pierwszym terminie upadła Polska, w drugim miała upaść Jugosławia. Przypadający w Polsce militarny początek drugiej wojny światowej wyglądał z pozoru całkiem nielogicznie, poza granicami przewidywań. Tyle tylko było wiadome, bo tyle zostało doświadczane na szosach wrześniowej klęski.

Nie wiedzieliśmy natomiast, że w tej rzekomej nielogiczności skrywa się po prostu nieznaną czynników i faktów czysto militarnych, które chociaż obecne w chwili rozpoczęcia starcia, nikomu nie mogły być wówczas znane w swoich skutkach. Chociaż teoretycznie każdy zapowiadał, że druga wojna światowa będzie odmienna od pierwszej, działał jednak dyktat wyobraźni, urobionej według wyglądu wojny 1914–1918. Bo nasze myślenie, nasza wyobraźnia operuje zastanymi schematami dużo częściej, niż o tym wiemy, a momenty całkowitego zagubienia historycznego polegają zazwyczaj na tym, że przedawniony schemat wyobrażeń okazuje swoją nieskuteczność, a wyobraźnia mimo to czepia się go w sposób rozpaczliwy. Tak też czepiała się w oczekiwaniu drugiej wojny, z zupełnie ponadto paradoksalnym przydatkiem. Nikt absolutnie w to nie wierzył, ażeby nowa wojna jako całość miała być dłuższa od poprzedniej, a mimo to poszczególne ofensywy i kampanie bynajmniej się nie skracaly w proporcji tego oczekiwania. Przeciwnie, wojna jako całość miała być krótka, a poszczególne kampanie miały być o długości mniej więcej zbliżonej co w pierwszej wojnie światowej. Dziwny splot trwogi ze schematem! Sposób wywalczenia zwycięstwa w tamtej wojnie, zbliżony do partii szachów, którą się poddaje na długo przedtem, zanim wszystkie figury zostaną wybite, utwierdzał jeszcze mocniej ten splot i nie pozwalał przewidzieć zaciekłości ideologicznej drugiej wojny światowej.

Nie wiedzieliśmy bowiem, że jeśli idzie o sztukę militarną, pierwsza wojna światowa raczej była wyjątkiem niż regułą. Po krótkiej fazie ruchomej — marsz na Paryż, ruchy frontu wschodniego — zastała w operacjach niesłychanie przewlekłych, nieproporcjonalnie krwawych wobec zysków taktycznych. Stało się to z powodu przewagi obrony nad atakiem. Czołg i samolot jako broń napastnicza, dająca mu możliwość inicjatywy i ruchu, pojawiły się zbyt późno i były technicznie zbyt niedoskonałe, ażeby zaważyć na ostatecznym wyniku. Główną bronią tamtej wojny światowej wydaje się karabin maszynowy jako broń trudna do zniszczenia najbardziej uporczywym ogniem artyleryjskim, a zabójcza dla piechoty muszającej atakować bez osłony rowu strzeleckiego. Mają rację ci, którzy piszą, iż pierwsza wojna światowa była właściwie okresem wielkiego upadku sztuki wojennej, albowiem nie są jej świadectwem rzezie setek tysięcy dla zdobycia jednego wzgórza, jednego fortu. Dodajmy wszakże, że ten upadek wywołany był przede wszystkim ówczesnym stanem techniki produkcyjnej, która nie dostarczała dowódcom środków zdolnych na polu bitwy przemienić olbrzymie masy wojsk nowoczesnych w jednostki ruchu i inicjatywy.

Wojna, Historia

Nie wiedzieliśmy nadto, że aktem rozegranym nad Wisłą otwiera się widowisko wielu błyskawicznych i efektownych kampanii, z których każda zamykała się werbalnym epilogiem Adolfa z wąsikami, tak brzmiącym, jakby historia wojen niczego podobnego dotąd nie oglądała. Armia odpowiednio zaopatrzona w nowoczesną technikę ruchu z równą sprawnością poruszała się po bezdrożnych równinach Polski, co przez gęste linie fortyfikacji zachodnich, co pośród gór i przełęczy bałkańskich. Poruszała się mimo niebywałego skomplikowania swego aparatu. Motor docierał wszędzie — to niewątpliwie było nowością. Wędrowcy na drogach wrześnieowej ucieczki modlili się każdej godziny o deszcz, sądzili bowiem, że tylko brak odpowiedniej ilości błota na polskich drogach pozwala się posuwać gąsienicom niemieckich czołgów. Resztę historia oglądała, i to w lepszych wydaniach. Bonaparte spadający niespodziewanie z Alp w kampanii włoskiej na tyły Wurmsera czy Gustaw Adolf z niewielką armią przemierzający błyskawicznie całe Niemcy dokonywali w proporcji swoich czasów większego zaskoczenia od generałów hitlerowskich. Nie wspominajmy już Hannibala czy Aleksandra Wielkiego.

Nie wiedzieliśmy również, że ten polski akt pierwszy, jeżeli wnosi elementy całkiem nowe, wnosi je nie tylko dla rozbitej armii polskiej. Istnieje powiększający się w miarę rozwoju historii *stopień rozprężności siły militarnej*. Na prostym schemacie objaśnijmy, co ów termin oznaczać może. Wyobraźmy sobie wojownika, który z bronią znaną starożytnym wyrusza pieszo w pochód wojenny w kraju całkiem niezaludnionym, stepowym, pozbawionym większej ilości zwierzyny. Posiada miecz, tarczę, włócznię, a koń nie stanowi dla niego instrumentu bojowego, ponieważ wojownik ten nie nauczył się posługiwania strzemionami i łatwo go z siodła strącić. Jego działanie bojowe ściśle jest zależne od prowiantu, który zdołają unieść jego tabory, a tych pojemność możliwą do zabrania nietrudno przewidzieć. Można tych wojowników uzbroić wielu, ale naprawdę do walki użyć się oni dają tylko w pewnej proporcji pomiędzy tymi warunkami naturalnymi a siłą nagromadzoną do walki. Stopień rozprężności tej siły jest bardzo niski. Ale ci sami wojownicy niech uformowani będą w oddziały jazdy zaopatrzonej w strzemiona, jazdy mało dla siebie wymagającej i zdolnej przebywać wielkie przestrzenie, zyskują promień siły tak wielki, że zanim przeciwnik się opamięta, leży na obu łopatkach. Schemat wymyślony? Nie, w schemacie tym powtarzamy rzeczywiste przejście militarne od starożytności do wędrowek ludów.

Nie wiedzieliśmy, że zakreszony przez użycie czołgu i samolotu promień siły tak się rozprzestrzenił, że potrafi swoim zasięgiem od jednego rzutu ogarnąć całe państwa. Rychno ogarnął prawie całą Europę kontynentalną, a wrzesień polski został tylko wielkimi manewrami. Zdobyć niemiecka osiągnięta w kampanii wrześnieowej stanowiła tylko pierwszy okrąg obwiedziony ruchem cyrkla o nowym ramieniu. Stało się to dzięki tkwiącym w czołgu i samolocie właściwościom pośpiechu i natychmiastowego wyzyskania sukcesu. Te obydwie bronie nadwyżkę siły, jaką posiada lepiej uzbrojony i lepiej do wojny przygotowany napastnik, przenoszą natychmiast w kraj napadnięty, zagarniają w promieniu dotąd nieoglądanym.

Nie wiedzieliśmy spraw jeszcze ważniejszych. Oto zaledwie wstępne ogniwa wojny przynoszące błyskawiczne zwycięstwa Niemiec stały się zrozumiałe militarnie, kiedy ten sens znów został przewrócony w wielkich zmaganiach na Wschodzie. Znowuż się okazało, że ponad współczesną techniką wojenną górują klasyczne i pradawne prawa wojny, proporcja ogólnego stosunku sił, stosunku przestrzeni, materiału ludzkiego i jego liczebności. Okazało się, że ów promień siły, jeżeli mu się przeciwstawi odpowiednia głębokość teatru wojennego, pozwalającego w nim rozpuścić skutki szoku powstałego po przełamującym uderzeniu, jeżeli natrafi on na dowództwo zdolne odnawiać swoje rezerwy, wówczas nie tylko nie zakreśli kręgu wokół nowej zdobyczy, ale promień ów, złamany, zmuszony do skracania się, powróci do gniazda wyjściowego i jak cierń wbije się w serce napastnika.

Nie wiedzieliśmy sprawy jeszcze donioślejszej. Czynniki oporu ideologicznego oraz bezwzględnej wiary w słuszność bronionej sprawy, kiedy przydanym mu zostało odpowiednio silne ramię techniki wojennej, osiągnął w armii radzieckiej współudział w zwycięstwie niespotykany od czasu tryumfu wojsk walczącej rewolucji francuskiej. Wojna, która póty składała się z błyskawicznych epizodów, póki w odrębnych pojedynkach narzucanych przez Niemców przeciwnikom dobieranym według najdogodniejszego dla Hi-

tera porządku dzisiejsza technika wojenna mogła się rozprężyć i polykać całe państwa, ta wojna rozciągnęła się w kampanie niezwykle wyczerpujące i długotrwałe, odkąd te nowe okoliczności znalazły się we względnej równowadze. Ale pod bombami w poranek 1 września 1939 ktoś przypuszczał, że bomby te będą padać dłużej aniżeli pociski w pierwszej wojnie światowej?

Nie wiedzieliśmy pierwszej jesieni z tych spraw jeszcze ważniejszych, że swoje błyskawiczne zwycięstwa początkowe zawdzięczają Niemcy nie tyle czołgom, ile nieprzedawnionej w ich przekonaniu sytuacji politycznej powstałej po układzie monachijskim. Nie wiedzieliśmy, że dlatego tak niecierpliwie przyspieszają kampanię polską, by złożony dowód siły, ukłonić się przez kanał La Manche i dać do zrozumienia, że sytuację monachijską można i teraz odtworzyć. Nie wiedzieliśmy, że ukłon ten powtórzą jeszcze nieraz. Specjalnie w przeddzień najazdu na Związek Radziecki: oto wykonujemy zlecony nam wówczas, w tamtej konfiguracji politycznej, kierunek ekspansji, przeprowadzamy na własną rękę, ale nie we własnym tylko imieniu krucjatę antykomunistyczną. Nie wiedzieliśmy, że swoją metodę wypreparowywania przeciwnika z jego naturalnych koneksji politycznych zawdzięcza Hitler sytuacji monachijskiej.

Kto nie wiedział? Będę się starał mówić o stanowisku politycznym każdej warstwy społecznej naszego kraju, ale w tym wypadku liczba mnoga oznacza warstwę, do której należę. Inteligencja polska naprawdę najmniej wiedziała.

#### IV

Pierwszej jesieni wojennej nie znaleźmy zatem prawie wszystkich „dlaczego”. Poczuliśmy jedynie, że na głowy runął strop. Ale właśnie dlatego, że istotna proporcja klęski i jej powody docierały w stanie zamąconym, padający na głowę strop wywoływał szok, który przebiegał przede wszystkim według polskiego wymiaru klęski. Przynosił wstrząs, który nakazywał poszukiwać przyczyn we własnym domu, w jego złym politycznie i społecznie urządzeniu. I ten wstrząs byłby już pierwszej jesieni mógł uzdrowić politycznie społeczeństwo polskie, gdyby... Tych „gdyby” będzie wiele. Niewątpliwie jednak na krótki okres uzdrowił, a z czego uzdrowił, rozpatrzmy poprzez wspomnienia.

Powstanie niepodległego państwa polskiego w wyniku pierwszej wojny światowej było rezultatem zupełnie wyjątkowej konfiguracji politycznej. Konfiguracji, w jakiej tak kończąca się Rosja carska, jak wstrząsane klęską Niemcy cesarskie nie były zdolne wywrzeć istotnego wpływu na powstające pomiędzy nimi państwo. Kiedy ponadto po wojnie 1920 roku udało się Piłsudskiemu zrealizować częściowo kuszący go program ekspansji ku wschodowi, powstało złudzenie, że niepodległość swoją Polska międzywojenna zawdzięcza własnej sile. O decyzji partii komunistycznej w Rosji przekreślającej traktaty rozbiorowe i uznającej prawo Polski do samodzielności państwowej mało kto pamiętał. Mało też kto pamiętał o wpływie tej decyzji na politykę państw koalicyjnych wobec sprawy niepodległości Polski pod koniec pierwszej wojny światowej. Upadek Rosji carskiej rozwiązał tym państwom ręce i uwolnił od zobowiązań sojuszniczych, ale nie dlatego, ażeby naprawdę mocarstwom zachodnim zależało na sprawie tej niepodległości czy na dopełnieniu nadziei moralnych ciągnących się od stuleci. Dlatego natomiast, ponieważ w nowej grze politycznej wypełniającej się na przedpolu Związku Radzieckiego państwo polskie stawało się istotnym elementem tej gry. Stworzyć miało i tworzyło główne ogniwo kordonu sanitarnego oddzielającego Rosję komunistyczną od reszty Europy, z chwilą kiedy zawiodła interwencja bezpośrednia.

Tymczasem w Polsce trwało złudzenie niepodległości odzyskanej wyłącznie dzięki samemu sobie. Złudzenie przerodziło się w mit troskliwie pielęgnowany przez obóz sanacyjny, a z chwilą oderwania Polski od łączności z kontynentalną polityką francuską, po roku 1933, ten mit w propagandzie obozu rządzącego wybujał ponad wszelką miarę. W tych dopiero latach na serio głosi się mocarstwowość Polski, a frazes taki jest konieczny jako zasłona dymna osłaniająca przed własnym społeczeństwem awanturniczą politykę zagraniczną u boku Niemiec i Włoch. Bo społeczeństwo w olbrzymiej większości nie posiadało zaufania do kierunku przekreślającego wszelkie, nawet papierowe i czysto traktatowe gwarancje niepodległości. Do kierunku, który na ich miejsce nie stwarzał żadnych gwarancji realnych, oprócz perspektywy wasala u boku hitlerowskich Niemiec.

Polska, Historia, Państwo,  
Polityka, Wolność

Zatem w mocarstwowość istotną jako uzasadnienie całkowitego samotnictwa politycznego postawionego oko w oko z faszyzmem niemieckim mało kto wierzył. Istniała jednak dziedzina, gdzie frazes ten wydał owoce. I były to znów owoce jak najbardziej przydatne dla obozu sanacyjnego, dla traktowania pułkowników jako geniuszów przydatnych na każde stanowisko. Frazes mianowicie wydał owoce w sferze sądów o sile militarnej kraju. W to, że Polska pod względem militarnym stanowi partnera zdolnego do prowadzenia polityki nie liczącej się z najbardziej podstawowymi możliwościami politycznymi i geograficznymi kraju, wierzono dosyć powszechnie.

Dlaczego wierzono, rzecz to inna. W kraju tak zacofanym przemysłowo, jak nasz przed wojną, mało kto oceniał realnie związek siły obronnej ze stopniem uprzemysłowienia. W kraju wydającym tak dzielnych żołnierzy nikt z nich nie przypuszczał, że bitność osobista nie wyrówna nawet w skromnym stopniu różnicy uzbrojenia i przygotowania technicznego. Wreszcie filtrowane w społeczeństwo teorie wojenne przepowiadające bezapelacyjną wyższość konia nad motorem, owsa nad benzyną, usypiały krytycyzm wywodem rzekomo fachowym. Prymitywnymi środkami bojowymi rozegrana kampania 1920 roku umacniała te teorie, a w znacznej mierze dawała im podstawy. Resztę okrywała tzw. tajemnica wojskowa. Kiedy ponadto w widłach Sanu i Wisły rozpoczęto budowę kilku fabryk zbrojeniowych i huty stali, zowiąc to szumnie COP-em<sup>15</sup>, strategicznie chronionym od niespodzianki, mit docierał do granic histerycznego wmówienia i byli, którzy twierdzili, że Niemcy spieszą się z wojną, ażeby nie dopuścić do ukończenia COP-u. Bo jeśli tylko zbudujemy... I nagle piachy i lasy między Rzeszowem a Sandomierzem pozbawione bryły węgla nabierały wymiarów Zagłębia Ruhry.

Szok kłęski militarnej uderzył więc w miejsce najmniej u społeczeństwa chronione, najbardziej obnażone. W przeciągu kilku dni ujawniło się, że pod tajemnicą wojskową kryje się pospolity *bluff*, że armia do wojny nowoczesnej jest absolutnie nieprzygotowana. Ale uderzenie w to właśnie miejsce nabrało charakteru promieniującego i nie ograniczyło się tylko do spraw wojskowych. Nabrało dlatego, ponieważ obóz polityków w mundurach właśnie na mundurze opierał swoje racje polityczne i społeczne. Tak więc podstawa zaufania do obozu rządzącego, jaką wmuszano społeczeństwu i jaką niejednemu rzeczywiście wmuszono, okazywała się opartą na ślepotcie, kłamstwie i lekkomyślności. I dlatego we wrześniejących warunkach uderzenie w mundur nabrać musiało i nabrało charakteru rozprzestrzeniającego się na całą przeszłość przedwrześniową.

Jeśli idzie o zagadnienia czysto militarne, ten wstrząs został później złagodzony przez konfrontacje z dalszymi kampaniami Hitlera. Nie został natomiast złagodzony w swoim oddziaływaniu promieniującym. Cechą zaś pierwszej jesieni jest to, że obydwa te kierunki zaznaczone są w psychice społeczeństwa polskiego z równym natężeniem. Nie było w ciągu całej okupacji drugiego okresu, w którym reżim byłby równie mocno potępiany, w którym wszelkie, później dokonywane w konspiracji, próby jego wybielenia byłyby bardziej nieskuteczne.

## V

Oddziaływanie przybrało różny charakter zależnie od klasy społecznej i pisząc: potępiany, musimy określić dokładnie, przez kogo. Sanacja opierała swoje rządy na biurokracji i znacznej części inteligencji. Inteligencka rekrutacja społeczna Legionów, szczególnie korpusu oficerskiego, który później został korpusem rządzącym, wyodrębniła tę grupę od reszty społeczeństwa. Wyodrębniła na mocy tego specyficznie polskiego objawu, jakim był dotąd zawsze w naszym kraju proces zamykania się inteligencji we własnym klanie, nawet kiedy dopływała do niej krew społeczna chłopska. Inteligenckość tzw. obozu legionowego posiadała jeszcze mocniej i w bardzo specjalny sposób podkreślony charakter. Była w niej domieszka jakiegoś mesjanizmu *à rebours*, na przekór własnemu społeczeństwu. Tekst pieśni *My, Pierwsza Brygada* ma w tym względzie wymowę dokumentu socjologicznego. Domieszka ta po schwytaniu władzy w ręce wyraziła się jakimś całkowitym otorbieniem tego obozu, sięganiem wyłącznie po własne i topniejące rezerwy personalne z lat legionowych, i to sięganiem tym bardziej zaawansowanym, im dłużej było się przy władzy.

Polska, Pozycja społeczna,  
Walka klas, Władza, Elita,  
Urzędnik

<sup>15</sup>COP — Centralny Okręg Przemysłowy. [przypis edytorski]

Grupa o takim pochodzeniu, stanowiąca rozszerzoną liczebnie formację socjologiczną „drużyny wodza”, jak ją opisuje w znakomitym studium pod tym tytułem Aleksander Hertz, szukając dla siebie oparcia ideologicznego, znajdowała je w teorii elity. Dlatego w niej, ponieważ teoria ta, powzięta z prefaszystowskich poglądów Vilfredo Pareto, najlepiej zaspokajała i teoretycznie tłumaczyła, ba, nadawała trwałą rzekomo godność historiozoficzną tej rekrutacji społecznej, jaka obowiązywała w grupie legionowej. Stąd teoria elit powstających na firmamencie społecznym i krążących po nim na podobieństwo samotnych komet była ulubioną teorią oficjalnych socjologów sanacyjnych. Regeneracja zaś legionowej komety, szczuplejącej przez upływ czasu, zgony i zużycie ludzi, dokonywać się miała tylko z surowca biurokratycznego i inteligenckiego. Ten to proces odtwarzają *Mury Jerycha* Brezy w jego stanie na progu wojny.

Wstrząs wrześniowy w całą tę nadbudowę teoretyczną uderzył w sposób bezlitosny. Ale uderzenie zostaje przyjęte na rozmaity sposób, zależnie od tego, jak dalece dana klasa społeczna związana była z ustrojem sanacyjnym i odpowiedzialna za pojęcia polityczne wytworzone po roku 1926. Najbardziej odpowiedzialne sfery inteligencji i biurokracji zareagowały zjawiskiem, które nazwać wypada *zerwaniem z miejscem odpowiedzialności*.

Wyjaśniam od razu, jakie objawy z września 1939 umieszczam w tej kategorii. Masowa ucieczka biurokracji sanacyjnej, cywilnej i wojskowej, od generałów do sierżantów, od ministrów do starostów, była w tym miesiącu zjawiskiem, które całą tę biurokrację skompromitowało w oczach społeczeństwa. To bowiem w dwudziestu kilku milionach uciec nie mogło i nie miało gdzie, i dlatego oceniło ten objaw jako ucieczkę szczurów z okrętu wpędzonego przez nie na skały. Nie obchodzi nas jednak moralna ocena tej ucieczki. Starajmy się zrozumieć jej mechanizm ideologiczny, a poprzez to zrozumienie dojdziemy dopiero do skutków moralnych i do znaczenia samego objawu.

Dlaczego uciekali właśnie ministrowie i generałowie? Czy tylko lęk o własną skórę? Przecież w limuzynach spieszących do Rumunii nie brakowało ludzi niegdyś odważnych. Uciekali raczej dlatego, ponieważ daremnie wszczepianą społeczeństwu teorię elity, jedynie powołanej do rządów, samym sobie ludzie ci zaszczepili w sposób skuteczny. Byli przekonani, że unosząc głowy za granicę, zabierają ze sobą instrument najcenniejszy, bo instrument przyszłej władzy nad krajem, który dla dobra tego kraju należy ocalić za wszelką cenę. Zachowywali się też, znalazłszy się poza krajem, jako naczynia szczególniejszej władzy. Nie chcieli się nią dzielić, Mościcki wyznaczał następcę, jakby klęska kraju była fikcją, a rzeczywistością jedyną trwanie „Dziennika Urzędowego” określającego sposób przekazywania władzy prezydenckiej. Zrywali na jakiś czas z miejscem swojej odpowiedzialności, ale samej odpowiedzialności na siebie nie przyjmowali, nie wyrzekali się też jej formalnych atrybutów. Na firmamencie rozpiętym nad płonąca Europą czekała na godzinę swego ponownego wzejścia — elitarna kometa.

W tej grupie inteligencji i biurokracji uderzenie zatem w ogóle nie zostało przyjęte do wiadomości. I ludzie obozu rządzącego dlatego masowo uciekali za granicę, ponieważ, ujrawszy wstrząs wrześniowy, pragnęli siebie usunąć poza zasięg jego oddziaływania, pragnęli umknąć od wyrzutów i świadków, a pozostać przy automatycznie przedłużonych funkcjach. Inaczej inteligencją, która pozostała w kraju. Ta z miejscem swojej odpowiedzialności zerwać nie mogła. Ta w zastępstwie nieobecnych wysłuchiwała wymierzonego przeciwko nim oskarżenia i oburzenia. Ta wreszcie — milczała. Bo oburzenia były słuszne, oskarżenia celne. Dla tej warstwy społecznej pierwsza jesień tworzyła okres największej dezorientacji i zagubienia ideowego. I dlatego, ponieważ poczucie próżni wywołanej klęską było w tej klasie najsilniejsze, nierównoważone poczuciem dokonanego zwycięstwa politycznego, jak to miało miejsce u chłopów i robotników — w próżnię tę gwałtownie wtargnęły schematy. Przedawnione, a z pozorów aktualne schematy historyczne; po raz drugi zapowiadamy te tajemnicze schematy, za trzecim nawrotem już je opisujemy.

Całkiem odmiennie odpowiedział na szok wrześniowy robotnik i chłop polski. Klęska była jego zwycięstwem politycznym. Była słuszością otrzymaną po najbardziej lichwiarskiej cenie. Odsunięty od bezpośredniego udziału w rządach, na skutek ciężkich warunków materialnych tylko nielicznie przedzierający się na szczybel pełnego awansu kulturalnego, nieobecny jako składnik rekrutacyjny w teoriach elity, robotnik i chłop nie ponosił odpowiedzialności za prefaszystowski kierunek polityki zagranicznej. Nie uczestniczył też

Władza, Elita, Ucieczka,  
Wojna, Tchórzostwo

w biurokratycznej konstrukcji państwa. Klęska potwierdziła po niewczasie słuszność jego oporu politycznego, szczególnie ostro przebiegającego od lat kryzysu<sup>16</sup>.

Pierwszej jesieni wojennej powstała skutkiem tego sytuacja, w której jakże łatwo można było przed oblicze wroga postawić wewnętrzną rozgrywkę społeczną i polityczną i wrogowi dać z tej rozgrywki argument. Tymczasem poza wypadkami indywidualnego donosicielstwa z zemsty, z porachunków osobistych, które było częstym niestety zjawiskiem pierwszej jesieni, rzecz ułożyła się inaczej. Jako świadectwo wysokiego wyrobienia politycznego i dumy narodowej klas ludowych zapisać należy, że rozgrywka ta pozostała wewnętrzną rozgrywką Polaków. A każdy utajony kandydat na polskiego Quislinga<sup>17</sup> wiedział, iż rozgoryczenia i oburzenia na rumuńskich uciekinierów nie da się nigdy skapitalizować w proniemiecki i profaszystowski sposób. Niewątpliwie wpływała na to również niedźwiedzia taktyka okupanta wobec ludności, ale sama ta taktyka jeszcze nie decydowała. Decydowało zdrowie polityczne i trzeźwość masy ludowej. Prosty człowiek polski tej jesieni, chociaż nie czytał ich nigdy, instynktownie spełniał słowa poety i może dlatego te słowa były wówczas tak przejmująco i boleśnie bliskie:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,  
obca dłoń ich też nie przekreśli,  
ale krwi nie odmówi nikt:  
wysączymy ją z piersi i z pieśni.<sup>18</sup>

Ci, co krwi nie odmówili hojnie, pamiętali o obcej dłoni.

## VI

W próżnię wywołaną klęską wtargnęły pierwszej jesieni wojennej schematy, schematy te rychło ze świadomości inteligencji poszerzyły się na poglądy innych klas i one to sprawiły, że rekonwalescencja społeczna i polityczna naszego społeczeństwa już pierwszej jesieni zaczęła przebiegać znacznie wolniej, aniżeli to zapowiadała siła doznanego uderzenia. Z końcem zaś tej jesieni, przypadającym na lato 1940 roku, schematy te proces ozdrowieńczy prawie całkowicie powstrzymały.

Na miejsce błędnych i doszczętnie przegranych pojęć o Polsce mocarstwowej, jako kraju silnym i za równego uważanym wśród tzw. młodych, dynamicznych i pokrzywdzonych przy podziale dóbr tego świata, napłynęły pojęcia inne. Pojęcia pochodzące z arsenału niespełnionych dotąd nigdy przepowiedni i nadziei politycznych, z lamusa historycznych i poetyckich racji XIX stulecia. Ażeby określić, jakie to pojęcia, przypomnijmy konfigurację polityczną z jesieni 1939 roku. Armia niemiecka, zanim doszła do wschodnich granic Polski, napotkała na drodze swojego pochodu wkraczającą również do Polski armię radziecką. Niektóre tereny już przez siebie zajęte armia niemiecka musiała opróżnić, tak że z początkiem października ustaliła się biegnąca Sanem i Bugiem wschodnia linia demarkacyjna przyszłego Generalnego Gubernatorstwa. Zrazu bowiem w oficjalnej nazwie zajętych, a nieprzyłączonych do Rzeszy terenów polskich okupacyjno-militarny charakter ich posiadania był ujawniony. Nazwa brzmiała: *General Gouvernement für die besetzten polnischen Gebiete*<sup>19</sup>. Dodatek ów odpadł dopiero w roku 1940, kiedy GG stało się *Nebenlandem* wielkiej Rzeszy.

Naiwni sądzili, że armia radziecka wkracza do Polski, by wystąpić przeciwko Niemcom i bronić reżimu, którego flirty z Hitlerem tak ponuro się kończyły. Rychło się okazało, że armia ta nie wkracza w tym celu. Z jakimi zaś zamiarami przychodzi, pierwszej

<sup>16</sup>*lata kryzysu* — tj. lata 1929–1933, tzw. wielki kryzys, który objął wszystkie dziedziny gospodarki, zarówno przemysł, jak rolnictwo, i wszystkie państwa oprócz ZSRR, niepodlegającego mechanizmom gospodarki kapitalistycznej; za początek kryzysu uznaje się tzw. czarny czwartek (24 X 1929 r.), kiedy masowa wyprzedaż spowodowała panikę na giełdzie nowojorskiej na Wall Street i gwałtowny spadek cen akcji, a w konsekwencji szereg bankructw i kolosalny wzrost zadłużenia; bezrobocie osiągnęło 30%, spadek produkcji przemysłowej dochodził do 50% (m.in. w Polsce), trzykrotnie zostały zmniejszone obroty handlowe. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*Quisling, Vidkun* (1887–1945) — norweski działacz polityczny, przywódca nacjonalistyczno-konserwatywnej partii Nasjonal Samling (tzn. „Zjednoczenie Narodowe”); premier Norwegii (w okresie od 9 do 15 IV 1940 oraz od 1 II 1942 do 9 V 1945), współpracujący z hitlerowską III Rzeszą podczas II wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Są w ojczyźnie rachunki krzywd* (...) — fragment wiersza z kwietnia 1939 r., pt. *Bagnet na broń* autorstwa Władysława Broniewskiego. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*General Gouvernement für die besetzten polnischen Gebiete* (niem.) — generalne gubernatorstwo na okupowanych obszarach polskich. [przypis edytorski]

jesieni mało kto w Polsce umiał zinterpretować. Wobec tego układ terytorialny i polityczny powstający na gruzach Rzeczypospolitej międzywojennej ułożył się w świadomości inteligencji polskiej w kształt schematu ciężącego nad naszą historią przez cały okres rozbiorów. Ponowne porozumienie mocarstw zaborczych, ich zgoda na ciele Polski — tak wyglądał ów schemat, nagle wydobyty ze składu minionych pojęć historycznych.

Równocześnie wyłonił się schemat drugi i jeszcze głębiej zakorzeniony w niespełnionej dotąd, a przepowiadanej historiozofii poetyckiej. O wojnę ludów prosimy Cię, Panie, o wojnę ludów za sprawę Polski, która przyniesie nam wolność — modlił się Mickiewicz i rzeczywiście odbyła się już jedna wojna ludów, która tę wolność przyniosła. Tamta wojna ludów jednak nie rozpoczęła się o sprawę Polski. Tymczasem druga wojna światowa miała właśnie ów początek marzony przez wieszczów i mistycznych historiografów narodu. Gwarancje granic udzielone przez Wielką Brytanię dotyczyły Grecji, Rumunii i Polski. Na tych trzech płotach zawieszono zostały dzwonki alarmowe dla napastnika i o każdy z nich wojna mogła być wybuchnąć. Tymczasem propaganda reżimowa tak kwestię podawała społeczeństwu, jak gdyby dzwonek alarmowy przeznaczony był wyłącznie dla Polski. Propaganda taka w nieoczekiwany sposób trafiała w nadzieje pochodzące jeszcze z *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*.

Ale nie tylko druga wojna światowa wybuchała rzekomo o sprawę suwerenności i niezależności Polski, wypełniając schemat marzeń politycznych żywotnych od czasu Napoleona. Rychło i klęska zdołała się pomieścić w schemacie podobnego pochodzenia. Ze zdumiewającą szybkością i łatwością dokonał się owej jesieni przeskok od Polski silnej ręki, mocarstwowego trzymania za mordę — do Polski nieszczęśliwej, udręczonej, szlachetnej, cierpiącej dla zbawienia drugich.

Rozbiorowa rzekomo sytuacja na ziemiach ojczystych pociągnęła za sobą do życia dalszy schemat pochodzący również z porozbiorowych czasów. Całe pokolenia emigrantów polskich marzyły wówczas, ażeby na zachodzie Europy zrozumiano nareszcie rolę polityczną Polski. Ażeby tam, ściślej: we Francji, naród polski mógł posiadać swoją legalną reprezentację polityczną. Pierwszej jesieni wydawać się mogło, że to pragnienie spełnia się w pogrobowy sposób. Francja, klasyczny w XIX stuleciu kraj ochrony dla emigrantów politycznych z całej Europy, została na przeciąg kilku miesięcy siedzibą rządu polskiego. Emigranci-powstańcy, ludzie hotelu Lambert patrzący w stare wierzby wyspy św. Ludwika daremnie na to oczekiwali. Ich pragnienia spełniały się powrotnie. Małe miasto prowincjonalne Angers<sup>20</sup>, w proporcji naszego kraju jakiś Płock czy Tarnów, zostało stolicą Polski — *in partibus oppressorum*<sup>21</sup>.

Tak więc w próżni politycznej wywołanej klęską dokonało się w kraju jakieś wielkie zmartwychwstanie uspokajających schematów politycznych. Uspokajających, ponieważ w konsekwencji swojej zapowiadały one, że przebieg wojny potoczy się na podobieństwo pierwszej wojny światowej, tyle że z poprawką na korzyść Polski, jako początkowego politycznie, mesjanicznego w odgrywanej roli ogniwa. Tymczasem ani jeden z tych schematów nie był już aktualny i tylko na chwilę, na tę jedną jesień, historia przystała na dawno poniechanych pozycjach, rozniecając dzięki temu analogie całkowicie już przebrzmiałe.

Od klęski Francji ruszyła z tych pozycji w całkiem nowy i nieprzewidywany sposób, przekreślając chwilowe schematy. Dzięki temu wszakże, że tak bardzo one odpowiadały urobionym w Polsce nałogom historiozoficznym, że tak dalece ustalały one społeczeństwo w ramach, które nie wymagały żadnych nowych decyzji społecznych i politycznych, szczególnie zaś nie wymagały społecznie — schematy pierwszej jesieni zdołały się zakorzenić bardzo głęboko. I upadek Francji dlatego został w okupowanym kraju przeżyty tak boleśnie, dlatego oplacano go samobójstwami jak klęskę wrześnieową, ponieważ burzył cały ten uspokajający gmach pojęć. Ponieważ otwierał nową próżnię, ale próżnię jeszcze gorszą, bo wytrawioną z analogii historycznych i militarnych obowiązujących pierwszej

<sup>20</sup>Angers — miasto w zach. Francji w dolinie Loary, nad brzegiem rzeki Maine, staroż. osada celtycka, a nast. rzymska, stolica Andegawenii; od listopada 1939 do czerwca 1940 r. miasto było siedzibą (o statusie eksterytorialnym) polskiego rządu na uchodźstwie z premierem Władysławem Sikorskim oraz prezydenta RP, Władysława Raczkiewicza. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*in partibus oppressorum* (łac.) — w częściach (oponowanych przez) opresora (okupanta); wyrażenie utworzone analogicznie do „in partibus infidelium”, tj. w prowincjach zamieszkałych przez niewiernych. [przypis edytorski]

jesieni. Ta nowa próżnia wymagała wielkiego wysiłku wyobraźni politycznej. Wymagała spokojnej i realnej oceny nowych faz wojny. Niestety, w warunkach polityki konspiracyjnej, wśród życia na niby, wysiłek ów nie został wykonany. Schematy runęły jako fakty, a przecież jakoś trwały jako wyobrażenia zbiorowe. Opiszemy ten dwoisty proces, mówiąc o drugiej jesieni.

Analogie były pozorne. Schemat rozbiorowy i schemat emigracyjny fałszywie określały rzeczywistość. Postępowanie polityczne i militarne Związku Radzieckiego jesienią 1939 roku należało interpretować nie na tle zadawnionych pojęć rozbiorowych, ale na tle niedawnej sytuacji monachijskiej. Od chwili napaści Niemiec na ZSRR i nim powstały nowe urazy, interpretację tę w kraju powszechnie rozumiano. Nie mijał przecież jeszcze rok od dnia, kiedy w Monachium, rzucając Hitlerowi na pastwę Czechosłowację, wyraźnie dano mu do zrozumienia, że ostrze ekspansji niemieckiej powinno iść na Wschód, że nadszedł czas zużytkowania jego potęgi militarnej w tym kierunku, gdzie towarzyszyć jej będzie przychyłność świata kapitalistycznego. W kierunku na Związek Radziecki.

Korzyści sytuacji monachijskiej Hitler zepsuł łączywym postępowaniem wobec resztek Czechosłowacji. Awanturniczo ryzykował, wdając się w konflikt z Polską. Mimo to nie uważał on, że tak postępując przekracza granice cichych i intencjonalnych pełnomocnictw otrzymanych w Monachium.

Po rozgromieniu Polski składał w pierwszych dniach października propozycję pokoju, czyli nawrotu do układu monachijskiego przy wzmocnionych pozycjach własnych. Ba, zapewniał, iż gotów jest odbudować państwo polskie, wyobrażając je sobie naturalnie pod rządami jakiegoś Tiso<sup>22</sup>, Paveliça<sup>23</sup> czy Antonescu<sup>24</sup>. Okrojone od zachodu, sprowadzone do granicy niemiecko-rosyjskiej z roku 1914, państwo takie zapewne byłoby otrzymało na podobieństwo Rumunii Antonescu szerokie posiadłości terytorialne sięgające Dniepru. Dopiero kiedy propozycja październikowa została odrzucona, Hitler w tydzień później mianował Franka generalnym gubernatorem, odsunął armię od odpowiedzialności politycznej za okupowane tereny polskie (początkowo gubernatorem miał być generał Rundstedt) i rozpoczął organizację tych terenów pod bezpośrednimi rządami partii narodowosocjalistycznej. Propozycje ponawiał — misja Hessa — ciągle zatem sądził, i nie sądził błędnie, że kroczy według monachijskich intencji.

Polityka ZSRR w świetle tej sytuacji była jasna. Nie wolno było dopuścić, ażeby impet pierwszego uderzenia niemieckiego skierował się na Związek Radziecki. Nie wolno też było dopuścić, ażeby pozycje niemieckie dla grożącego konfliktu tak zostały poprawione, by mogło się to stać groźne. Niemcy, zajmując bez oporu całą Polskę w jej granicach wschodnich 1939 roku, wasalizując ewentualnie ten kraj — bo i z tym należało się liczyć! — stwarzaliby sobie takie pozycje wyjściowe. Posunięcie z 17 września przekreślało te rachuby, osadzało armię niemiecką na linii Sanu, Bugu i Narwi. Posunięcie zaś to zrozumiałe jest jedynie w kontekście dyplomatycznym monachijskim.

Tymczasem pierwszej jesieni, wśród urazu klęski, wśród rozgoryczenia jej doświadczeń, mało kto w społeczeństwie polskim ocenić umiał sytuację według jej nowych i nieschematycznych elementów. Dlatego również mało kto, ponieważ w sytuację monachijską polityka zagraniczna Polski była mocno wplątana i za nią współodpowiedzialna. Skutek ten, że istotne przesłanki tej sytuacji były szczelnie maskowane przed społeczeństwem.

<sup>22</sup>Tiso, Jozef (1887–1947) — słowacki ksiądz katolicki, doktor teologii, lider Słowackiej Partii Ludowej, w l. 1939–1945 prezydent Republiki Słowacji, podporządkowanej polityce hitlerowskich Niemiec; sprawował rządy totalitarne, zniósł wolność sumienia i słowa, zakazał działalności partii opozycyjnych; kiedy sierpniu 1944 na Słowacji wybuchło powstanie narodowe, wezwał na pomoc siły III Rzeszy, które doprowadziły do krwawego stłumienia irredenty, uczestnicy powstania zostali wymordowani lub masowo wysłani do obozów koncentracyjnych; po wojnie ks. Tiso został osądzony i powieszony za zbrodnie wojenne. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Pavelić, Ante (1889–1959) — w l. 1941–1945 szef współdziałającego z hitlerowskimi Niemcami i faszystowskimi Włochami Niepodległego Państwa Chorwackiego, odpowiedzialny za akty ludobójstwa na Żydach, Cyganach i Serbach; wcześniej przywódca faszystowskiej organizacji *ustazy* założonej na emigracji we Włoszech, opowiadającej się za katolicką, niepodległą Chorwacją i odpowiedzialnej za szereg zamachów bombowych, m.in. współorganizator śmiertelnego zamachu na króla Jugosławii Aleksandra I w 1934 r.; z wykształcenia prawnik. Dzięki pomocy duchowieństwa katolickiego, związanego z Watykanem, udało mu się uciec do Argentyny i uniknąć kary za popełnione zbrodnie. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Antonescu, Ion (1882–1946) — wojskowy i polityk rumuński, faszystowski dyktator Rumunii w latach 1940–1944, współpracujący z hitlerowską III Rzeszą. [przypis edytorski]



Tym szczerzej, im bardziej skutki tego uczestnictwa, mizerny zysk Zaolzia<sup>25</sup>, wystawiały rachunek najazdu niemieckiego na nieposłusznego partnera. Falszywy schemat rozbiorowy miał więc na czym zakwitnąć. Rozluźniony przez klęskę Francji, przekreślony ostatecznie od chwili najazdu Niemiec na ZSRR, schemat ten w pełni okupacji już nie oddziaływał i nie został przekazany drugiej jesieni. Natomiast nie stracił żywotności schemat emigracyjny. Choć nie Francja, lecz Anglia zamieniła się w balkon pełen emigrantów, chociaż rządów na emigracji przybyło tyle, że należało zrozumieć, iż gra jest całkiem odmienna od tęsknionej wojny ludów za sprawę Polski, chociaż od dni Stalingradu nawet ślepiec musiał widzieć, skąd przyjdzie na ziemi polskiej decyzja o ich przyszłości społecznej i politycznej, schemat emigracyjny żył. Twarzą ku Zachodowi obrócony żył nadal.

Warto w tym miejscu sięgnąć do przebiegu wojennego i bezpośrednio przedwojennego doświadczenia u najbliższego nam narodu: u Czechów. Dlatego warto, ponieważ w ten sposób zdobędziemy dodatkową przyczynę tłumaczącą, dlaczego schemat emigracyjny umieszczony na zachodzie Europy tak silnie się zakorzenił w naszym kraju, podczas kiedy mimo obecności czeskiego rządu emigracyjnego w Londynie o ileż słabszy był w tym kraju. Pewnie, że Czesi nie posiadają jego polskiej tradycji w wieku XIX. Pewnie, że w stuleciu tym Czesi zawsze orientowali się na Rosję, a ich słowianofilstwo posiadało określony kierunek. Ale nie tylko to! Zaznany przez społeczeństwo czeskie szok, a był on przecież podobny do polskiego wstrząsu, szarpnął nagle całą konstrukcją polityczną lat dwudziestu — ten szok uderzał w inne miejsce. Nie w zaufanie we własne siły, jak w Polsce, lecz w zaufanie do sprzymierzeńców z Zachodu. Nie orientujemy się w Polsce dostatecznie, czym dla narodu czeskiego było Monachium. Było zaś wrześnieowym wstrząsem Polski, rozegranym na jeszcze krótszej przestrzeni czasu, jeszcze gwałtowniej. Ponieważ zamiast tekstami polityków posługujemy się chętnie w węzłowych miejscach tego szkicu wywodami poetów, sięgnijmy do wspaniałej *Pieśni niepokoju* Franciszka Hałasy:

Dzwoni dzwoni zdradą dzwoni  
Czyjeż go ręce rozhuśtały  
O Francjo słodka cny Albionie  
Czechy was tak kochały.

Ty Francjo słodka ty Marianno  
frygijską czapkę swoją podaj  
Słoneczny szczyt twój roztrzaskano  
I hańbą cuchnie twoja zgoda.

Noc w schronach ciemnych i okopach  
i w ziemi krwi brzmi tętno  
do ciebie świecie do ciebie Europo  
ostatni żołnierz wstręt ma.

We wrześniu 1939 roku wstręt żołnierza polskiego skierowany był ku wnętrzu własnych, czysto polskich spraw. Europejskiego i emigracyjnego nigdy nie dotyczył. I dlatego schemat emigracyjny został przekazany drugiej jesieni wojennej w swym pełnym rozwoju. Dlatego zaważył na jej wyglądzie w tragiczny sposób.

---

<sup>25</sup>*mizerny zysk Zaolzia* — Zaolzie, część Śląska Cieszyńskiego na zach. od rzeki Olzy, zostało przyznane na konferencji w Spa w 1920 po I wojnie światowej Czechosłowacji; obszar ok. 800 km<sup>2</sup> zamieszkały w większości przez Polaków (ok. 70%) oraz przez mniejszości: czeską (ok. 18%) i niemiecką (ok. 12%), po konferencji monachijskiej z udziałem mocarstw zachodnich w 1938, w wyniku której Czechosłowacja została zmuszona do zaakceptowania przyłączenia do III Rzeszy zamieszkałego w większości przez Niemców Kraju Sudetów (oznaczało to zarazem pozbawienie jej 40% potencjału ekonomicznego oraz naturalnej linii obrony w razie niemieckiej agresji), tego samego dnia, 30 września 1938 Polska zażądała od rządu Czechosłowacji korekty granicy polsko-czechosłowackiej na terenie Zaolzia na zasadzie rozgraniczenia etnicznego, a uzyskawszy zgodę, 2 października przejęła Zaolzie. [przypis edytorski]

## VII

Podsumujmy stan, w jakim społeczeństwo polskie z pierwszej jesieni przechodziło w pełnię okupacji. Stan zatem z maja i czerwca 1940 roku. Wstrząs wrześniowy zestawiony z przebiegiem kampanii francuskiej przestał oddziaływać ze swą bolesną dotychczas dotkliwością. Klęska militarna stawała się czymś bardziej zrozumiałym, odsłoniły się bowiem nowe elementy militarne. Ich polskie wydanie przestało być jakimś wydarzeniem niespotykanym i wyjątkowym. Jak każdy moment otrzeźwienia i ujrzenia realnych proporcji zjawiska był to moment zdrowy. Skutki jednak, które za sobą pociągnął, przekreśliły jego zdrowy wpływ. Przede wszystkim znacznie osłabione i zneutralizowane zostało potępienie polityczne, jakie na obóz sanacyjny sprowadził wrzesień. Mogły się rozpocząć próby rehabilitacji mundur legionowego w jego politycznej funkcji. Wyniki tego na emigracji zachodniej nie kazały na siebie długo czekać. Pojawiły się próby zamachu stanu przeciwko Sikorskiemu. W kraju zmiany te wobec utajonych powiązań politycznych życia konspiracyjnego były mniej widoczne. Odczuwało się wyraźnie tylko to, że ostrze krytycyzmu politycznego, wymierzone w stosunki przed wrześniem 1939 roku, zaczęło tępieć.

Ponadto schemat emigracyjny uzyskiwał z końcem jesieni nieoczekiwane uzasadnienie. Były już masowe wysiedlenia z Wielkopolski. Były ustawiczne gwałty i morderstwa popełniane przez armię niemiecką. Była akcja krakowska z profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był pierwszy masowy „sprawiedliwościowy” mord w Wawrze, który na Boże Narodzenie 1939 roku wstrząsnął społeczeństwem. Było podobnych faktów wiele, mimo to polityka niemiecka wobec ludności polskiej nie posiadała jeszcze w pierwszej jesieni znamion bezwzględniego niszczytelstwa biologicznego. Dopiero maj roku 1940 przynosi pierwsze masowe łapanki w Warszawie. Dopiero czerwiec pierwsze fundamenty Oświęcimia. Przechodząc z jesieni w pełnię okupacji, społeczeństwo polskie przechodzi w „porządek prawny”, który będzie się zaostrzał, będzie się niekiedy cofał i wahał, ale swoje oblicze ustala właśnie u końca tej jesieni. I to właśnie było dodatkowym uzasadnieniem schematu emigracyjnego. Niejeden, który we wrześniu 1939 bezwzględnie potępiał, w czerwcu 1940 powiadał: — Każdy swoją głowę chroni. Trudno aż tak bardzo się dziwić.

Jeszcze nie przebrzmiały fanfary zwycięstwa nad Francją, jeszcze Hitler nie odkrzyczał swojej tryumfalnej mowy, a już szosy polskie w ostatnich dniach czerwca i pierwszych lipca 1940 roku zapełniły się wojskami pancernymi i zmotoryzowanymi pędzącymi dniem i nocą na Wschód. Żołnierze byli znużeni. Jechali wprost z Francji. Pytali, jak daleko posunęli się Rosjanie. Bardzo się dziwili, że na tych terenach nie ma żadnej wojny. Rychło wymiecione z taboru na czas kampanii francuskiej linie kolejowe zapełniły się transportami wojskowymi sunącymi na Wschód. Tygodniami, miesiącami. Nad wyspą brytyjską rozpięta się bitwa powietrzna, ale wojska lądowe dowództwo niemieckie przerzucało wciąż na Wschód.

Od owego niedzielnego popołudnia, kiedy pierwsze formacje czołgów przesunęły się przez podkrakowskie miasteczko, kiedy aż do wczesnie nastającej godziny policyjnej oglądało się ich wciąż nowe kolumny, sprawa była jasna. Wojna wchodziła w fazę decydującą. Krótkotrwały schemat rozbiorowy kończył żywot. Coraz więcej ludzi zaczynało go odszyfrowywać w sposób bliższy prawdy. Powiadam bliższy, a nie identyczny z prawdą, ponieważ główne elementy sytuacji monachijskiej nadal były zasłonięte przed pozostałym w kraju społeczeństwem. Ze zrozumiałych względów nie odsłaniali ich Niemcy. Z powodów równie zrozumiałych ze stanowiska swoich mocodawców nie odsłaniała ich związana z rządem londyńskim prasa konspiracyjna. A innej wówczas nie było.

Przejęcie od pierwszej jesieni w pełnię okupacji to zarazem przejście w stan, jaki domaga się całkiem odrębnego potraktowania i opisu. Nazwiemy to *życiem na niby*. Chodzi o to, że do wiosny 1944 roku wszyscy w Polsce kalkulowali wojnę według czasu trwania jej kampanii. Skoro te są błyskawiczne, wojna nie powinna trwać długo. Od chwili kapitulacji Francji stało się wiadome, że krótko może potrwać tylko wojna zwycięska dla Niemiec. Wojna zakończona ich klęską potrwać musi długo. (Ale i tak nikt nie sądził, że aż do maja 1945).

To całkowite przestawienie nadziei i obliczeń na nowe tory dokonać się musiało w sytuacji wyjątkowo trudnej. Nie tylko klęska Francji, ale ponadto równocześnie z nią za-

dane przez okupanta ludności w GG nowe ciosy świadczyły, że życie pod taką okupacją nie będzie podobne do żadnego z doświadczeń minionych. I właśnie w obliczu łapanek, Oświęcimia, przykręconej śruby gospodarczej, społeczeństwo w kraju musiało się zdobyć na decyzję wewnętrzną tej treści: wojna potrwa długo. Taka decyzja domagała się kompensacji, wyrównania wzmocnionego sensu oczekujących cierpień i prześladowań. Umacniała zatem schemat emigracyjny.

Należało się również umocnić od wewnątrz, tzn. w ramach życia pozostawionego mieszkańcom GG. Z pomocą przyszły zupełnie specjalne funkcje wyobraźni i świadomości zbiorowej wytworzone w tych warunkach. Rzeczywiste życie Generalnego Gubernatorstwa, panujący w nim ucisk gospodarczy i biologiczny, nasiloną propagandą sukcesów wojennych niemieckich — wszystko to zostało uznane za sferę życia na niby. Życie natomiast prawdziwe schroniło się gdzie indziej, w podziemiu polityczne, w tajną prasę, w coraz to obficiej zakwitające funkcje konspiracyjnego szkolnictwa, wydawnictw, działalności kulturalnej. Życie oficjalne, praca oficjalna były na niby. Na serio natomiast było jedynie tamto życie utajone i zazdrośnie chronione przed wrogiem. A już najbardziej na niby były w ocenie opinii GG niewątpliwe sukcesy militarne Niemiec. Przeciętny Polak dopiero po wojnie dowiadywał się, że np. cyfry dokonanych przez łódzie podwodne zatopień niewiele w komunikatach niemieckich odbiegały od rzeczywistości. Tak silnie obronna i ochronna funkcja tego podziału na życie rzeczywiste i pozorne skreślała w owej sferze uznanej za pozorną wszystko, co dla przetrwania padających wciąż ciosów było zbyt niebezpieczne. Co zbytnio podważało chwiejną równowagę obronną społeczeństwa wpędzonego w warunki przekraczające najgorsze przewidywania.

Przez pełne cztery lata, od czerwca 1940 roku do wiosny 1944, kiedy armia radziecka zaczęła się zbliżać do granic polskich, trwał ów podział. Okres dostatecznie długi, ażeby z funkcji obronnej przeszedł on w stan powszechnego nałogu, wobec którego bezsilne okazywały się fakty najbardziej oczywiste. A najbardziej bezsilne stały się one podczas drugiej jesieni wojennej i wówczas to szczególnie ostro się ujawniło, jak zasadniczemu skrzywieniu w nierealnych, na pół fantastycznych, na pół historycznych warunkach okupacji uległa wyobraźnia polityczna społeczeństwa polskiego.

## VIII

Napisaliśmy, że druga jesień wojenna rozpoczyna się w głębi lata 1944, kiedy armia radziecka wkroczyła na ziemie polskie. Początek owej jesieni należy jednak jeszcze bardziej uściślić — zaczęła się ona 1 sierpnia 1944, w dzień wybuchu powstania warszawskiego. Dlaczego w ten dzień? Ponieważ patrząc ze stanowiska mieszkańca GG dzień ów był chwilą, kiedy przynajmniej dla stolicy skończył się ów znamionujący życie za okupacji podział na sferę serio i na sferę niby. Kiedy nareszcie wszystkie przez pięć prawie lat przysposabiane podziemne funkcje życia zbiorowego mogły się przedrzeć w życie przeżywane realnie, codziennie. Kiedy ponadto, a moment to bodaj jeszcze donioślejszy, mogły się w to życie przedostać przygotowane przez te lata pojęcia i schematy polityczne. Z tym skutkiem, że po raz drugi, z nie mniejszą co we wrześniu 1939 dobitnością, społeczeństwo w kraju zobaczyło, że wychodzi z przesłanek całkiem fałszywych. Za błąd musiało zapłacić nową, dodatkową cenę.

Opowieść o drugiej jesieni wojennej rozpoczynać należy od trzech zagadnień jednocześnie. Od pojęć społeczeństwa polskiego na temat własnej przeszłości politycznej oraz na temat stosunków i przemian, w jakich społeczeństwo to żyło przez pięć lat okupacji. Od faktów ukrytych pod tymi pojęciami i w miejscach najbardziej centralnych całkowicie z nimi niezgodnych. Wreszcie od powodów rozbieżności pomiędzy koncepcjami nadającymi kierunek postępowaniu a istotną i fałszywie ocenianą podbudową tych koncepcji. Bo lata okupacji, chociaż wiedzę o nich tak krwawo opłacano, wiedzy o sobie nie udzieliły natychmiast. Dopiero dzisiaj z mozołem do niej docieramy.

Z tych trzech narzucających się w opisie ujęć decydowały o zachowaniu się społeczeństwa przede wszystkim pojęcia i koncepcje, które zdołały dotrzeć do świadomości zbiorowej i w niej się zakorzenić. Jakie z nich były najważniejsze? Traktowanie przez Niemców społeczeństwa polskiego jako zwartego i bezwzględnie wrogiego bloku, w który okupant uderzał z tą samą wszędzie srogością, od okupacyjnego spekulanta do księdza, od podrostka do profesora uniwersytetu, wywołało złudzenie, że postawione w stan permanent-

Polak, Niemiec, Wojna,  
Pozory, Walka klas,  
Polityka, Konflikt  
wewnętrzny

nego oporu patriotycznego społeczeństwo rzeczywiście tworzy taki blok. Że wszelkie istniejące w normalnej zbiorowości klasowe linie podziału przekreśla wspólna martyrologia o charakterze zrazu ogólnikowym, pozbawionym specyfikacji przestępstw politycznych mniej ważnych i ważniejszych ze stanowiska okupanta. Dlatego zrazu, ponieważ w miarę trwania okupacji gestapo zaczęło wyodrębniać działalność polityczno-konspiracyjną związaną z organizacjami demokratycznymi i podawać do wiadomości jako przestępstwo szczególnego kalibru. Tymczasem wspólna martyrologia tylko przytłumiła klasowe i polityczne linie podziału. Przytłumiła na samej ich zbiorowej powierzchni, nie tłumiąc bynajmniej w sporach politycznych życia konspiracyjnego. Te linie dojrzałe przez pięć lat jaskrawo wyskoczyły na ową powierzchnię podczas drugiej jesieni wojennej. Było to niespodzianką dla wielu mniemających, że ofiary okupacji padają za tę samą sprawę. Padają za sprawy różne.

Okupant, odbierając naszemu społeczeństwu wszelkie funkcje polityczne, uniemożliwiając mu najskromniejszy bodaj wyraz publicznej, jawnie manifestowanej woli politycznej, na krótką metę działał w sposób podniecający i przymuszający do oporu. Na dłuższą metę w sposób usypiający. Ta krótka meta objawiała się wprawdzie przez cały ciąg okupacji — ostatniej jesieni wojennej tak samo szło się do obozu za kolportaż prasy podziemnej, jak w roku 1941 czy 1942. Nie wymiar w czasie mam jednak na myśli pisząc: meta krótka, meta długa. Co innego mieści się w tych określeniach. Chodzi mi o skutki, jakie wywołało w opinii zbiorowej zepchnięcie jawnego życia politycznego w podziemie, w grupę zawodowców lub namiętnych specjalistów nieumiejących żyć bez działalności politycznej oraz przerzucenie tego życia na odległą, objawiającą się tylko za pośrednictwem dalekich decyzji emigrację londyńską i w Związku Radzieckim. Skutki te na dłuższą metę polegały na zwolnieniu od odpowiedzialności, od konieczności wyboru i decyzji politycznej, obowiązującej każdego świadomego człowieka w normalnym życiu społecznym.

„Ja cierpię, ja się poświęcam, na mnie czyha obóz, ale moje decyzje i postęпки naprawdę ustala i wybiera kto inny. W tym wyborze uczestniczę tylko plecami podstawionymi pod bat, ponieważ głowy odpowiednio otwarte znajdują się gdzie indziej i one wiedzą lepiej”.

Tak w skróconym schemacie przedstawiało się to złudzenie. Kiedy nastawała druga jesień wojenna, ten stan bynajmniej u większości nie ulegał naprostowaniu. Właśnie kruszenie się i bezsilność koncepcji londyńskiej utwierdzały sąd: oni tam wiedzą lepiej. Tymczasem druga jesień ujawnić miała, że główne i wiążące decyzje polityczne muszą zapaść w kraju, wśród ludzi przyzwyczajonych przez pięć lat do myślenia tylko plecami, a nie głową, i że od gatunku tych decyzji zależeć będzie przyszłość uwalnianego kraju.

Przy każdym opisie i badaniu zbiorowości ludzkiej najtrudniejszy do uchwycenia bywa moment, kiedy przemiany ilościowe przechodzą próg, na którym zamieniają się w nową jakość, w nową cechę odtąd obowiązującą. W normalnym życiu zbiorowym cały zespół instrumentów sygnalizujących i poznawczych nastawiony jest na ów moment. Sygnalizuje prasa, stwierdza reportaż dziennikarski i literacki. Nastawia swoją uwagę literatura piękna. Ponadto co chwila dane ich są korygowane przez żądania i sprostowania zgłaszane od strony materiału poddawanego obserwacji.

Wszystkie te instrumenty w latach okupacji były nieobecne. Jeżeli nawet wegetowały w ukryciu, jak twórczość literacka, nie chwytaly gwałtownie zachodzących przemian, a już prawie całkowicie niepodlegały sprawdzeniu ze strony opinii publicznej. Twórczość literacka docierała jedynie do martyrologicznych lub najbardziej ekspresyjnych szczytów fali przetaczającej się przez społeczeństwo polskie: obozy, konspiracja, tragedia Żydów. Samego przebiegu i składu społecznego tej fali nie określała ani za okupacji, ani nawet dzisiaj. *Gadzinówki*<sup>26</sup> przeznaczone dla ludności polskiej pisane były zupełnie z księży-

<sup>26</sup>*gadzinówka* a. *pismo gadzinowe* — czasopismo polskie służące propagandzie rządu zaborcy, okupanta lub systemu totalitarnego i finansowane przez ten rząd; w czasie II wojny światowej pierwsze *gadzinówki* w Generalnym Gubernatorstwie zaczęły wychodzić w Częstochowie: najpierw „*Goniec Częstochowski*” (ukazujący się nieregularnie po polsku i po niemiecku, od 14 IX 1939), a następnie dziennik „*Kurier Częstochowski*” (od 4 XI 1939 do końca okupacji), określana jako „centralny organ katolicki w GG”, ukazywała się z dodatkiem dla katolików „*Niedziela*”. [przypis edytorski]

ca. I tyle z rzeczywistym życiem ludności miały wspólnego, co promienie tej planety z krążeniem soków w drzewach.

Braku takich instrumentów nie zdołała nadrobić najbardziej wyczulona i wyostrowiona świadomość jednostki. Społeczeństwo polskie przymuszone zostało w GG<sup>27</sup> do prawie zupełnej niewiedzy o swym istotnym stanie, o dokonujących się w przyspieszonym tempie przegrupowaniach społecznych. Było jak człowiek w gorączce, któremu nikt nie założył termometru, by stwierdzić, co oznacza jego gorączka. Równocześnie z tą jego niewiedzą ludność kraju zmieniała się gwałtownie. Przecinające ją podziały klasowe ułożyły się w nowy sposób. Zmieniała się również pod względem biologicznym. Wyrastało całe młode pokolenie nieznające czasów przedwojennych. To pokolenie inteligentne, które skrważyło się w powstaniu warszawskim, które skrzywiło swoją psychikę w przeciągniętej na lata niepodległości konspiracji. A drugiej jesieni wojennej wszystkie te fakty wystrzeliły jako całości już gotowe, przez ogół w swoim wymiarze i skutkach niedostrzeżone. Bo społeczeństwo polskie trwało w pojęciach o sobie z jesieni 1939 roku, a fakty były z roku 1944.

Nie rozmnażajmy perspektyw w sposób nadmierny. Już te trzy przekrzywione i zamazane przez okupację zwierciadła wystarczą, ażeby odpowiedzieć, jak się w nich odbiło oblicze drugiej jesieni.

## IX

Centralny fakt drugiej jesieni, powstanie warszawskie, przedstawia się całkiem odmiennie dla walczącego uczestnika, odmiennie dla cywila z piwnicy, a już całkiem inaczej dla jego świadka z głębi kraju. Każdy wielki fakt historyczny posiada tę różnorodność zależną od pozycji, z jakiej był przeżywany, ale powstanie warszawskie różnorodność taka charakteryzuje w sposób zupełnie wyjątkowy. Dlatego, postaramy się tego dowieść. Na razie, mając pisać o tym najbardziej tragicznym ogniwie naszej historii, chciałbym określić, z jakiej pozycji przeżywałem powstanie warszawskie. Bo wiem, że ta pozycja określa również sąd o nim i stosunek. Dlatego nie będę mówił o niczym, co jest mi wiadome tylko z relacji uczestników czy późniejszej lektury. Chcę pozostać wyłącznie przy opisie powstania z perspektywy tej przeważającej części społeczeństwa w GG, które było tylko biernym jego obserwatorem, a natomiast czynne być musiało w wyciągnięciu wniosków.

Warszawę niezburzoną widziałem ostatni raz w pierwszych dniach lipca 1944. Nie przyjeżdżając do Warszawy, ujrzałem ją też pewnej październikowej nocy tego samego roku. Zobaczyłem ją ponownie, zburzoną i rzeczywistą, w marcu 1945. Niezburzona Warszawa mimo zadanych jej wojną i zadawanych ustawicznym tępieniem ludności ran była chyba najbardziej niezwykłym miastem Europy w latach drugiej wojny światowej. *Życie na niby*, to życie we wspólnej z okupantem i przez niego kierowanej rzeczywistości w reszcie kraju zagarniało olbrzymie płaty. Przymuszało do ustawicznej czujności na każde słowo. W tym natomiast mieście kurczyło się w tej proporcji, że każdy z nas, prowincjusz, przyjeżdżał do Warszawy niczym do jakiejś centrali z tlenem wolności. By tego tlenu nabrać do płuc na czekające po powrocie miesiące, jak pilot unoszący butlę z nim na wysoki lot. Warszawa, chociaż nie grała w niej działa, była właściwie przez lata okupacji w stanie permanentnego powstania. Nie dlatego, że strzelano na jej ulicach gęściej niż gdziekolwiek w GG. Dlatego, ponieważ miasto nigdy nie przyjęło do wiadomości klęski i okupacji. Nie przyjęło przede wszystkim w swoim obyczaju codziennym, w poczuciu pewności własnej, w zaufaniu wobec nadchodzącego losu. Warszawa była znów bohaterska i nadal z Wiecha.

Warszawa była ponadto zbyt wielkim środowiskiem miejskim, ażeby ją można w trybie czysto administracyjnym, przy braku kolaboracji uświadamiającej okupantowi atmosferę psychiczną środowiska, zamienić na miasto potulne, polakierować na kolor germański i czuć się u siebie. Dlatego stolicę GG umieszczono w mieście, które można było tymi sposobami przemalować na niemiecko. Niemcy, znający dobrze stosunki okupacyjne, Warszawy nienawidzili. Jeździli do niej niechętnie. Powiedzenie zaś, że znajdowała się w stanie permanentnego powstania, nie jest moim wynalazkiem. Zawdzięczam je pewne-

Powstanie, Polak, Historia

Warszawa, Wojna

<sup>27</sup>GG — Generalna Gubernia; ziemie niewłączone do III Rzeszy, okupowane przez hitlerowskie Niemcy. [przypis edytorski]

mu kwaterującemu w moim mieszkaniu urzędnikowi z Arbeitsamtu<sup>28</sup>, który, wybrawszy się na pół roku przed powstaniem do stolicy, wrócił zgnębiony. *Das ist eine verrückte Stadt. Immer im Aufstand*<sup>29</sup> — powtarzał.

Przez pokój owego urzędnika przewinęło się wielu kwaterujących Niemców. Wszyscy bardzo mocno odczuwali tę niezwykłość i odmienną Warszawę. Przerzucani z frontu na front, a nieznający stosunków w GG oficerowie pytali: — Dlaczego twierdzicie, że jest wam ciężko pod naszą okupacją? Drugiego tak bogatego i wesołego miasta jak Warszawa nie ma w całej Europie. Oficerowie przemierzali rzeczywiście całą Europę, jednego szczególnie zazdroszcząc temu wesołemu miastu, gdzie co dzień na ulicach odbywały się egzekucje — braku nalotów.

Niezburzona Warszawa była wyspą nie tylko na mapie okupowanej Europy. Była nią również na karcie Generalnego Gubernatorstwa. Z naszego stanowiska przede wszystkim na tej karcie. Mieszkańcy wyspy mało się orientowali w istotnej proporcji sił pomiędzy doszczętnie rozbrojonym i okupowanym narodem a najeźdźcą, nawet kiedy ten słabnął, nawet kiedy już był bity. Mało też wiedzieli, że w porównaniu z resztą gubernatorstwa żyją właściwie, chociaż każdego dnia z bezsilnością oglądali ofiary, w powietrzu wolności. Cóż dopiero w porównaniu z obszarami wcielonymi do Rzeszy!

Przeczuwali natomiast, i przeczuwali słusznie, że losy polityczne kraju będą się rozstrzygać na tej wyspie. Dlatego w pierwszych dniach lipca miasto było znużone i zdeorientowane. W sposób oczywisty kruszyła się londyńska koncepcja zwycięstwa. Wolność nadciągała drogą najprostszą i najbardziej logiczną: z armią radziecką, z oddziałami polskimi u jej boku. Armia ta w rozpędzie wiosennej ofensywy zbliżała się już do Bugu. Wszystkie ofensywy frontu wschodniego dokonywały się skokami. Nietrudno było przewidzieć, że i ten skok wiosenny gdzieś utknie. Do serca Niemiec było jeszcze daleko. Któż przypuszczał, że utknie właśnie na Wiśle, że na wiele miesięcy przekroi Warszawę? Że Syrena na Wybrzeżu Kościuszkowskim stać będzie w linii okopów?

Był czas przed ostateczną decyzją. Decyzja wymagała zerwania schematów, które zdążyły narosnąć i zeskorupieć w latach okupacji. Skupione, znużone miasto przeczuwało, że decyzja padnie ponownie wprost na jego mury. Że wojna na ziemiach polskich, swój finał we wrześniu 1939 roku mając w stolicy, finał drugi mieć będzie również na jej ulicy. A tymczasem na dzień przed powstaniem koneser Norwida wydawał mityczny odtąd zbiór nieznanych utworów poety. Do ostatnich dni z dworów ziemiańskich zwożono do stolicy cenne obrazy, rodzinne pamiątki, książki. Warszawa uchodziła powszechnie za miejsce bezpieczniejsze. Wyspa zaczynała się dołączać do łądów ogarniętych wojną, a nie przestawała być wyspą.

## X

Już pod koniec sierpnia zaczęli się pojawiać krewni i znajomi, którzy z peryferyjnych i szybko zdobytych dzielnic Warszawy zdołali się wydostać, unikając śmierci czy Oświęcimia. Słowo Pruszków<sup>30</sup> stawało się tak wiadome, jak to, które wymieniłem właśnie — Oświęcim. Mijały tygodnie. Wspólnie chodziliśmy do robót fortyfikacyjnych (mówiło się: „na okopy”). Nastawała jesień równie piękna, co w roku 1939. Szły jej tygodnie. Powstanie trwało wciąż.

Wydawało się to nieprawdopodobne, ponad normę wszelkiej ludzkiej wytrzymałości. Pewnego dnia, gdzieś we wrześniu, pojawił się u mnie wraz z żoną znakomity inscenizator, krytyk i tłumacz w jednej osobie<sup>31</sup>. Najświeższe odpryski personalne walczącej wciąż

<sup>28</sup>*Arbeitsamt* (niem.) — urząd pracy; w hitlerowskich Niemczech organ administracji państwowej zajmujący się sprawami zatrudnienia, w Polsce na ziemiach okupowanych przede wszystkim egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz wysyłaniem pracowników na roboty przymusowe do Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*Das ist eine verrückte Stadt. Immer im Aufstand* (niem.) — To jest zwariowane miasto. W stanie ciągłej insurekcji (powstania). [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Pruszków* — tu: niem. obóz przejściowy (*Durchgangslager* a. *Dulag*) w podwarszawskim Pruszkowie; utworzony 6 sierpnia 1944 na terenie dawnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego dla ludności cywilnej Warszawy i okolic, którą w trakcie powstania warszawskiego i po jego upadku masowo wypędzano z domów; pierwszymi więźniami byli mieszkańcy dzielnicy Wola; więźniowie byli wysyłani z Dulagu 121 Pruszków na roboty przymusowe do Niemiec a. do obozów koncentracyjnych; wielu zmarło w obozie z powodu wycieńczenia, chorób i złego traktowania; przez obóz przeszło ok. 400 tys. ludzi; Dulag 121 funkcjonował do końca 1944 r. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*znakomity inscenizator, krytyk i tłumacz w jednej osobie* — był nim Wilam Horzyca. [przypis autorski]

Warszawy. Podaliśmy herbatę. A wtedy żona jego, stukając łyżeczką o szklankę, zaczęła mówić: „Pan sobie sprawy nie zdaje, jak skomplikowaną rzeczą jest szklanka herbaty”. Zrobiłem zdziwione oczy. „Tak, skomplikowaną. Trzeba mieć czystą, niecuchnącą wodę, dużo tej wody, a trupi cuch przesiąka nawet pod ziemią; piec, w którym jest czym zapalić; komin, który nie został przetrącony w połowie i zasypany gruzem, i ciągnie dym; trzeba mieć szklankę, a w czasie obstrzału szkło najpierw się tłucze; trzeba mieć osobny imbryczek na esencję, a łyżeczka, a spodek. Dopiero kiedy człowiek nie ma nic, absolutnie nic, nawet własnej łyżeczki, zaczyna oceniać, jak skomplikowaną sprawą jest szklanka herbaty”.

Wszyscy ci ludzie absolutnie nie mieli nic. Śmierć otaczających człowieka przedmiotów, tych wszystkich najbardziej oczywistych narzędzi, bez których i Robinson niewiele mógł zdziałać, póki ich nie skonstruował na nowo, tę śmierć w procesie masowych wysiedleń Polaków, a szczególnie tępienia Żydów poznawaliśmy w stanie powolnym. Odpadały kolejno mieszkania, biblioteki, fortepiany, meble, poduszki, garnki. Rzeczy coraz bardziej konieczne, aż człowiek stawał nagi, najbardziej samotny, bo nawet wyzwolony od wszystkich tworów, które go wyróżniają od zwierzęcia, stawał nagi u brzegu mogiły, nad którym dokonywała się kaźń.

Taka śmierć otoczenia odbyła się tutaj nagle, na całym mieście, na całej jego powiązanej z indywidualnymi losami przestrzeni i na przestrzeni socjalnej, wyznaczającej wspólną wszystkim historię. Ludzie z kręgu tej śmierci wychodzili jednak niezłamani. Wychodzili spokojni, nieprzerażeni swoją ofiarą. W ich psychice dokonało się dziwne przemieszczenie istniejące już dawniej w okupacyjnej psychice naszego społeczeństwa, a teraz wzmocnione przez przykład Warszawy. Przemieszczenie tej treści: łyżeczki do herbaty są niezbędne, ponieważ bywa, że bez herbaty nie można się obejść, ale łyżeczki nie są czymś, do czego warto i należy przywiązywać wagę.

Był dzień 10 października i przyjazd pociągu ewakuacyjnego z ludnością warszawską zapowiedziano od samego ranka. Od rana też setki wozów chłopskich koczowały w miasteczku pod wodzą sołtysów, by kilka tysięcy mających nadjechać ludzi rozwieźć po gromadach i gminach okolicznych. W samych Krzeszowicach ze względu na obecność gubernatora Franka nie wolno było nikomu pozostać. Nieco osób i tak przycupnęło. Trzeba je było ukrywać jak przestępców. Mieszkańcy rozebrali między siebie przybyły z ulicy bodaj Siennej sierociniec. Towarzyszyła mu nieprawdopodobnie liczna — każdy jak mógł, chronił się przed wywózką — obsada opiekunów i opiekunek. Dzieciom po ich umieszczeniu, jak to u ludzi zazwyczaj, jednym było dobrze, drugim było gorzej.

Pociąg nie nadjeżdżał cały dzień, ciągle był tuż. Wreszcie o gęstym już mroku lokomotywa przytoczyła bardzo wolno przed sobą olbrzymi łańcuch węglarek. Był dłuższy od wojskowej rampy, popychano go, opróżniając kolejno. Nad ścianami wagonów poruszały się grudy niewidzianego dotąd węgla. Nie od razu spostrzegliśmy, że to głowy ludzkie. Kiedy grudy zaczęły coś pytać, wyglądało to na pomyłkę. Od transportu szedł smród. Deszcz o wieczorze rozpadał się na dobre, godziny nastąpiły bardzo ciemne, i rozpoczęła się noc, której nie zapomnę do końca życia. Całą tę noc podjeżdżały wozy. Konie szarpały się w ciemnościach. Pracowały kolby. Chłopi targowali się z przybyłymi i wybierali lepszych klientów. Gubiły się i skamlały dzieci. Pálono ogniska, krążyła butelka z wódką, kiełbasa z chlebą. Jedzono oglądając się podejrzliwie: kto nadchodzi, czy głodny? Padalo pytanie: „Duże to miasteczko? Czym tu można zahandlować?” Ostatnie trupy z transportu pogrzebano na poprzedniej, o sześć kilometrów odległej stacji. Granatowi policjanci przechodzili wzdłuż węglarek i wyciągali zatłamszonych starców. Transport pochodził z centrum miasta, z okolic Złotej i Siennej, był wyjątkowo obfity w starców i dzieci. Tak powiadali przybysze. Że wyjątkowo obfity. „Jak nam tyle tych dzieci i starych naładowali, to już myśleliśmy, że na pewno jedziemy do gazu. I ciągle ktoś z młodszych uciekał. A tu widać, że niepotrzebnie. Eskorta strzelała!”

Ta noc od razu wówczas wydała się dziwnie podobna do nocy wrześnieowych sprzed pięciu lat. Dwie jesienie zaczęły się nakrywać poprzez wszystkie dzielące je lata. Znów waliło się nierozumne, pozbawione jakiegokolwiek podobieństwa z przeżyciami innych narodów nieszczęście — tak samo jak było pozbawione tamto z września. Znów na ciasny, ileż ciałniejszy niż jesienią 1939 obszar, ograniczony linią frontu, przycółkami na Wiśle,

a granicą Rzeszy biegnącą tuż za Łowiczem, Radomskiem i Częstochową, wylewała się z rany ropa ludzka. Zaciekała do każdej wsi. Kto z mieszkańców Warszawy nie poznał pierwszej jesieni prawdy o polskiej prowincji i wsi, ten jej zaznał drugiej jesieni. W jeszcze dotkliwszych warunkach, chociaż bez wojny lotniczej. Bo obszar przeznaczony na to, ażeby wsiąknęła doń ropa, był równocześnie traktowany jako teren przyfrontowy. Rządziła nim obca armia, dbając tylko o swój militarny punkt widzenia. Demontowano pospiesznie fabryki, wywożono tabor kolejowy, na terenie Generalnego Gubernatorstwa pozostawały tylko wierzby, bunkry i zgęębieni do ostateczności ludzie.

Rozmiar ponownego doświadczenia był drugiej jesieni jeszcze bardziej okrutny — przez kontrast. O krok stała wolność. Całe już kraje europejskie wyzwolone od najazdu faszystowskiego podnosiły broń przeciwko najeźdźcy, a tutaj? Czyżby gorzkim przywilejem historii na tych ziemiach było to, że za głupotę rządzących, za ciasnotę egoizmu klasowego, za własną ślepotę rządzonych, za wygodę schematów myślowych niekontrolowanych, póki sama historia nie sprawdzi ich z bezwzględnością, jaką do wszystkich spóźnionych stosuje, zwykły człowiek w tym kraju płacić musi potrójną cenę cierpienia, marnotrawionego bohaterstwa?

Koniec wojny, jej ostatnia jesień, okazywał się na ziemiach jeszcze niewyzwolonych równie zamącony, równie mało podobny do przewidywań, jak jej inauguracja. Tym razem przecież człowiek odpowiadał inaczej. Zaciśkał twardo zęby i chociaż bolało — zdzierał skorupy.

## XI

We wszystkich okupowanych przez Niemcy krajach siła oporu ideologicznego przeciwko najazdowi faszystowskiemu przeradzała się w opór zbrojny. Jego kierownicy orientowali się, że opór ten po aktach sporadycznego, chociażby całkowicie kierowanego sabotażu i partyzantki będzie się musiał przerodzić w akt najbardziej jawny, demonstracyjny, w powstanie. Tylko w jednym kraju opór mógł się wyladowywać w ciągłej otwartej walce, w licznych i daremnych ofensywach niemiecko-włoskich, w stałym opanowaniu przez powstańców części kraju. Była tym krajem Jugosławia. Działo się to dzięki jej warunkom naturalnym, a może również i dzięki temu, że to ognisko zapalne leżało dosyć daleko od głównych i spodziewanych teatrów wojny, nie ściągając dzięki temu na okupanta specjalnego niebezpieczeństwa militarnego. W innych krajach opór był przygotowywaniem punktu kulminacyjnego — powstania na tyłach armii niemieckiej w momencie, kiedy powstanie takie będzie mogło otrzymać realną pomoc od nadciągającej armii wyzwolitej. Bo każdy znający potęgę dzisiejszej techniki wojskowej wiedział, że tylko w tych okolicznościach można się pokusić o wystąpienie masowe dokonane wprost.

Powstania zatem były wszędzie preliminowane raczej jako demonstracja polityczna aniżeli całkowicie samodzielny akt militarny. Demonstracja zaś taka musi być uzgodniona z partnerem wojującym, który podszedł najbliższej jej miejsca. Demonstracją też, wyprawioną w chwili najbardziej sposobnej, było powstanie w Paryżu i Pradze. Już jednak powstanie słowackie, mimo bliskości frontu radzieckiego, mimo udzielonej mu bogato pomocy, skończyło się klęską, ponieważ dla tyłów walczącej armii niemieckiej było naprawdę niebezpieczne i ściągało uwagę.

Cała ta kalkulacja w innych krajach europejskich padała na tablicę dotąd niezapisaną i wobec tego przymuszała do dużej uwagi w przewidywaniach. W innych, za wyjątkiem narodów bałkańskich posiadających przekazywane z pokolenia w pokolenie tradycje i nawyk irredenty. Z wyjątkiem też, i to wyjątkiem najwyższym — Polski. Tutaj padała na jeden więcej wielokrotnie przeżyty i doświadczony w tym kraju schemat historyczny. Słowo *powstanie* jest nad Wisłą pospolitym terminem historycznym. I dlatego, chcąc mówić o drugiej jesieni, jeszcze i ten schemat wprowadzić musimy do rozważań nad nią. Wprowadzić i ukazać jego skutki.

Najpierw dwa, w tym miejscu wyjątkowo konieczne zastrzeżenia. Staram się pisać ustawicznie o zjawiskach zachodzących w zbiorowej świadomości społeczeństwa, o faktach zatem często pozbawionych realnych podstaw kalkulacyjnych i przynależnych nieraz do mitologii społecznej. Jedynym załącznikiem dowodowym staje się w takim wypadku pamięć tych lat, utkana z rozmów z wieloma ludźmi, z podsłuchu, z zapamiętanych aneg-



dot. Pamięć tkala się nie tylko w kręgu inteligenckim, ponieważ z racji wykonywanego zajęcia — handel desek — stykałem się wciąż z ludźmi spoza swojej klasy społecznej.

Pewne elementy owej świadomości układały się w sposób zdumiewająco jednorodny. Do takich należy mit powstania. Elementy ułożone zgodnie z przynależnością klasową w sposób odmienny staram się dokładnie oddzielać. Czy został ów mit zaszczerpiony przez prasę konspiracyjną, czy też może powstał spontanicznie i w wielu okolicach równocześnie, a to w związku z legendą oporu i partyzantki wcześniejszą od samego faktycznego oporu (ten moment doskonale uchwycił Putrament w *Początku eposu*) — odpowiedzieć trudno. Dość, że przyjeżdżający z bardziej zapadłych okolic chłopcy pytali bodaj już od jesieni 1941 roku: — Panie Wyka, a czy ta już Niemce nie uciekajom? Bo wy tu zawsze bliżej szosy, a u nas we wsi powiadali, że widzieli, jak bez Olkusz już uciekali.

Zastrzeżenie drugie dotyczy stopnia udziału tego mitu w kalkulacjach i odpowiedzialności sprawców politycznych powstania warszawskiego. Polityk odpowiedzialny jest właśnie za znajomość sytuacji realnej ukrytej pod mitologią zbiorową. Tym bardziej odpowiedzialny, im mocniej ta mitologia kładzie się na motywach i decyzjach ogółu. Tymczasem polityczne przygotowanie powstania warszawskiego, jego nędzne przysposobienie militarne znów ukazało nawrót sytuacji z września 1939. Nawrót tej samej wagi we względzie wojskowym, tej samej dezorientacji we względzie politycznym oraz nie mniej zbrodniczej lekkomyślności żerującej na zaufaniu i posłuchu żołnierza powstańczego. Ukazało, ponieważ wojnę w Polsce przegrywali u początku i przegrywali u końca ci sami ludzie z kręgu sanacyjnego, przegrywali w imię tej samej postawy socjalnej. Analogia zaś tego dotyczy, że dla polskiej legendy powstań trudno wskazać w historii innych narodów jakies przybliżone zjawisko.

Chyba tylko francuski mit Gwardii Narodowej w tej postaci, w jakiej jego wpływ przed zamachem stanu Napoleona III analizuje Marks w *18 brumaire'a Ludwika Bonaparte*. Bo niewątpliwie legenda powstań oprócz konkretnych doświadczeń Polski wywodzi się również z odziedziczonej po XIX wieku zabobonnej wierze armii w wszechmoc ludności cywilnej. Gwardia Narodowa — pisze Marks — „w r. 1830 zdecydowała o upadku restauracji. Za Ludwika Filipa każda rewolta kończyła się niepowodzeniem, jeżeli Gwardia Narodowa stanęła po stronie wojska. Kiedy w dniach lutowych r. 1848 zachowała się ona biernie wobec powstania, a dwuznacznie wobec Ludwika Filipa, uznał on, że jest zgubiony, i rzeczywiście był zgubiony. Toteż zakorzeniło się przekonanie, że rewolucja nie może zwyciężyć bez Gwardii Narodowej, a armia nie może zwyciężyć mając przeciwko sobie Gwardię Narodową”. Póki czerwiec 1849 roku nie podważył tej wiary, a grudzień 1851 jej nie przekreślił ostatecznie.

Inaczej w Polsce. Żadne z powstań porozbiorowych nie dało zwycięskiego wyniku, z wyjątkiem czynu, który podciągnięty został również pod kategorię powstań — rozbicie Niemców i Austriaków w listopadzie 1918 roku. Mimo to każde z powstań polskich dołożyło swoją część do tej legendowej sumy, jaką mit powstania tworzy w świadomości przeciętnego Polaka. Część tych nie różniczkowano, nie zastanawiano się też nad ich całkowicie odmiennym pochodzeniem i nauką. Nie piszemy tego zdania o historykach i fachowcach, piszemy o ludziach przeciętnych, którzy z doświadczeń historycznych przechowują tylko ich najbardziej ogólnikowy wynik.

Oczywiście zadaniem historyków będzie ukazać w przyszłości, które z powstań złożyło do tego mitu największą część. Moim zdaniem powstanie styczniowe plus rok 1918, a to dlatego, ponieważ nadzieje na rychłe, a pozbawione większych ofiar przepędzenie Niemców opierały się na pamięci o listopadzie 1918 roku w Królestwie Kongresowym; długoletnia zaś sytuacja społeczeństwa za okupacji najbardziej przypominała lata 1861–1862, również w Królestwie Kongresowym. W tych dwóch ich cechach głównych: bezwzględny posłuch ogółu dla konspiracyjnych i anonimowych kierowników opinii politycznej oraz środki stanowczego terroru patriotycznego wobec wrogów i zdrajców.

Jeżeli wymieniam te obydwie daty — to nie tylko dla zabawy w analogie historyczne, nieprowadzące do żadnych wniosków aktualnych. Oto na doświadczeniu tych obydwu dat opierała się powstańcza historiozofia obozu sanacyjnego. Drugiej jesieni wojennej, gdy win politycznych tego obozu nie odczuwano tak jaskrawo i aktualnie, co w roku 1939, bo położył się na nich cały ciężar okupacyjnej próby i nienawiści do Niemców. Piłsudski był przecież badaczem 1863 roku, doświadczenia powstania styczniowego rozpatrywał jako

Polityka, Przywódca,  
Powstanie, Polska

wzór strategii zarówno politycznej, jak militarnej. Rok 1918 przygotowała zaś związana z Legionami POW<sup>32</sup>. I dlatego na wyjściu z okupacji sądzono w tych kręgach, że cudzym ogniem pieczone kasztany polityczne będzie można wyciągnąć dla siebie, ponieważ kasztany te piekły się w foremkach skądinąd znanych i uważanych za własne.

Powróćmy jednak do prawdziwego doświadczenia militarnego powstań polskich, przesłoniętego poprzez te głównie zapamiętane, a w nowej sytuacji właściwie najmniej aktualne momenty. Powstania roku 1794 i 1830 dlatego ważyły i posiadały przebieg zmuszający do wysiłku ówczesną Rosję, ponieważ ich ramię militarne stanowiła zorganizowana, regularna siła zbrojna, uchwycona w porę przez rząd rewolucyjno-powstańczy. W roku 1830 uchwycić się dało to ramię zbrojne nie tylko dzięki całkowitemu powodzeniu zamachu pałacowego na Belweder — wszak książę Konstanty umknął, a z relacji Nabelaka wiemy, że tylko szczęśliwy przypadek uchronił wracający z Belwederu oddział belwederczyków od zniesienia go przez nadciągającą pomoc. Ramię zostało uchwycone dzięki późniejszemu niezdecydowaniu Konstantego i zręcznemu wydobyciu od niego rozkazu do wojsk narodowych poza Warszawą, którym zalecił on posłuszeństwo rządowi powstańczemu. Na uzyskanie siły zbrojnej złożył się zatem szereg szczęśliwych a przypadkowych okoliczności, natomiast sama ta siła, po zgubieniu politycznej linii powstania, niewiele znaczyła. Opuszczając po kapitulacji Warszawę wojsko powstańcze było liczniejsze aniżeli nazajutrz po nocy listopadowej, ale politycznie niezdolne do dalszej walki.

Powstania zaś roku 1863, a tutaj zaliczyć również wypada lata 1846 i 1848, dlatego były jedynie mniej lub więcej krwawymi demonstracjami politycznymi bez większego znaczenia militarnego, ponieważ tego ramienia w nich zabrakło. Wówczas to wprawdzie, szczególnie w Poznaniu i we Lwowie, polska legenda powstań połączy się jedyny raz z wiarą w Gwardię Narodową. Dlatego jedyny raz, ponieważ wtedy właśnie Gwardia Narodowa przegrywa we Francji swoją postępową szansę historyczną i już nigdy podobnej roli nie odegra. Dlatego również, ponieważ na kierowników politycznych Wiosny Ludów, zapatrzonych w rewolucyjne wzory francuskie, oddziaływała mocno pamięć o decydującej roli Gwardii Narodowej w lipcu 1830 roku.

Pozostają dwie chronologicznie najbliższe daty. Rok 1905. Mimo masowości ruchu i jego nowych środków walki, uderzających w aparat gospodarczy nowoczesnego państwa, zwycięstwo i tak osiągnęła na razie przemoc militarna. Osiągnęła, ponieważ aparat administracyjno-policyjny Rosji carskiej, mimo całkowitej nieudolności politycznej kierownictwa, jeszcze wystarczył na kilkanaście lat, by opóźnić ruchy rewolucyjne. W ostatecznym wyniku ich nie zahamował, ale zawsze — opóźnił. Rok zaś 1918 w Polsce niesłusznie podciągano pod kategorię powstań, albowiem brakowało mu istotnego elementu wszelkiego powstania: chęci oporu, chęci walki ze strony ciemności. Niemcy w Królestwie Kongresowym byli psychicznie najzupełniej do tego dojrzały, że niedorostki będą z nich ściągać pasy i zabierać karabiny. Już jednak na Górnym Śląsku, gdzie wcale nie byli ku temu dojrzały, już w Poznańskim lud śląski i poznański musiał walczyć. Walczyć naprawdę — na Śląsku przegrywać w starciu militarnym.

Tak więc doświadczenie powstań polskich jest bardzo zróżniczkowane, jeśli dokładnie na nie spojrzeć. Mimo to w latach okupacji układało się ono w prosty schemat: kiedy Niemcy zaczną wiać, pokażemy im... i każdy prawie koniec wojny wyobrażał sobie jako pełną popłochu ucieczkę okupantów. W ostatnich dniach lipca 1944 roku Niemcy zaczęli rzeczywiście uciekać w popłochu, i to nawet w okolicach jeszcze dalekich od kul. Panikę, jaka wybuchnęła wówczas wśród aparatu administracyjnego GG, udało się po jakimś tygodniu władzom centralnym opanować. Plotka okupacyjna twierdzi, że nie ominęła ona również Franka i że specjalny wysłannik Hitlera czy też on sam przyjeżdżał z uspokajającą popłoch awanturą. Sytuacja jednak w ostatnich dniach lipca wyglądała na ten przedpowstańczy i wyczekiwany moment, kiedy Niemcy będą uciekać.

Tuż po pierwszym sierpniu w promieniu Krakowa została ona całkowicie uśmierzona, w improwizowany sposób zaczęły nadjeżdżać transporty Hitlerjugend, wyrwanych z kopalń górników, zabranych z fabryk zbędnych sił roboczych i najpierw bezładnie rozpoczą-

<sup>32</sup>POW — konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa, utworzona w sierpniu 1914 r. w Warszawie z inicjatywy Józefa Piłsudskiego, działająca na terenach przedrozbiorowej Polski, również w Kijowie i Lwowie; poszczególne oddziały były rozwiązywane w różnym czasie, pod koniec 1918 r. [przypis edytorski]

to wielkie roboty fortyfikacyjne. Później systematycznie i na całą jesień wciągnięto w nie ludność, a przede wszystkim propagandę. Powstawał według tej propagandy niezłomny *Ostwall*, spoza którego Rzesza, skupiwszy na skróconych liniach komunikacyjnych swoje siły, wyjdzie do decydującego ciosu, wydobywając zza pazuchy nową, nieznaną dotąd broń. W wystąpieniach Goebbelsa wciąż się ponawiały aluzje do tej broni. Ponieważ działały już V1 i V2, aluzje te kładło się pomiędzy niemieckie przechwałki, nie biorąc ich poważnie. Dzisiaj ich tam nie kładziemy. Chodziło o bombę atomową. Sam zaś fakt świadczy, jak dalece do ostatniej chwili istniał podział na życie serio poza Niemcami i życie na niby razem z nimi. Istniał, skreślając z tego życia na niby wszystko, co niedogodne i co plątało rachuby nadziei.

Ta legendowa suma powstań ze specjalną siłą oddziaływała na warszawską wyspę. Dlaczego na nią, nietrudno powody odtworzyć z wypadów na tę wyspę. W Warszawie najmniej z całego Gubernatorstwa orientowano się w proporcji sił okupanta i okupowanego oraz ucisku. Najmniej wiedzano, że cofające się od Stalingradu fronty niemieckie stanowią jednak potęgę militarną zdolną zgnieść każdą demonstrację powstańczą, która by im naprawdę zagroziła. Równocześnie na wyspie pamiętano, że decydującą dla kraju sprawą jest posiadanie Warszawy. Pamiętano według lat 1794, 1831, 1918. Powstanie zaś wybuchnęło w chwili, kiedy przeciętny człowiek mógł być sądzić, że oto nadszedł moment popłochu okupanta przyjmowany we wszelkich rachubach poprzedzających ten wywód. Człowiek taki prelininował przebieg powstania na kilka dni, najwyżej tydzień, a więc mimo pokrywających go mitów i złudzeń prelininował słusznie, bo w ramach demonstracji. Przewidywał mądrzej, trafniej, słuszniej aniżeli przywódca AK. Tymczasem w wyniku kalkulacji politycznej, niezdolnej do tego, by dla dobra narodu przekreślić interes rządzącej dotąd klasy, demonstracja przerodziła się w samodzielny akt militarny. Trwał dwa miesiące. Z najcięższej, jaką otrzymaliśmy w całej naszej historii, rany wyciekła drugiej jesieni wojennej ropa, a jej wyciek przekroczył próby wyzwolenia i zatrul miesiące wolności.

## XII

Jesień kalendarzowa rozpoczęła się na przekrojonym frontami skrawku GG, kiedy ludność Warszawy wsiąknęła w ten skrawek. I razem z nią, jak w retorcji doświadczalnej, otwarły się wszystkie tłumione dotąd i niewidoczne sprzeczności, jakie narosły w latach okupacji. Polityczne, społeczne, klasowe. O wszystkich będziemy mówić. Najpierw jednak sprzeczności współżycia zbiorowego. W miarę eliminacji Żydów społeczeństwo polskie w Gubernatorstwie zaczęło się układać w roztwór względnie ustabilizowany. Ułożony według formuły, dającej się szczególnie wyraźnie ustalić na lata 1943–1944, bez jesieni. Do tego roztworu wtargnął owej jesieni czynnik nowy. Istniejący dotąd, ale w separacji, w wielkim środowisku miejskim, bardzo różnym w tych latach od reszty kraju — ludność zburzonej Warszawy.

Ludność Warszawy, chociaż tak twarda i niezłomna osobiście, chociaż z taką dzielnością i inicjatywą potrafiła natychmiast czepić się codziennego życia, handlować, zarabiać, ba, wypierać tubylców z zajmowanych miejsc, przynosiła ze sobą nabyte w powstaniu urazy. Było tych urazów wiele i do wyboru. Zakażały one otoczenie zależnie od gruntu, na jakim wybrany uraz chętniej zapuszczał korzenie. Równocześnie w codziennym współżyciu warszawiaków z nowym otoczeniem wynikały konflikty o źródłach znów nader różnorodnych. Warszawiacy, poza ostatnim okresem powstania, przyzwyczajeni byli do atmosfery solidarnego entuzjazmu, wzajemnej pomocy i przychylności, nieobecnej na co dzień w psychice polskiej. Wszyscy z nich zgodnie twierdzili, że w przeżyciu początkowego okresu powstania atmosfera ta była czymś najbardziej podniosłym. Nie uległa też zapomnieniu, chociaż w miarę jak powstanie się przeciągało, nie dała się utrzymać. Na wygnaniu (był to charakterystyczny i często używany zwrot, który gorszył tubylców — „jesteśmy na wygnaniu”), otóż na wygnaniu pamięć o niej wydobywano jak klejnot.

Klejnotem tym w zwykłe dni chciano mierzyć kamienie przydrożne. Zwrot zaś „na wygnaniu” nie tyle oznaczał poczucie obcości wobec nowego środowiska, chociaż to uczestniczyło w nim również, ile potwierdzał fakt, że ludność została bezlitośnie wygnana ze swojego miasta. Potwierdzał też nadzieję, że natychmiast do niego powróci. Bo chociaż każdy orientował się jako tako w zniszczeniach najbliższej dzielnicy, w sumę

Warszawa, Lud, Wygnanie,  
Wojna, Miasto

zniszczeń mało kto wierzył. I wywiad czerpany u tych, co później wyszli z płonącej Warszawy, zaczynał się zazwyczaj od pytania: — Nie wie pan, czy oficyna na Smolnej 32 stoi jeszcze? Była przechodnia na Kopernika, wie pan.

Z wymaganiami szacunku dla tego klejnotu czy też nadzieją, że go napotkają poza opuszczoną Warszawą, porzucali jej mieszkańcy podwójnie teraz ukochane, bo w utraconym marzeniu i w tragicznym przeżyciu ukochane miasto. Nigdy Warszawa nie była piękniejsza i godniejsza przywiązania jak w ich opowieściach. Tymczasem poza pierwszym, drugim dniem gorącego serca napotykali codzienny i żmudny dzień okupacji. Napotykali ludzi albo tak zaskorupiałych, egoistycznie zamkniętych, albo tak przepojonych krzywdami, że i w jednym, i w drugim wypadku nie było już miejsca na cudze nieszczęście. Bo pojemność uczestnictwa w cierpieniu drugich ma swoje granice. Zetknięcie zaprzeczzonego entuzjazmu z zabloconą, zaciemnioną, nadsluchującą nadal trwożliwie nocnych kroków żandarma uliczką polskiej prowincji wywoływać musiało ciężką zgałę. Chociaż odarci ze wszystkiego, co posiadali, warszawiacy przez kilka tygodni byli wolni. Tego doświadczenia wolności wygnanie nie mogło im odebrać. Wnikali znów w ponury tryb życia okupacyjnego, w dodatku im, żyjącym na wyspie, tak mało znany.

Nie dosyć tego. Ci rozbitkowie w każdej prawie sytuacji życiowej okazywali się zaradniejsi, sprytniejsi, obrotniejsi od tubylców. W większych miastach natychmiast okupowali stoliki kawiarniane i okazywało się, że w przemysłnych schowkach, w obuwiu, w ubraniu, w szczoteczkach do zębów wywieźli ze spalonego miasta nadspodziewanie dużo dolarów. Ożywił się ruch walutowy. W niniejszych miejscowościach zabite deskami wystawy sklepów pożydowskich nauczyli się rozpoznawać prędzej niż okolicę. Tubylcy patrzyli i powiadali: — Takim to żadna bieda nie da rady. Powiadali i zazdrościli. Warszawiacy zazdrość tę słyszeli i tym bardziej czuli się pokrzywdzeni, źle przyjęci, niezrozumiani. Mało kto rozróżniał, że rzuca się w oczy niewielka grupa tych, co przy transporcie ewakuacyjnym palili ogniska i pożerali kielbasę, a natomiast olbrzymia większość cierpi nędzę niczym niezłagodzoną i z ostatecznej potrzeby chwyta się każdego pomysłu, byle wyżyć. Bezsilność opieki charytatywnej nigdy nie była równie jaskrawa, co owej jesieni. Ludzie, którzy się z nią bezpośrednio zetknęli, nie powinni poskąpić swoich świadectw. Mimo to sąd o warszawiakach i normy współżycia układały się według nielicznych zaradnych i mających „twarde”<sup>33</sup>, a nie według tych liczniejszych i również zaradnych, ale sterczących w kolejkach po stare spodnie czy kilo cukru. Kto wie, czy nie dlatego, że wszyscy, tak ci od „twardych”, jak ci z kolejek, posiadali wyższe niż u reszty mieszkańców poczucie humoru, umiejętność natychmiastowej reakcji przy użyciu dowcipu. Zachowywali dzięki temu twarz i fason nawet u brzegu nędzy, a taka twarz myli. Zamiast ją uznać i uszanować, u nieposiadających tej sztuki budziła zazdrość.

Urządzenie swego życia oraz życia otoczenia miało zawsze w latach okupacji charakter tymczasowy. Drugiej jesieni, po diasporze stolicy, charakter ten nabrał wymiarów całkowicie absurdalnych. Na Wiśle stał front, za Wisłą powstawało nowe życie polskie, wiadomości sprawdzone, rzeczywiste przeciekały o nim skąpo, tymczasem na balkonie pozostałym po zburzonym domu okupacyjnym ludzie się krzątali i próbowali zamieszkać. Nie przeczuwało się wówczas, że urządzają się na długie lata, że odczynnik warszawski, który wtargnął do retorty, tylko częściowo odpłynie do stolicy, a w znacznej dozie osiądzie w próbówce na stałe. Nie przypuszczało się też wówczas, że on to przede wszystkim rozejdzie się na Ziemię Odzyskane w roli elementu eksploatorsko-handlowo-sabrowniczego, wyobrażającego sobie życie na tych ziemiach jako dalszy ciąg bytowania w Generalnym Gubernatorstwie. Przede wszystkim jako dalszy ciąg skończenie niemoralnych stosunków gospodarczych w tych latach. Dlatego się nie przeczuwało, ponieważ stopień zniszczenia stolicy odsłonił się dopiero w styczniu 1945 roku. Chodziły wprawdzie gęsto słuchy, że Niemcy systematycznie palą ocalałe dzielnice. Mało kto mógł je sprawdzić, z wyjątkiem nielicznych osób wyjeżdżających do Warszawy, by ewakuować urządzenia fabryczne. Przed styczniem ileż to osób spotkałem, które „na własne oczy” widziały płonące Muzeum Narodowe, a nie zniszczony Pałac Staszica!

<sup>33</sup>twarde — w żargonie czasu okupacji: waluta w złocie (najczęściej dolary), w odróżnieniu od „motyli”, czyli banknotów, których wartość była bardzo niestabilna. [przypis edytorski]

Urazy, które na wygnanie zabrali ze sobą warszawiacy, były podwójne i chociaż powinny się być wykluczać, ponieważ stały ze sobą w sprzeczności, współistniały wzajemnie. Bo gdyby urazami rządził bodaj ślad logiki, nie byłyby one, czym są. Pierwszej jesieni wojna dla społeczeństwa polskiego zaczęła się od szoku, a więc zjawiska psychosocjalnego o charakterze paranormalnym. Kończyła się na urazie, na zjawisku przynależnym do podobnej kategorii. Pierwszy z tych urazów był specjalnie silny u ludności cywilnej. Zresztą, z powodu wywiezienia żołnierzy powstańczych do obozów jenieckich, tylko u niej dawał się obserwować. Był to uraz skierowany przeciwko dowództwu militarne- mu i kierownictwu politycznemu powstania. Dotyczył tego, że powstanie dokonane bez porozumienia z nadciągającą armią radziecką wystawiło ludność na niewidziane dotąd cierpienia, a miasto na niedające się jeszcze nawet ocenić straty. Ostatnia część argumentu różnie wyglądała, zależnie od rozmówcy. U ludzi o szerszych zainteresowaniach uderzała pamięć o stratach kulturalnych i dopiero tej jesieni nagle uświadomiliśmy sobie, czym była Warszawa jako skarbnica dorobku kulturalnego minionych pokoleń, zwłaszcza skarbnica porozbiorowa. Kiedy wszystkie spalone domy warszawskie zaczęły ożywać w opowiadaniach swoich mieszkańców, kiedy utracone obrazy i pamiątki zaczęły lśnić już tylko w słowach — nigdy Warszawa nie była tak zasobna, jak owej jesieni, podobnie jak nigdy nie była tak piękna.

Uraz wymierzony przeciwko kierownictwu politycznemu zadziwiająco był podobny do skarg i narzekań wrześniejących na rumuńskich uciekinierów. I jeszcze mocniej aniżeli tamte skargi nie dawał się zużytkować w sposób realny, zgodny z rzeczywistą sytuacją. Szok pierwszej jesieni stał się pożywką emigracyjnego schematu. Urazowi drugiej jesieni towarzyszył uraz wzmacniający. Był z nim niezgodny, a jednak go wzmacniał. Polegał na tym przeświadczeniu, że powstanie upadło, ponieważ dowództwo radzieckie celowo i rozmyślnie nie przyszło mu z pomocą. Ci sami ludzie, którzy nie lękali się przyznania, że powstanie miało być antysowiecką demonstracją polityczną, zachowywali pretensję i uraz, że strona, przeciwko której demonstrowano, nie podała mu natychmiast pomocnej dłoni. I również szczerze, również bez zająknięcia w jednym zdaniu łączyli oba twierdzenia. Uraz pierwszy był raczej sprawą wewnętrzną ludności Warszawy. Reszta społeczeństwa mniej go przyjmowała w siebie. Bo ta reszta nie uczestniczyła w nim śmiercią najbliższych, utratą całego dorobku. Natomiast uraz drugi szerzył się na podobieństwo schematu rozbiorowego z pierwszej jesieni i nie mniejsze jak on wyrządzał szkody. Nie mniej blokował i zaciemniał oczekujące to społeczeństwo decyzje.

### XIII

A tymczasem na skrawku Generalnego Gubernatorstwa położonym na wschód od Wisły rozpoczęły się pojawiać ze strony Niemców zjawiska dziwne i przedtem w tym kraju nieznanne. Politykę wobec ludności polskiej, zainaugurowaną wiosną 1940 łapankami i Oświęcimiem, okupant wyraźnie usiłował zmienić. Słowo „zmienić” bardzo niedokładnie oddaje stan rzeczy w ostatnich miesiącach istnienia GG. Gubernatorstwo przypomina w tym okresie mapę, na której pozostał zarys całej dawnej konfiguracji terenu, ba, niektóre linie tego rysunku zostały zaostrome. Mapę wszakże, na którą kartograf, nie przemaszując warstwic dawniejszych, usiłuje nanieść warstwicę nowe.

Było tych zarysów wówczas aż trzy. Chociaż teren był przyfrontowy, rządziła nadal partia. Funkcjonował cały aparat administracyjny okrojonych dystryktów, do ostatnich dni robiło swoje gestapo, na kilka dni przed ofensywą styczniową, kiedy ludność warszawska zdążyła się jako tako rozmieścić, rozpoczęto masowe łapanki na warszawiaków. Były np. pociągi od strony Zakopanego z pochwyconym łupem skierowane na Kraków, które nie zdołały dotrzeć do tego miasta, ponieważ wcześniej zostało ono zdobyte manewrem armii radzieckiej. Palono systematycznie opustoszałą Warszawę, a rysu tak mściwego nie posiadały nawet lata największej ufności niemieckiej w swoje siły. Zresztą cała struktura urzędowa GG, postępowanie administracyjne wobec ludności trwało jak za najspokojniejszych lat *Nebenlandu* i to był zarys pierwszy.

Teren był jednak przyfrontowy. Roboty przy budowie kilku linii obronnych przeci- nających cały skrawek GG były zrazu w sierpniu całkowitą improwizacją. Kiedy ofensywa radziecka stanęła, rozrosły się w system skomplikowany i wciągający całą ludność. Trudno dzisiaj ocenić, czy wznoszone umocnienia ze stanowiska militarnego posiadały jakiegokol-

wiek znaczenie, czy też Niemcy robili wokół nich gwałt, ażeby siebie zablągować, a uwagę ludności przykuć do ziemi i wbitej w nią łopaty, tym sposobem ludność tę do reszty nużąc i mącąc jej nadzieje. Faktem jest, że styczniowej ofensywy radzieckiej wszystkie te linie nie opóźniły w jej rozpędzie ani o jedną dobę. Ofensywa ta zatrzymała się nie tam, gdzie jej nakazywały rowy przeciwpancerne, ale tam, gdzie to spowodowały naturalne warunki wielkiej strategii. Prace fortyfikacyjne miały służyć armii, robotami kierowała jednak partia. Namnożyło się mężów specjalnego zaufania, kierowników odcinków roboczych, łączników z firmami, nastąpiły niedziele „ochotniczej” pracy. Ludek roboczy z ironicznym uśmiechem oceniał nowych dekowników, a *Volksgenosse Pietrzalla aus Hindenburg im O. Schlesien*<sup>34</sup> klarował mi pewnego dnia, że przy tym bunkrze jest ostatnia *Tropfen von Boden*<sup>35</sup>, jaką można jeszcze oddać bolszewikom. Nieliczne inwestycje posiadały charakter militarno-doraźny i jeszcze bardziej wyniszczały kraj, jak np. przyspieszone wycinanie lasów dla napędu motorów na gaz drzewny. Równocześnie wywożono obrabiarki, wagony, samochody, z terenu powstawał wielki etap przyfrontowy. Był to zarys drugi na karcie Gubernatorstwa.

Na tych dwóch rysunkach pojawił się trzeci: z przymuszoną kokieterią uśmiechnięta do ludności polskiej twarz Goebbelsa. Niemcy kokietowali. W imię czego kokietowali, a co obiecywali za przyjęcie pieśczoży? Nie obiecywali niczego, bo w chwili kiedy armia radziecka przystanąła na Wiśle, trudno było cokolwiek przyrzekać, nie wpędzając się w sytuację Zagłoby ofiarowującego Niderlandy. Natomiast można było grozić obrazem przyszłości. Można było nawoływać w imię „wspólnego” niebezpieczeństwa. Groźba była dobrze znana społeczeństwu polskiemu, teraz wszakże została użyta wśród specjalnych okoliczności towarzyszących. Niemcy rozpoczęli wojnę od akompaniamentu utrzymanego w tonacji: *Lebensraum* dla uciśnionego narodu, zjednoczenie wszystkich pogubionych ziem i odłamów tego narodu. Akompaniament propagandowy w tonacji „Obrona wspólnoty europejskiej przed niebezpieczeństwem komunistycznym” został wprowadzony dopiero od chwili najazdu na ZSRR, ale wówczas jeszcze całkiem *piano*.

Dlatego zapewne *piano*, ponieważ Hitler liczył, że wspólnie z wasalami rumuńsko-*fińsko-węgierskimi* rozgromi Związek Radziecki, nie wciągając zbyt wielu partnerów do gry i nie wystawiając rachunków, które należałoby później wobec nich jakoś respektować. W roku 1942, latem, kiedy ruszała z początkiem lipca wielka ofensywa owego roku, akompaniament ów zabrzmiał *forte*. Ponieważ kampania się przeciągała, partnerów należało wciągać więcej. Na front wschodni przybyła armia włoska. Zmobilizowano legiony faszystowskie w Hiszpanii, Francji, Belgii. Bardziej jako argument dla tych, którym to *forte* było jeszcze zbyt słabe, aniżeli jako realną pomoc militarną. Od katastrofy w Stalingradzie propaganda niemiecka rozdarła szaty, zadeła *fortissimo* w tę samą wciąż tubę i po raz pierwszy późną zimą 1943 roku zaczęła przypominać Polakom, że brakuje ich dotąd w krucjacie całej Europy. Przypominano to w lutym, w marcu, później przyszedł Katyń pomysłany jako argument rozstrzygający, gestapo na jakiś czas wstrzymało represje za akty sabotażu. Dopiero kiedy cała ta orkiestra głuchym Polakom nie przedarła się do uszu, Niemcy z niej zrezygnowali: i rozpoczęli najgorszy okres ludobójstwa, publicznych egzekucji, list ze skazańcami zagrożonymi śmiercią, okres ostatecznej likwidacji Żydów.

Kokieteria w imię wspólnoty europejskiej już więc raz była zastosowana bezskutecznie. Drugiej jesieni Niemcy nałożyli tę maskę na twarz w okolicznościach bardziej im sprzyjających. Połączyli ją mianowicie z urazem powstania. Ówczesne postępowanie rządu londyńskiego było w tym dla nich najlepszym sprzymierzeńcem, a już szczególnie propaganda radiowa wszczęta po obaleniu Mikołajczyka jako premiera. Nastąpiły miesiące, kiedy przeznaczona dla Polaków prasa nie wysilała się na argumenty własnego chowu. Czerpała je wprost z prasy emigracyjnej i audycji dla kraju. Lojalnie i skrupulatnie cytowała, a sama obłudnie troskała się o przyszłość biednych zaprzędanych Polaków. I przypominała, że jeszcze czas, ostatni czas nawrócić z błędnej drogi. Że zbłąkany polski syn marnotrawny może jeszcze znaleźć miejsce w domu narodów europejskich. Maskarada tej jesieni posuwała się jeszcze dalej. Niemcy doskonale się orientowali w wpływie

<sup>34</sup>*Volksgenosse Pietrzalla aus Hindenburg im O. Schlesien* — „towarzysz narodowy” Pietrzalla z Hindelburga na Śląsku Wschodnim. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Tropfen von Boden* (niem.) — skrawek ziemi (dosł. kropla). [przypis edytorski]

prasy nielegalnej na opinię. Wobec tego zaczęli tę prasę sami inscenizować. Odpowiednie świstki podrzucano trybem administracyjnym przed świtem pod drzwi, do ogrodów, a burmistrz wychodząc do urzędowania sprawdzał, czy są na miejscu. Użyty do tej funkcji goniec gminny powiadał do mnie przy pierwszym widzeniu tego dnia: — Panie profesorze, ja tam panu rano wrzuciłem taką gazetkę do ogrodu. Ale niech jej pan nic nie wierzy, Kochański ma takich pełno w biurze.

Ta propagandowa kokieteria była zbyt spóźniona, ażeby na ostatnie miesiące wojny, kiedy odpadli wszyscy wasale, przynieść Niemcom niewczesnego sprzymierzeńca. Nie była jednak spóźniona, by wzmocnić szkody polityczne tych miesięcy. Szkody, które odziedziczyliśmy w całej pełni i oceniliśmy w roku 1945. Emigracja wewnętrzna już wówczas się rozpoczęła, ostatniej jesieni, a nie dopiero po wyzwoleniu całości ziem polskich. Bo w istocie — postaramy się tego dowieść! — emigracja wewnętrzna była przede wszystkim przedłużeniem życia na niby. Przedłużeniem samej zasady tego życia, przy zmianie elementów wchodzących w jej obręb.

Nie była wreszcie spóźniona ta propaganda jako symptom. Symptom oznaczający, że w społeczeństwie polskim, stanowiącym rzekomo monolit, dokonywały się procesy społeczne, na których tle „obrona wspólnoty europejskiej” i nad Wisłą posiadała wyraźny sens klasowy. Wyraźnie służyła obronie bankrutujących i historycznie przegranych interesów polskiej neoburżuazji okupacyjnej, dawnej przedwojennej i ziemiaństwa. Monolit wydobyty spod okupacyjnego ciśnienia, zacierającego pęknięcia i szpary, kruszył się w zwykłym powietrzu. Czy Niemcy zdawali sobie z tego sprawę, że i w społeczeństwie polskim istnieją siły, które przy innym traktowaniu mogły się stać podstawą rządu zwasalizowanego jak w wielu krajach europejskich, i że pod koniec wojny, w obliczu nadciągającej rewolucji społecznej, siły te się mobilizują — wątpię. Melodia była zbyt cienka na ich grube uszy. Raczej przypuszczam, że argument wspólnoty europejskiej kierowali do Polaków z braku jakiegokolwiek innego języka. Symptom wszakże pozostał widoczny i towarzyszyły mu objawy wewnątrz społeczeństwa polskiego nie mniej widoczne.

Przede wszystkim dopiero teraz nabrała śmiałości kolaboracja jawna, oparta na podbudowie myślowej, a nie na prostym przekupstwie czy drobnostkowych gierkach i ambicyjkach osobistych. Pisząc ostatnie słowa mam na myśli niektórych aktorów oraz polskich współpracowników gadzinówek. Chociaż kolaborantów ideologicznych było bardzo niewiele, a potępiły ich i odrzuciły wszystkie kierunki polityczne reprezentowane w konspiracji, zastanowić się warto, dlaczego dopiero ostatniej jesieni mieli oni czelność wystąpić jawnie?

Fakt, że pierwszej jesieni wojennej nie byli jeszcze Niemcom potrzebni i ówczesne zaloty Studnickiego<sup>36</sup> skończyły się rekuzą, sprawy nie tłumaczy. Apelem do możliwości kolaboracyjnych był już Katyń. Apel ten, zamiast echa zamierzonego przez Niemców, wywołał echo jeszcze liczniejszych strzałów i zamachów na zdrajców oraz przesadzających w zbrodniczej nadgorliwości urzędników niemieckich. Już jednak po Katyniu rozdarło szaty i podniosło głos kilku proroków ze Skiwskim<sup>37</sup> na czele, którzy tylko dlatego ucichnęli później, ponieważ nie ozwał się za nimi chór. Milczał, chociaż łechtali go Niemcy wszelkimi dostępnymi im środkami propagandy.

Po klęsce powstania, w atmosferze antyradzieckiego urazu, i prorocy ówcześni, i Niemcy uznali, że chyba tym razem chór się odezwie. Nie dał się on słyszeć, ale w listopadzie-

<sup>36</sup> *Studnicki-Gizbert, Władysław* (1867–1953) — polityk i publicysta; od czasów I wojny był zwolennikiem orientacji proniemieckiej; współpracował z generał-gubernatorem Hansem von Beselerem przy opracowaniu aktu 5 listopada, zawierającego gwarancję utworzenia państwa polskiego; 21 lipca 1916 założył Klub Państwotowców Polskich; w czasie II wojny światowej postulował (za pomocą memoriałów) utworzenie armii polskiej współdziałającej z niem. Wehrmachtem przeciw ZSRR; protestował także przeciw hitlerowskiemu terrorowi; mimo dwukrotnego uwięzienia przez Gestapo pozostał na stanowisku konieczności polsko-niemieckiej współpracy politycznej i wojskowej, próbując przekonać do niej obie strony. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *Skiwski, Jan Emil* (1894–1956) — pisarz, publicysta, krytyk literacki; przed wojną początkowo związany z obozem sanacyjnym (BBWR i OZN), następnie oscylował ku nacjonalizmowi endecji; w czasie II wojny światowej współpracował politycznej i wojskowej z Niemcami, przede wszystkim dla przeciwdziałania wpływowi komunizmu ze strony ZSRR; współwydawca i redaktor gadzinówek „Ster” i „Przełom”. Wraz z Ferdynandem Goetlem i Józefem Mackiewiczem został użyty przez Niemców, by wykorzystać zbrodnię katyńską do celów propagandy antykomunistycznej i tuszowania ludobójstwa hitlerowskiego; wszyscy trzej publicyści i literaci uczestniczyli w kwietniu 1943 r. przy ekshumacji polskich oficerów zamordowanych na rozkaz władz sowieckich przez NKWD w Katyniu. [przypis edytorski]

-grudniu 1944 roku sytuacja była inna aniżeli w kwietniu-maju 1943 roku i poszczególne głosy i tym razem jako całość niedosłego chóru zabrzmiały dużo głośniej. Tak na powierzchni życia, jak w jego odpowiedniku konspiracyjnym oraz partyzanckim. Głośniej niż kiedykolwiek w latach okupacji. A tylko z zespołu, z sumy głosów podobnych mogła być się wyłonić kolaboracja o znaczeniu politycznym — podobna francuskiej czy norweskiej.

#### XIV

Jakie to były głosy? Nie będę pisał o jawnym zdeklarowaniu się NSZ<sup>38</sup> na pozycjach współpracy militarnej i ideologicznej z okupantem oraz o mającym nastąpić w styczniu — wspólnie z usuwającym się frontem niemieckim — wycofaniu się brygady świętokrzyskiej<sup>39</sup>. Dlatego nie będę pisał, ponieważ same te fakty i ich wymowa dopiero później stały się wiadome w sposób powszechniejszy. Jesienią 1944 wyznawali się w nich dobrze tylko ludzie tkwiący w politycznym kierownictwie konspiracji, ogół raczej nie.

Natomiast inne głosy były bardzo słyszalne. W głównej swej części wiążą się one ze skutkami panującej w GG gospodarki wyłączonej. Dotąd gospodarka wyłączona dostrzegalna była raczej tylko na powierzchni zjawisk gospodarczych. Istniała w codziennym trybie życia pod okupacją, w fantastycznych karierach finansowych i łatwości zarobku dla jednych, nędzy dla drugich. Nie odgrywała natomiast większej roli jako fakt ideologiczny, z którego wynikają przewidywania i normy działania na przyszłość.

Drugiej jesieni wojennej gospodarka wyłączona, nie przestając być nadal panującym systemem codziennego postępowania ekonomicznego, staje się podobnym faktem. W tym właśnie mieści się specyficzna właściwość obydwu opisywanych tutaj zjawisk okupacyjnych: drugiej jesieni i gospodarki wyłączonej. Na drugą jesień ów anormalny system nakłada się już nie jako fakt, lecz jako norma. Jako norma też przetrwa wojenny koniec tej jesieni i jeszcze cięży będzie przez lata. Z perspektywy grudnia 1948 rzecz można, że np. ruch współzawodnictwa pracy był dopiero pierwszym ciosem wymierzonym w gospodarkę wyłączoną jako normę i nauką na jednym tylko, lecz jakże doniosłym odcinku: moralności pracy.

Z systemem gospodarczym panującym w gubernatorstwie było bowiem podobnie jak z przewidywaniami dotyczącymi poszczególnych kampanii wojennych. Teoretycznie wojna jako całość miała być krótka (bo długiej nie wytrzymamy), praktycznie poszczególne kampanie miały być długie (bo błyskawicznie wygrywają tylko Niemcy). Teoretycznie każdy powtarzał, że życie gospodarcze za okupacji jest zjawiskiem anormalnym i musi się skończyć z nastaniem pokoju. W praktycznym natomiast stosunku do tego życia i jego ocenie przeciągało się ono podobnie jak wojenne kampanie. W miarę zaś jak system ten utrwalił się dzięki samemu automatyzmowi kalendarza ukazującego coraz to nową cyfrę roku — praktyka brała górę nad teorią. Brała ją również z innych przyczyn: coraz więcej było zainteresowanych w tym systemie, korzystających z jego kapryśnych dobrodziejstw.

Były ponadto całe odłamy społeczeństwa, których życie zostało w sposób wyłączny podzielone pomiędzy anormalną moralność gospodarki wyłączonej i równie anormalną moralność konspiracji. Gospodarki wyłączonej w sferze życia na niby kontaktującej się z Niemcami, konspiracji w życiu prawdziwym i uznawanym za normę patriotyczną. Te odłamy nie oznaczają jakichś określonych klas społecznych, lecz pewne roczniki w obrębie całego społeczeństwa, szczególnie zaś roczniki młodzieży inteligenckiej i pseudointeligenckiej. Generacja tej młodzieży, niepamiętającej lat przedwojennych, zarobki i wydatki okupacyjne uważała za swój normalny start życiowy, który w dalszym biegu nie powinien ulec zmianom. Bezpośrednio po wojnie, w „bohaterskim” i zdobywczym okresie szabru, podobną stopę życia uważać będzie ta młodzież nadal za przysługujące jej

<sup>38</sup>NSZ — Narodowe Siły Zbrojne, powstała 20 września 1942 r. (w proteście przeciw podporządkowaniu AK) polska konspiracyjna organizacja wojskowa związana politycznie z obozem narodowym, działająca do 1947 r.; walczyła początkowo z Niemcami (choć zdarzały się akty porozumienia w konkretnych działaniach), Gwardią Ludową, Armią Ludową, partyzantką radziecką, a następnie Armią Czerwoną i siłami wojskowymi i porządkowymi Polski Ludowej. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>brygada świętokrzyska — oddział zbrojny Narodowych Sił Zbrojnych, który nie podporządkowawszy się rozkazowi scalenia z Armią Krajową, działał od 10. sierpnia 1944 do poł. sierpnia 1945 na Kielecczyźnie; nękała ludność wiejską rekwizycjami, wywiad AK notował notoryczną współpracę brygady z Niemcami, niekiedy również z Gestapo. [przypis edytorski]



zjawisko. I nadal też równie zamącone i niezdrowe objawy polityczne będą towarzyszyć temu rozszczepieniu świadomości.

Kto zaś korzystał szczególnie z kapryśnych dobrodziejstw? Fatalnym skutkiem gospodarki wyłączonej było to, że zainteresowana w niej została ogromna większość społeczeństwa polskiego. Uczestniczyła zrazu po to jedynie, ażeby jakoś przeżyć okupację w kraju i nie dać się porwać do Niemiec. Biorąc udział początkowo tylko w celach obronnych, większość ta mimo woli i niechętno wyrabiała w sobie słuch na argumenty, przesady i trwogi tych, którzy uczestniczyli czynnie i z nadzieją na stałe utrzymanie zagarniętej sfery interesów gospodarczo-osobistych.

Tak uczestnicząc, drugiej jesieni wojennej poczuli się klasowo zagrożeni nadciągającą wolnością: nowe mieszczaństwo wojenne, rozkrzewione na ruinie żydostwa polskiego, spekulanci, pośrednicy pomiędzy Niemcami a ludem podbitym. Postępując wyżej, poczuli się zagrożeni wszyscy, dla których wolność miała oznaczać powrót do systemu gospodarczego, społecznego i politycznego z roku 1939, plus niewielkie poprawki w imię tzw. sprawiedliwości społecznej, uwzględniającej ponadklasowy interes ogółu czy jak się to inaczej pięknie powiada. Bo chociaż sprawdzone wiadomości zza Wisły nadchodziły skąpo, model ustrojowy przyszłej ojczyzny był już widoczny i ten model przymuszał do czujności wszystkich jemu niechętnych.

Skutkiem tego dopiero druga jesień rzucała wyjaśniające ostatecznie światło na powody klęski wrześniowej. Rzucała wszakże jedynie wśród tych, którzy rozpoczęli myśleć samodzielnie lub weszli w krąg organizacyjnego oddziaływania lewicy polskiej. W listopadzie i grudniu 1944 nie stanowili oni większości na zachód od Wisły. Ukazywała mianowicie druga jesień społeczne, z obroną własnego stanowiska klasowego związane, powody kurczowego trzymania się władzy przez następców Piłsudskiego. Powody równocześnie ich niewiary w nieuchronność starcia z hitleryzmem. Bo starcie takie musiało być dla nich próbą pod każdym względem — społecznym przede wszystkim.

Drugiej jesieni sytuacja układała się analogicznie. Znow nadciągała próba, próba jeszcze bardziej pod każdym względem, zwłaszcza że była to próba charakteru przede wszystkim ideologicznego, a nie militarna rozgrywka z partnerem, z którym o ileż chętniej flirtowałyby się nadal. W obliczu próby zbliżona, co w ostatnich miesiącach przedwojennych, mobilizacja sił. Ta mobilizacja w miesiącach kończących wojnę dokonywała się pośród innych elementów aniżeli w roku 1939, ponieważ brakowało biurokracji i jej roli, inteligencji i jej wpływu. Brakowało zatem sił i warstw raczej wtórnych, a jaśniej krystalizowały się zasadnicze w każdym społeczeństwie warstwy i klasy. Do gry stawali partnerzy społecznie o wiele jaśniej zdeklarowani aniżeli pierwszej jesieni.

To spojrzenie wstecz poprzez pryzmat oczywistego już doświadczenia społecznego drugiej jesieni nie stało się za czasu jej trwania nabytkiem większości. U tej większości natomiast dziwacznie się pokrzyżowały i pomieszały świeże nałogi i nawyki lat okupacyjnych z pojęciami dawniejszego, całkiem przedwojennego kroju. Zapowiadaliśmy poprzednio, że okupant, odbierając społeczeństwu polskiemu wszelkie funkcje polityczne, działał na dłuższą metę w sposób usypiający i że skutki tego ujawniły się przede wszystkim w drugiej jesieni. Zapowiadaliśmy również, że w owych miesiącach schemat emigracyjny, chociaż w sposób najoczywistszy przegrywał jako fakt ideologiczny, nie przegrywał jeszcze jako oczekiwanie, jako skorupa zdolna istnieć samodzielnie. Czas te zapowiedzi połączyć i na tle końca wojny przeprowadzić dowód bardziej szczegółowy.

Podczas drugiej jesieni zaczęły się zatem sumować skutki zepchnięcia życia politycznego w fachową konspirację ze skutkami zaufania do odległych i mitycznych przywódców emigracyjnych. I gdybyż ta suma występowała zawsze z identycznym znakiem! Tymczasem u jednego występowała jako bezwzględne plus, u kogo innego jako bezwzględne minus. Występowała tak suma złożona z tych samych bezwzględnie składników realnych, z tych samych faktów. Skutkiem czego ogólna analiza zjawiska jest nieoczekiwanie trudna.

O co chodzi w tej arytmetycznej metaforze? Rozpocznijmy od skutków zaufania do mitycznych przywódców. W normalnym życiu zbiorowym każdy ma możliwość sprawdzić — o ile oczywiście go to interesuje! — że decyzje polityków budują się z tych samych doświadczeń, jakie przeżywa on na co dzień i nabywa każdej godziny. Jeżeli czym w swojej budowie różnią się te decyzje, to jedynie zakresem i precyzją owych doświadczeń,

przepuszczeniem ich u polityka przez wiele filtrów próbnych, nie różnią się natomiast w swojej istotnej materii. Ministrowie spraw zagranicznych, chociaż rozporządzają tajnymi raportami, nie budują swoich głównych posunięć z innego całkowicie surowca wydarzeń aniżeli ten, który każdy poznać może. Polityka stanowi sprawę niewątpliwie skomplikowaną i specyficzną w swoich metodach. I nie każdy zdolny jest je opanować. Nie jest jednak magią i alchemią w swoich zasadniczych wzorach i równaniach.

Tymczasem na skutek wielu okoliczności wyglądała ona w latach okupacyjnych na alchemię i magię. Wśród tych okoliczności niewątpliwie ważkie było zaciemniające oddziaływanie propagandy niemieckiej. Pozytywnie nikogo ona na stronę okupanta nie przeciągnęła. Negatywnie, burząc proporcje horyzontów światowych, mistyfikując, kłamiąc i przemilczając, wprowadziła atmosferę magicznej niepewności. Z jej skutkiem obronnym brzmiącym tak w społeczeństwie polskim: muszą istnieć ludzie, znający dobrze istotne elementy sytuacji wojennej i ze zrozumiałych względów nieodslaniający tych elementów Hitlerowi. Nieodslaniający ich również nam, pod okupacją. Argumentem, który w sytuacjach kłopotliwych i niepewnych za okupacji najłatwiej<sup>40</sup> przecinał wątpliwości, było zdanie: „oni wiedzą lepiej”. Kto był ci „oni”? Zaimek osobowy o bardzo rozciągłej treści. „Oni”, to znaczy Roosevelt, Stalin, Churchill i oczywiście polscy „oni”, Sikorski i inni. Sikorski zginął, polscy „oni” pozostali.

W pełni okupacji fakty decydujące leżały daleko od granic Polski. Istotne oznaczenia słuszności ideologicznych nie zaczynały jeszcze dzielić społeczeństwa w sposób dotkliwy, więc w alchemicznej formie nie osadzały się męty podejrzeń. Ze zbliżaniem się frontów te fakty i słuszności poczęły podchodzić pod same oczy i ustawiać się w perspektywie, która dla rozpoznania nie domagała się żadnych magicznych właściwości. Powracała normalna sytuacja, w której pomiędzy materią wielkich decyzji politycznych a codziennym doświadczeniem rządzonych nie ma większego rozdźwięku. Rozdźwięk ten jednak drugiej jesieni istniał tak mocno, jak nigdy w czasie okupacji.

By zrozumieć dlaczego, włączyć musimy do rozważań pryzmat klasowy. On pozwala pojąć, dlaczego identyczna sytuacja bądź występuje ze znakiem aprobaty, bądź — przeczenia. Pisząc: przeczenie i aprobatą, nie mam w tym miejscu na myśli oporu lub zrozumienia wobec widocznych zza Wisły podczas drugiej jesieni form społecznych i ustrojowych przyszłej Polski. Chodzi mi jedynie o opór lub zrozumienie faktu, że centrum decyzji politycznych całkowicie przesunęło się w obręb kraju. I że kraj będzie odpowiadał za siebie, za swoją przyszłość i jej cenę, a nie odlegli posiadacze nieistniejących formułek polityczno-magicznych. Bo zależnie od przebiegu tej wstępnej aprobaty lub oporu przychodziła dopiero aprobatą dalszą, prawdziwie polityczną.

Pryzmat zaś klasowy dlatego na tym ogniwie domaga się włączenia, ponieważ pochopność do tej aprobaty wstępnej zależała w ogromnej mierze od własnego interesu społecznego. A nawet — zjawisko nie mniej częste — od wmówień na temat owego interesu. W wypadku zaś niezgodności pomiędzy tym interesem a sytuacją społeczno-polityczną końca wojny można się było doskonale zasłaniać nadal okupacyjnym zaufaniem. Kto nie chciał nowego porządku klasowego lub go się lękał, wbrew faktom mógł powtarzać nadal i powtarzał: „*Oni* tam lepiej wiedzą. Zaczekajmy”. Mógł zapominać, że „oni” w rzeczach ogólnej polityki wiedzą tyle co on, a w rzeczach kraju ubożsi są o całe doświadczenie lat okupacyjnych. Czyli, przy równych szansach na pierwszej pozycji, ubożsi są o sprawę najważniejszą, chociaż niebywale prostą. Tylko armia radziecka mogła ziemiom polskim przynieść wolność, a magiczne kombinacje militarne Churchilla od Bałkanów i Morza Bałtyckiego musiałyby się w swej konsekwencji politycznej zamienić w zastrzyk dożylny dla słabnącego Hitlera.

Bo znów, podobnie jak pierwszej jesieni, zasadniczo rozumiał nową sytuację chłop i robotnik. Chłop oczekiwał ziemi, robotnik uwolnienia od niewoli pracy. Piszę w sposób ostrożny: „zasadniczo”, ponieważ i w tych klasach okupacja mąciła jasność widzenia. Znów inaczej ustawiała siebie przeważająca część inteligencji — bynajmniej nie jej całość! — kupiec, ziemianin. Nie były to jednak, jak jesienią 1939 roku, pozycje zagubienia i niepewności, ale ostrzej: ataku, niechęci, a przynajmniej absencji społecznej i politycznej. Atak i absencja zaczęły działać natychmiast po wyzwoleniu. Ich imiona brzmiały wówczas

<sup>40</sup>najłatwiej (daw.) — najłatwiej. [przypis edytorski]

— las i emigracja wewnętrzna. Broń polityczna lasu i emigracji wewnętrznej wykuwana była jednak już drugiej jesieni wojennej, i to jest najcięższe obciążenie, jakie ta jesień pozostawiła na karcie niepodległości.

## XV

Podsumujmy stan, w jakim społeczeństwo polskie z drugiej jesieni przechodziło w okres wolności. Raz już podobną sumę ustalaliśmy na przejściu od pierwszej jesieni w pełnię okupacji. Suma obecna zawrzeć musi w sobie i tamtą. Jeżeli mimo to niczego nie będzie podkreślać linią, od jakiej rozpoczyna się rachunek całkowicie odrębny — jest w tym ustawicznie przeprowadzany zamiar niniejszego szkicu. Zamiar na tym polegający, by pokazać, jak dalece objawy zbiorowe pierwszych lat powojennych, zwłaszcza roku 1945 i 1946, posiadają swoje zaczątki w ostatnim okresie okupacji. Objawy tak negatywne, o których przeważnie dotąd była mowa, jak też i pozytywne, które w ogólnym rachunku obydwu jesieni wprowadzić się musi, jeżeli ten rachunek ma być sprawiedliwy.

Z tych to przyczyn suma obydwu jesieni, suma okupacji zarazem pozostać musi w stanie otwartym. Dopiero opisując pierwsze lata Polski Ludowej można by ją zamknąć. Niestety — niech mi wolno będzie choć raz westchnąć z żalem — Niestety, odszedłem już wtedy do swojego fachu, książek, recenzji, uniwersytetu, redakcji, a zerwałem kontakty najbardziej pouczające: kontakty zaufania z prostymi ludźmi. W miasteczku, gdzie spędziłem całą okupację, istniała oryginalna instytucja, która w innych okolicach zdołała po krótkim okresie gorliwości zamrzeć. W Kressendorfie natomiast miejscowe jej trwanie podtrzymały urzędnicy okupacyjne do lata 1944. Instytucja zakładników. Co kilka miesięcy przez dwa tygodnie, noc w noc, chodziło się po wymarłym miasteczku, pilnując zagrożonego bezpieczeństwa wielkiej Rzeszy, w bardzo mieszanym towarzystwie — siodlarz, grabarz, młynarz, karciarz, gadając naturalnie, i te noce pod jesiennymi i zimowymi gwiazdami stanowią jedno z głównych źródeł bibliograficznych niniejszych rozważań.

Tutaj kropka po westchnieniu. Inne natomiast lata muszę uwzględnić w zamknięciu tych wywodów. Są ostatnie dni grudnia 1948, w którym kończę spisywać te obserwacje według dyspozycji i wniosków gotowych od dwóch przeszło lat. Gotowych, a w szkicu obecnym celowo niezmienionych, chociaż stanowią one opis minionego stanu chorobowego i jako groźba mieszczą się w przeszłości. Uwzględnić trzeba właśnie te lata i podkreślić, że urazy, kompleksy, dyspozycje społeczne i gospodarcze przedstawiam jako znamiona stanów społeczeństwa pod okupacją w miesiącach październik 1944 — styczeń 1945.

Nie zostały one rozładowane bez sporów i wysiłku, samym tylko automatycznym biegiem zjawisk. Dokonało się to rozładowanie w ostrej walce Polski Ludowej z jej wewnętrznymi przeciwnikami i kiedy spojrzeć na lata 1947/1948, widać jasno, że bez tej walki gangrena pookupacyjna jątrzyłaby organizm narodu nie wiadomo jak długo. Celem przecież tej rozprawy nie jest kreślenie owego procesu ozdrowieńczego i dlatego pozostajemy w ramach twierdzeń, latem 1946 roku jeszcze całkiem bliskich, całkiem aktualnych i — groźnych.

W tych ramach powtórzmy pytanie: jak u progu wolności wyglądało społeczeństwo polskie, dokładniej — społeczeństwo terenów położonych na zachód od Wisły? Objawy pierwszej i drugiej jesieni są to objawy żrącej wprawdzie, ale możliwej do starcia rdzy na pierwszym i ostatnim ogniwie długiego łańcucha przemian okupacyjnych. Z rdzy nagromadzonej na pierwszym ogniwie tylko jeden objaw zachował niejaką aktualność: wiara w schemat emigracyjny. Ta wiara wszakże u progu wolności i za jej progiem pełniła całkiem odmienną funkcję niż jesienią 1939 i dlatego aktualność była tylko niejaka. Pierwszej jesieni schemat emigracyjny żył jako element sytuacji uznanej za podobną do marzeń historiozoficznych z XIX stulecia. Dlatego żył mocno i niezależnie od osobistej czy zbiorowej reakcji na położenie pod okupacją. Pod koniec drugiej jesieni był on tylko funkcją tej reakcji. Sam w sobie niewiele znaczył, nawet u jego zaprzysięgłych wyznawców. Dlatego plama rdzy oznaczająca jego istnienie cofała się szybko. Cofała się od samego faktu wolności i jej zadań codziennych.

Rdza nagromadzona na ostatnim ogniwie trzymała się w sposób bardziej nieustępliwy, i to nie tylko dlatego, że była świeższej daty. Uraz antyradziecki, las, emigracja wewnętrzna to nie były zjawiska zaczerpnięte z arsenału dawnych wyobrażeń. Były to

wyznaczniki stanowisk wyraźnie politycznych, klasowych, a często w swojej intencji patriotycznych czy chociażby opartych na obowiązkach lojalności organizacyjnej z czasu okupacji. Formy zatem bezpośrednio splątane i szczipione z wylaniającą się u kresu wojny Polską Ludową. Rdza do oczyszczenia trudniejsza.

Pomiędzy tymi krańcowymi ogniwami łańcuch przemian społecznych, gdzie ogniwami najbardziej ujemne mieszają się z dodatnimi. Pośród pierwszych gospodarka wyłączona, życie na niby jako najważniejsze. W rachunku końcowym ogniwa dodatnie należy również przypomnieć, jeżeli mamy zrozumieć, dlaczego mimo głębokich schorzeń społeczeństwo nasze zdolne było do regeneracji. I w procesie ozdrowieńczym ogromną większość typowych objawów okupacyjnych zasklepiło w sobie i odizolowało niczym ogniska nieczynnej już gruźlicy.

Pozbawione życia organizacyjnego i politycznego, okrojone doszczętnie we wszystkich funkcjach nadbudowy kulturalnej, sprowadzone do podstawowych i najsurowszych elementów życia zbiorowego, społeczeństwo pod okupacją właśnie dzięki temu przyspieszyło procesy wewnętrzne. Te, które w normalnych warunkach niepodległości coraz potykały się o przeszkody usunięte obecnie przez okupanta. Przeszkody własnych przesądów, zapóźnień społecznych, połowicznych reform, wreszcie zależności od obcych dysponentów kapitalistycznych.

Szczególnie w ostatnim względzie okupant odegrał całkiem niespodziewaną rolę. Chwytną bezwzględnie w swoje ręce wszystkie dźwignie przemysłu, bankowości, rolnictwa, hurtu handlowego, nagle jaskrawo odstaniał mechanizm kolonialnej zależności i uległości kapitalistycznej, w jakim egzystowała Polska przedwrześniowa. Wówczas jednak ten mechanizm pokrywały piękne piórka tzw. interesu ponadklasowego. Obecnie piórka uleciały z wiatrem, a przed przeciętnym człowiekiem polskim stanął nagi szkielet niewoli gospodarczej. Obnażony dzięki antypolskiej zajadłości, ale nie przez tę zajadłość stworzony.

Faszizm niemiecki tylko korzystał z narzędzi kapitalistycznych zastanych w Polsce. Korzystając z nich, mimo woli obracał je przeciwko użytkownikom, którzy by po wojnie zapragnęli ponownie po nie sięgnąć. Belgijski czy szwajcarski akcjonariusz polskich kopalń lub elektrowni nie przeczuwał, że na troskliwie pielęgnowanych papierach akcyjnych łapa faszystowskiego okupanta pozostawiła odcisk, którego on nie dostrzegł, sprawdzając zawartość safesu. Lecz pracujący w tych kopalniach i elektrowniach widzieli co dnia, że ten brutalny odcisk tylko pogrubiał linię jego pielęgnowanych rąk. A naprawdę nie różnił się w układzie.

Przyspieszenie procesów społecznych, dotąd przebiegających wolniej, posiadało wyraźny kierunek. Już w głębi okupacji społeczeństwo Generalnego Gubernatorstwa i ziem wcielonych do Rzeszy zaczynało się przetwarzać w społeczeństwo ludowe. I w styczniu 1945 było już nim w stopniu, który sprawił, że po zlikwidowaniu emigracji wewnętrznej, po przełamaniu urazów, demokracja polska miała na czym budować i nie musiała rozpoczynać od tworzenia fundamentów. Fundamentów personalnych i fundamentów w pojęciach. Kładły się one już pomiędzy pierwszą a drugą jesienią, bliżej drugiej jesieni.

Jakie? Wysiedlenia, wywózki na roboty, obozy koncentracyjne i jenieckie zmieszały ludzi, warstwy, miasta, prowincje. Ustaliły nowe kontakty personalne rozgrywające się poza dotychczasowymi schematami, w takiej ilości ustaliły, że przestało to być zjawiskiem osobistym. Zupełnie specjalną rolę i też nieoczekiwaną w swoich pozytywnych skutkach odegrały tutaj wywózki na roboty do Niemiec. Miesiące powojenne pokazały, że wracające stamtąd gromady ludzkie są pozbawione typowych skażeń okupacyjnych, o wiele zdrowsze w normach współżycia zbiorowego. To twierdzenie dotyczy również ludności terenów wcielonych do Rzeszy. Cały ten zakres zagadnień oczekuje na swojego pisarza czy pamiętnikarza. Tutaj jedynie wskazujemy nieopisane dotąd miejsce, gdzie również wzrastała Polska Ludowa, zaprzęgnięta do twardej pracy, do szkoły patriotyzmu i godności narodowej, pozbawionej fanfaronady i stracńczych gestów.

W kraju zaś robotnik postawiony w obliczu podwójnej przemocy okupacyjno-militarnej, przy zaostzonych formach eksploatacji kapitalistycznej, jasno widział, że zmieniają się panowie u dźwigni, natomiast on pozostaje stale. I on jest panem właściwym. Chłop zapamiętywał swoje miejsce klasowe, dostrzegając, kto na wsi ponosi główny ciężar okupacji, kto opłaca koszty personalne wywózek — biedota wiejska. Położenie chłopca

Robotnik, Wojna, Walka  
klas, Historia, Polska

polskiego na terenach przyłączonych do Rzeszy uczyło go, do jakiego niewolnictwa feudalnego prowadzi faszyzm wobec podbitego ludu. I rozumiał też, że sąsiad-obszarnik nie obroni go przed tym niewolnictwem, lecz on sam, i to w ramach odmiennego niż dotąd porządku gospodarczego. Inteligent, prawie powszechnie wyrzucony ze stanowisk przedwojennych, mieszał się z innymi warstwami. Wchodził w ich codzienne życie i na własnej skórze uczył się, jak bardzo krucha jest jego pozycja społeczna, jeśli jej nie wspiera ustrój wolnego społeczeństwa. A że to wolne społeczeństwo nie składa się z jego registratorów i kartotek, jak sądzić był skłonny w latach niepodległości, dowiadywał się obcując z żywym elementem tych kartotek — na ulicy, w sklepie, w miasteczku, na wsi. Widział, że jego wolność jest tutaj właśnie, poza nim, wśród podstawowych warstw narodu.

Polska stawała się już wówczas Polską Ludową, kiedy dokonywały się te pozytywne niewątpliwie przemiany. Oczywiście same te przesunięcia puszczane samopas po wyzwoleniu nie gwarantowały jeszcze bez właściwego kierownictwa politycznego drogi ku Polsce naprawdę ludowej. Dawały jedynie zapowiedź kierunku, lecz zapowiedź skierowaną na linię demokracji polskiej.

I kiedy po lodzie zamarzniętych rzek, kiedy w poprzek całej ojczyzny naszej, od Karpat po Bałtyk, w styczniu 1945 roku zaczęły huczeć czolgi zwycięskiej armii radzieckiej nareszcie niosąc wolność, te dni decydujące militarnie, decydujące ustrojowo, decydujące o ocaleniu gospodarczym nękanego kraju — szybkie zdobycie Łodzi i Śląska — o jego ocaleniu kulturalnym — błyskawiczne zajęcie Krakowa — nie były bynajmniej zakończeniem widowiska już nieaktualnego lub prologiem gry mającej dopiero nastąpić. Jeżeli chodzi o wygląd społeczny naszego narodu w ostatnich latach wojny i pierwszych wolności, był to tylko patetyczny i niezapomniany antrakt. Prolog i akcje początkowe już się odbyły, przed styczniowymi dniami. Akty dalsze rozpoczęły się natychmiast. Nie zapadła jednak po nich kurtyna, dzieją się wciąż, rozpoczęte z tamtego wątku.

Nastaly lutowe roztopy, kiedy przez miasteczko poczęły przeciągać ku Odrze pułki drugiej armii polskiej. Było to też po pierwszym poranku poetyckim w Krakowie. Wiedziałem więc, w którym wierszu Putramenta odnajdę strofę, jaką zaśpiewała kompania odchodząc. Córeczka jeszcze nie całkiem wierzyła, że są to żołnierze polscy. Była nadal przekonana, że w mundurze mogą być tylko Niemcy. Tak jak w białym futrze tylko białe niedźwiedzie. Pytała, dlaczego oni mówią po polsku, jeżeli są w mundurach.

Ja, wojownik polski, muszę  
twardo znosić dołą złą,  
bo beze mnie kto ci, moja miła,  
wybuduje biały dom.

Ich miła ojczyzna była raniona w samo serce — Warszawę. Z ciała ich milej ojczyzny wytoczono krwi na kilka milionów ludzi. Jeszcze więcej rozsypało się po obczyźnie. O milej ich ojczyźnie wychodzącej z okupacyjnego mroku prawdę mówiły słowa:

Nasza noc zarażona żelazem,  
Nasza ziemia tknięta paraliżem,  
Nasze gwiazdy czernieją z zarazy,  
Nasze drzewa zrąbane na krzyże.

I od tego rozpoczęliśmy budować Polskę.

1946, 1948 r.

## GOSPODARKA WYŁĄCZONA

Kto pragnie pojąć psychologię gospodarczą społeczeństwa polskiego na progu trzeciej niepodległości, sięgać musi do zjawisk gospodarczych podczas okupacji. W psychologii tej bowiem doskonale sprawdza się twierdzenie, że skutki psychologiczne zawsze trwają dłużej aniżeli baza, która je obiektywnie spowodowała. Stąd, nawiasem mówiąc, złudzenie samodzielności procesów psychologicznych.

Problem, który w szkicu niniejszym pragnę rozpatrzeć, doniosły jest w swoich obydwu wyglądach: jako opis zjawisk całkiem niedawnych, a przecież tak skromnie zapamiętanych i tak mało uświadamianych z jednej strony, z drugiej zaś jako opis skutków w psychice zbiorowej naszego społeczeństwa trwających nadal, chociaż rozbita została struktura gospodarcza byłego Generalnego Gubernatorstwa. Okres pięciu przeszło lat był bowiem dostatecznie długi, ażeby przy systematycznym i konsekwentnym uporze, a tego Niemcom nie brakowało, stworzyć fakty, które się mocno w tej psychice odcisnęły. Zwłaszcza że fakty owe odpowiadały wielu niespełnionym dotąd nadziejom. Będziemy mówić — jeszcze jedno zastrzeżenie — tylko o Generalnym Gubernatorstwie, albowiem jedynie na tym skrawku Polski zjawiska, jakie analizujemy, zdołały się w pełni rozwinąć.

Przesłanki niemieckiej polityki gospodarczej

Jakie były przesłanki polityki gospodarczej Niemiec w Generalnym Gubernatorstwie?

Odpowiedzi wstępnej udzielią nam dwa fakty: najpierw — przebieg granicy między Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem, po wtóre — system kartkowy Gubernatorstwa jako fikcja społeczna i gospodarcza. Granica została tak przeprowadzona, by cały przemysł, węgiel i hutnictwo odpadły od Gubernatorstwa, a reszta pozostała w kraju o charakterze czysto rolniczym, a zatem cofniętym ewolucyjnie wobec każdego europejskiego państwa, za wyjątkiem krajów tak dziwnych i nienaturalnych, jak międzywojenna Litwa, Łotwa czy Estonia. Naturalnie nie dało się wykonać tego w sposób całkowicie idealny. Starachowic, Tomaszowa, Mościc, Stalowej Woli, bogatego przemysłu Warszawy nawet Niemcy nie zdołali przenieść do Rzeszy, ale zasada była jasna: chodziło o to, by „niezależny” kadłub Polski niczego nie mógł eksportować prócz bab do pielienia buraków i prócz samych buraków. Jedyna kopalnia lichego całkiem węgla (Tenczynek pod Krzeszowicami), jaka pozostała na terenie Generalnego Gubernatorstwa, zawdzięczała to siedzibie Franka w Kressendorf. Siedzibie, która musiała przecież być na terytorialnym obrębie jego panowania. A i tak co parę miesięcy okolicę płoszyła plotka o nowym przeciągnięciu granicy, ponieważ „wielkośląskie” zagłębienie nie mogło ścierpieć szybu położonego nie w samej Wielkiej Rzeszy, lecz w *Nebenlandzie*.

Taki przebieg granicy w apetytach niemieckich nie stanowił żadnej nowości. Czasu pierwszej wojny światowej, kiedy powstać miało beselerowskie<sup>41</sup> królestwo polskie, podobnej linii granicznej żądał sztab niemiecki. Także nie był nowością cel tego przekroczenia: w pierwszej wojnie światowej Niemcy tak samo naciskały na stłumienie przemysłu Kongresówki, a w powstającym po ich stronie państwie polskim widzieć chciały rynek zbytu dla swego przemysłu.

Generalne Gubernatorstwo miało zatem stanowić na czas wojny kolonię rolniczą, dopóki zamierzone zwycięstwo nad Rosją nie pozwoliłoby Niemcom problemu rozwiązać w sposób ostateczny: przetrzebiona z inteligencji ludność polska gdzieś nad Wołgę, ludność rosyjska za Ural. Celu ostatecznego tym razem nie skrywano. Odpowiednich mów Franka nie warto cytować. Pamiętamy bez cytatów. Lecz do czasu tego rozwiązania stosunki z autochtoniczną ludnością kolonii należało jakoś urządzić. Uczyniono to według drugiego faktu podstawowego: *system kartkowy jako fikcja społeczna*. Ludności autochtonicznej stworzono taką bazę życiową, by nikt z niej nie mógł żyć. Zabroniono wszelkiego handlu produktami rolnymi, tak że każdy żandarm wyciągający gospodyni masło z koszyka działał prawnie. Ludności polskiej nie dano oficjalnie nic, prócz niewystarczającej ilości chleba. *Prawnie* nie spożyłem w ciągu wojny, jak i miliony mnie

Polska, Wojna, Prawo,  
Pozory

<sup>41</sup>*beselerowskie królestwo polskie* — od nazwiska Hansa Hartwiga von Beselera (1850–1921), sprawującego od sierpnia 1915 r. stanowisko Generalnego Gubernatora okupowanego przez wojska niem. Królestwa Polskiego (właśc. jego części z Warszawą włącznie). Polityka i działania Beselera przygotowywały polską niepodległość. Otworzył polskojęzyczne uczelnie w stolicy Królestwa: Uniwersytet Warszawski i Politechnikę Warszawską; był inspiratorem tzw. *aktu 5 listopada*, podpisanego podczas konferencji w Pszczynie wspólnie przez władze niemieckie i austro-węgierskie i ogłoszonego publicznie w Radomiu, gwarantującego powstanie Królestwa Polskiego (nie było mowy o jego niepodległości, ale o odrębności i „łączności” z mocarstwami-sygnatariuszami). Od 10 kwietnia 1917 r. Beseler był Naczelnym Dowódcą Polskiej Siły Zbrojnej; 18 października 1918 r. uznał zwierzchność Rady Regencyjnej nad Wojskiem Polskim, 24 października złożył na jej ręce swój urząd, a 12 listopada opuścił *incognito* Warszawę i wrócił do Niemiec. [przypis edytorski]

podobnych, ani grama tłuszczu, ani naparstka mleka, ani plasterka kielbasy — a przecież tych produktów spożyliśmy dosyć wiele.

Ten fakt fikcji gospodarczej musi być kładziony jako fundament przemian gospodarczych Generalnego Gubernatorstwa. Wszystkie, nawet najbardziej rozgałęzione, procesy psychospołeczne do niego się sprowadzają. Przed ludnością Generalnego Gubernatorstwa zimą 1939/1940 roku stanął prosty dylemat: albo zastosować się do tego, co wolno zjeść, i zdechnąć z głodu, albo — *dać sobie jakoś radę*. Naturalnie pierwszej alternatywy nikt poważnie nie brał pod uwagę, ważna była tylko sprawa: *jak wbrew przepisom dać sobie radę?* Na to „jak” każda warstwa społeczna odpowiedziała inaczej, innym zachowaniem i innymi reakcjami zbiorowymi. Opiszemy to szczegółowo, analizując postawę chłopą, robotnika, inteligenta, ziemianina.

U wstępu do podobnej analizy jeszcze dwa pytania musimy rozpatrzyć: najpierw, co mogło spowodować Niemców do stworzenia takiej fikcji gospodarczej, po wtóre, gdzie w tym systemie okazała się luka. Nie cenię tępoty psychologicznej Niemców tak wysoko, by sądzić, że spodziewali się, iż Polacy zastosują się do ich przepisów gospodarczych i łagodnie wymrą z głodu. Nawet naród złożony z samych fakirów byłby się zbuntował. Podobną bzdurę mogły być wywołać tylko zupełnie specjalne powody: małpia złośliwość, chęć dokuczenia Polakom za wszelką cenę, chęć pokazania im, że w każdym względzie są podludźmi. Ponadto przedstawione prawo gospodarcze dawało okupantowi jak najswobodniejszą rękę w jego dalszych posunięciach wobec autochtonów: wszystko było zabronione, więc można było w potrzebie spuścić z wymagań, dołożyć i żądać wdzięczności. Istotnie, w biegu okupacji niektóre klasy zatrudnionych coś tam otrzymały. Zatem mieszanina przyrodzonej pychy z kaprysem łaskawości, dająca w wyniku dziwoląg gospodarczy o stopniu nasycenia głupotą, nieistniejący chyba nigdzie w reszcie okupowanej Europy. Ale w tym dziwolągu społeczeństwo polskie musiało żyć i znaleźć jego słabe strony.

Tych stron ujawniło się wiele. Przede wszystkim każde prawo zbyt rygorystyczne, by mogło być naprawdę dopilnowane i przeprowadzone, kompromituje się samo przez się i żadne najsurowsze sankcje nie przywrócą mu powagi. Jeżeli nielegalna hodowla świń zasadniczo karana jest śmiercią, a ta hodowla bardzo popłaca, żandarm zaś miesiącami do wsi nie dociera, nikt ludzi nie powstrzyma od czulej opieki nad maciorą. Jeżeli można być złapanym z tłuszczem w każdym pociągu, ale przechodzi siły najsprawniejszej policji dniem i nocą pilnować wszystkich pociągów zmierzających do wielkiego miasta, nikt ludzi nie powstrzyma od podróżowania z tłuszczem. Te pewniki zostały szybko i bystro pojęte przez społeczeństwo polskie, prędzej, nim Niemcy spostrzegli, że cała ich zaporą jest zaledwie sitem. Kiedy spróbowali środków drakońskich, było już za późno. Społeczeństwo oswoiło się z fikcją i nie przerażały go odsłonięte zęby bestii. To była, rzecz można, *luka od dołu w fikcji*. Luka dostępna każdemu, sprawdzona doświadczalnie, nawołująca do ryzyka, które przeważnie się opłacało. Pisząc „opłacało się”, mam dwie sprawy na myśli: opłacało się jako nieunikniona konieczność życiowa, bez której jednostka schodziła niżej dopuszczalnego poziomu egzystencji. Ale również opłacało się, i to bardzo sownie, jako zabieg handlowy. O skutkach tej drugiej części doświadczenia niżej.

Nie mniejsza luka okazała się rychło *u góry fikcji*, u samego szczytu systemu. Wybił tę lukę, symbolicznie mówiąc, ten Polak, który pierwszy miał na tyle intuicji psychologicznej, że nie przerażały go srogie miny, który przeczuł, że *trzeba dać łapówkę i że łapówka będzie przyjęta*. Tej luce od góry jest bowiem na imię łapownictwo i przekupstwo Niemców. Tutaj trzeba sięgnąć do wspomnień. Kiedy pojawiły się pierwsze zarządzenia gospodarcze, jako człowiek z natury skłonny brać na serio wszelkie rozporządzenia władz, przypuszczałem, że jest to pętla naprawdę mocna. Sądziłem wprawdzie, że życie jakoś ją rozluźni, ale w wielu domysłach i nocnych refleksjach nie pojawiła się myśl o łapownictwie jako obronie zbiorowej, jako czymś z gatunku powszechnie stosowanego szczeniaka. Dzisiaj wiem, że była to naiwność. Po prostu zanadto wierzyłem zewnętrznemu wyglądowi Niemców, ich pozornej surowości, by przeczuć, że gangrena moralna tkwi u nich pod samym naskórkiem. Rozmiarów tej gangreny nie przeczuwał zresztą nikt w Polsce i rychło, gdyśmy ją rozpoznali, ustalił się wobec okupanta ten znamieny stosunek psychologiczny tłumionej pogardy, jaką zawsze żywimy wobec ludzi, których łatwo wciągnąć w brud, choć zasadniczo winni mu być niedostępni.

Niemcy okazali się fantastycznymi łapownikami. Brali wszyscy, od pionków po górę partyną. System przekupstwa ustalili się szybko jako niepisana, ale honorowana umowa dwustronna. Regularnie opłacającemu się masarzowi, piekarzowi czy młynarzowi „nie robiono świństw”. Łapownictwo stało się szybko pancierzem, który nasze życie gospodarcze uchronił od zgniecia przez fikcję. Ale łapownictwo jest systemem podwójnym: jest, kto bierze, i jest, kto daje. Nie wystarczy odrąbać dłoń biorącą, ażeby tym samym upadł proceder. Pozostaje ręka wdrożona w dawanie i ta będzie sobie szukać nowych klientów. Pamiętamy to i widzimy dzisiaj — ta rączka, gotowa dyskretnie wsunąć i podsunąć, trwa ciągle.

Łapownictwu poczęły szybko sprzyjać dalsze objawy. Już gdzieś w drugiej połowie 1940 roku każdy dostrzegł, że ustalają się nowe, jak przed wojną pisywano, nożyce cen. Tym razem jedno ostrze nożyc stanowiły ceny i płace oficjalne, drugie ostrze — ceny i potrzeby realne. Wnet się okazało, że polityka gospodarcza stara się utrzymać na najniższym poziomie ceny i płace oficjalne, te, które obowiązują przemysł wojenny i potrzeby Niemców, te, wedle jakich wysysa się soki kolonii, a całkiem się nie troszczy o ceny realne i o to, jak „ludność nieniemiecka” poradzi sobie z postępującym rozwieraniem się nożyc. Znowu fikcja z urzędu, która szybko miała się odbić dalszymi fikcjami koniecznymi. Na razie chodzi nam o łapownictwo i jego powody od strony niemieckiej. Dysponentami hurtowymi towarów i surowców byli wyłącznie Niemcy i szybko stanęła przed nimi pokusa, której nikt pośród partyjników się nie oparł. Stanęła ta właśnie różnica wartości fikcyjnej a realnej, pokusa dyspozycji na lewo, z perspektywą zysku tym większego, że pieniądz zarobiony takim postępowaniem posiadał dla Niemca wartość nie rynkową, obniżoną, ale urzędową, wysoką. By wyżyć, Niemcy nie musieli się uciekać do tych sposobów, chyba dopiero w ostatnich dwóch latach — sam nałóg łapowniczy był wcześniejszy. Wyniknął z niepewności stanowiska okupanta, nakazującej — wbrew oficjalnej pewności siebie — kapitalizować i lokować pieniądze w złocie. Dlatego to ostatnimi odbiorcami złota, które z rąk Żydów przelewało się w społeczeństwo polskie, byli w dużej mierze Niemcy. Nie mówię naturalnie o kapitalizacji uproszczonej, polegającej np. na wrywaniu złotych koron mordowanym ofiarom, bo ta „kapitalizacja” w systemie niemieckim posiadała charakter państwowy i oficjalny.

Ta fikcja niskiej ceny i niskiej płacy pociągnęła za sobą ze strony władz fikcję dalszą, która okazała się pożyteczną dla samego społeczeństwa, a przede wszystkim dla kupiectwa. Uważając oficjalnie, że ceny nie różnią się od przedwojennych, nie można było nałożyć innych podatków od przedwojennych. Doszło więc do tego, że w czasie kiedy obroty i ceny były kilkadziesiąt razy wyższe aniżeli w 1939 roku, podatki wzrosły minimalnie. Można było naturalnie usankcjonować wyższe ceny, dlaczego jednak trzymano się jawnego dla wszystkich próchna, nie umiem tego wyjaśnić.

Od strony moralności społecznej to wymknięcie się gospodarstwa systemowi podatkowemu jest czymś niesłychanie ważnym. W ten bowiem sposób indywidualne życie gospodarcze zostało w świadomości uczestników wyłączone od udziału moralno-ekonomicznego w życiu zbiorowym. Polak w Generalnym Gubernatorstwie nauczył się szybko, że ustrój, skądinąd tak surowy, w tej dziedzinie poprzestaje na fikcji. Sami zaś Niemcy lukę w fikcji poczęli latać w najprostszy sposób: inflacją, drukiem papieru monetarnego. W miarę przeciągania się wojny wzrastały potrzeby armii i przemysłu niemieckiego. Generalne Gubernatorstwo musiało je płacić nie tylko milionami robotników wywiezionych do Rzeszy. Przede wszystkim płaciło własnym żołądkiem, różnicą pomiędzy zarobkami a kosztami utrzymania, głównie zaś utajoną inflacją tych lat. Nie pojmie nikt pozornego ożywienia gospodarczego lat okupacji, kto nie pamięta jasno, że był to okres inflacji z jego wszelkimi pochodnymi w psychice zbiorowej, ze sztuczną gorączką i żywotnością, z łatwością i lekceważeniem pieniądza zdobywanego nie wiadomo skąd. Ta inflacja tym przyjemniej działała, że „myśmy za nią nie odpowiadali”. Byliśmy jak dziecko, któremu wlewają wódkę w usta, a ono twierdzi, że połykać musi. Skutki takiej euforii płacimy za to teraz i jeszcze długo płacić będziemy.

Było zatem tyle konsekwentnych i niekonsekwentnych fikcji w postępowaniu Niemców, że na pozór trudno znaleźć ich przyczynę wyjaśniającą. Tymczasem nie leży ona zbyt daleko. Trzeba tylko założyć, że wszystko, co się działo ze strony niemieckiej w Generalnym Gubernatorstwie, stanowiło *provisorium na czas wojny*. Obchodziły Niemców tylko



te procesy gospodarcze, które były im doraźnie potrzebne. Przede wszystkim najtańsza siła robocza na miejscu i na wywóz do Rzeszy. Dalej absolutna dyspozycja przemysłowa. Na trzecim miejscu system kontyngentu rolnego, który by obsłużył armię i urzędnika niemieckiego. Stąd bezwzględność w jego wykonaniu. Na dalszym planie absolutna dyspozycja surowcowa tam, gdzie Generalne Gubernatorstwo nadawało się do rabunku surowców. Stąd np. polityka leśna i drzewna. Wszystko, co tych celów głównych nie dotyczyło, było właściwie okupantowi obojętne. Dla zasady ingerował, ale miękko.

Powstał przeto system gospodarki, która pewnymi swymi funkcjami została *włączona* w obojętne jej i obce ciało, a innymi zawisła w powietrzu, wyłączona od wszelkiej zależności społecznej. Zawisła tak w powietrzu przede wszystkim naturalna zapobiegliwość ekonomiczna człowieka, troska o byt codzienny, jednym słowem poniechane zostały lekceważeniem najprostsze psychologiczne motory życia gospodarczego. Mieszkaniec Generalnego Gubernatorstwa dostrzegając, że okupant w niczym się o niego nie troszczy, uważał się ze swej strony — i słusznie! — za zwolnionego od uczestnictwa moralnego w narzuconym mu planie zbiorowym. A ponieważ był aktywny i zapobiegliwy, miał co wyłączyć. Dzięki temu w postawie społeczeństwa wobec własnych działań gospodarczych utrwaliło się przekonanie, że są one niezależne, na uboczu i dla siebie, że tutaj wolno i należy robić, co się chce. Niemoralność pracy była nawet obowiązkiem patriotycznym. Taką drogą w psychologii społeczeństwa powstał konglomerat, który uważamy za centralne zjawisko psychosocjalne lat okupacji: *gospodarka wyłączona moralnie, wyłączona ze wspólnoty społeczno-państwowej*.

Czas obecnie prześledzić jej objawy w poszczególnych klasach społecznych.

## ROBOTNIK

Od początku do końca okupacji niewątpliwie najtrudniejsza była sytuacja robotnika w przemyśle. Jedyne góra inteligencji, jak np. profesorowie uniwersytetów znaleźli się w położeniu podobnie trudnym, ale ci posiadali pomoce, których pozbawiony był robotnik. Ponieważ Niemcom zależało na licznej i taniej sile roboczej, ich pierwsze zarządzenia zmierzały do prawnego i faktycznego zagwarantowania tej siły. Wprowadzono tak szeroką i nieokreśloną zasadę prawną o obowiązku pracy dla wszystkich Polaków, by mogła służyć za podstawę wszelkich późniejszych zarządzeń. Robotnika związano z zakładem, wprowadzając zakaz zmiany miejsca pracy. Systemem książeczek pracy posegregowano zawody i każdego mężczyznę zaopatrzone w dokument, który w ostatnich dwóch latach okupacji był równie niezbędny co metryka urodzenia. W ten sposób stworzono wszelkie podstawy dla prawnej niewoli robotnika.

Ten obowiązek pracy, połączony z trudnością wykonywania zawodów inteligenckich, a pośród młodzieży z niemożnością normalnego kontynuowania studiów średnich i wyższych, spowodował przesunięcia w składzie warstwy robotniczej, których skutki dla psychiki całego społeczeństwa trudno na razie ocenić. Wydaje się, że będą to nieliczne skutki dodatnie odziedziczone po okupacji. Chodzi o to, że tylko część ludzi o aspiracjach inteligenckich, wyrzuconych z dotychczasowego miejsca w drabinie społecznej, zdołała drogą handlu i spekulacji zapewnić sobie przywilej niewykonywania pracy fizycznej, uważany za konieczność dla zajmowanej dotąd pozycji klasowej. Część bodaj liczniejsza, szczególnie liczna, jeśli chodzi o dojrzewającą młodzież na prowincji, musiała zasilić klasę robotniczą, pójść do fabryk, kamieniołomów, do zajęć stanowiących o codziennym kontakcie z człowiekiem pracy fizycznej.

Wszyscy ci ludzie z odzyskaniem niepodległości opuszczą szeregi proletariatu robotniczego, w jakich na kilka lat się znaleźli, ale skutki tego przemieszania społecznego będą chyba pozytywne, będą zwłaszcza dla młodzieży, która u wstępu do dojrzałości umysłowej zetknęła się na długo z robotnikiem i jego świadomością klasową. Drogi bowiem przenikania społecznego i awansu pomiędzy chłopem a robotnikiem stanowią zjawisko normalne, przenikanie zaś spowodowane przez deklasację społeczną i życiową inteligenta za okupacji należy do zjawisk rzadszych, i stąd na ten objaw zwracamy uwagę u samego początku. W tej bowiem deklasacji wyraża się całe postępowanie okupanta wobec naszego narodu: przed robotnikiem i chłopem zabarykadowana została wszelka droga awansu społecznego, inteligent zaś był spychany niżej pozycji już osiągniętej.

Wojna, Pozycja społeczna,  
Elita, Robotnik, Praca,  
Przemiana, Polska

Niewolnik polski nie byłby tak bierny, jak stał się nim z konieczności, gdyby nie dalsze powody, które sprawiły, że zło pracy w Generalnym Gubernatorstwie było dla robotnika złem mniejszym i stąd akceptowanym. Wyjazdy za pracą do Rzeszy, ruch „na Saksy”, pozostawiły, jak wszelkie ruchy emigracyjne z krajów przeludnionych, chętną pamięć w Polsce. Wiadomo było, że trzeba wprawdzie kilka miesięcy pracować bardzo ciężko, ale za to wraca się z dobrym pieniądzem. Te wyjazdy, podobnie jak wszelkie ruchy emigracyjne, ustały prawie całkiem w okresie niepodległości, ale pamiętano je i stanowiły coś w rodzaju pomniejszej odbitki mitu o Ameryce i „amerykańskich” zarobkach.

Niemcy w pierwszych miesiącach okupacji wyzyskiwali dosyć zręcznie tę możliwość: otwieramy wam drogę do pięknego zarobku, jak waszym ojcom, jedźcie do Rzeszy. Same warunki przekazywania pieniędzy, kiedy jeszcze nie było wiadome, do jakiej wysokości ceny dojdą, nie zapowiadały się źle. Przypomnijmy nadto ten kawał, o którym mało kto dzisiaj pamięta: jesienią 1939 roku świeżo utworzone „Arbeitsamty”<sup>42</sup> niemieckie wypłacały zasiłek każdemu, kto zgłosił się jako bezrobotny, nie sprawdzając, czy jest nim istotnie. W moim miasteczku stały ogonki przed urzędami, jakich nawet po wódkę później nie widziałem. Tyle że każdy otrzymując zasiłek podpisywał kwit, na którego odwrocie widniała klauzula, że na każde wezwanie wyjedzie do pracy do Rzeszy.

Ten zabieg prewencyjny okazał się zrazu niepotrzebny. Pierwsze kadry wyjazdowiczów nie powstały z łapanek, ale były naprawdę dobrowolne. Stanowiła je przede wszystkim biedota wiejska, znęcona mitem Saksów. Robotnik, więcej uświadomiony i nieufny politycznie, prawie że nie uczestniczył. Ale robotnik był tym, który rychło zebrał doświadczenie tego wyjazdu. Było ono proste i ujawniło się rychło: *to nie są dawne Saksy*. Nie tylko możliwość powrotu z zarobkiem jest fikcją, fikcją jest jakakolwiek pomoc dla pozostałych w kraju. Dla kawalera nie stanowi to problemu, ale dla żonatego? Traktowanie Polaków jako podrzędnego bydła ze znacznikiem P, ich miejsce poza prawem, rychło też stało się powszechnie wiadome. Wiadome się również stało, iż wywózka lub wyjazd na roboty do Niemiec oznacza, że do końca wojny nie ujrzy się kraju. Na urlopy puszczano z Rzeszy bardzo niechętnie wobec trudności w przychwytywaniu tych, którzy urlop potraktowali jako ucieczkę. Ponadto ciągle naloty na Rzeszę przy całkowitym spokoju nocnych i dziennych niebios nad Gubernatorstwem przedstawiały pobyt w Rzeszy jako ustawiczne niebezpieczeństwo życia.

W wyniku tych wszystkich okoliczności ukształtowała się przeto sytuacja psychologiczna brzmiąca tak: *najgorsza praca w Generalnym Gubernatorstwie jest lepsza od wyjazdu do Rzeszy*. Na miejscu, w kraju, można zawsze jakoś dorobić, można przebiedować, wyjazd zaś, szczególnie dla obciążonej rodziny, to katastrofa. I to, a nie żadna oficjalna zapobiegliwość władz, stało się przyczyną, że rynek pracy w Generalnym Gubernatorstwie był nie tylko nasycony — był przesycony do śmiesznego absurdu. O kartę pracy, szczególnie tę dobrą, honorowaną przy łapanekach, walczono jako o najskuteczniejszy sposób ochrony przed wyjazdem do Niemiec.

Sytuacja rozwinęła się w ten sposób, że im głębiej w lata okupacji, kiedy mniej więcej wszyscy nauczyli się egzystować w jej warunkach, tym większą groźbą był wyjazd do Rzeszy. Władze musiały się uciekać do środków drakońskich, łapanek i kontyngentów ludzkich, tym więcej, że pompa — urzędy pracy — która powinna była wysysać materiał ludzki do Rzeszy, nie działała, zaczopowana łapownictwem. Były wprawdzie „Arbeitsamty”, których kierownicy pracowali porządnie — ze stanowiska niemieckiego! — i wysyłali wszelką siłą zbędną, lecz stanowiły ułamek całości. Zasadniczo nie widziało się instytucji bardziej przekupnej i mniej skrywającej swoje przekupstwo. Szantaż rzekomego nakazu na wyjazd, byle ściągnąć wykupne, był procesem codziennym, a okresy masowych wyjazdów wiosennych i letnich odrzucały istne góry gęsi, kiełbas i wódki. Doszło wreszcie do tej paradoksalnej sytuacji psychologicznej, że niemiecki kierownik przedsiębiorstwa niesforemnie pracownikowi jako sankcją ostateczną groził słowami: *pojedziesz do Rzeszy*. I dla przykładu tego lub owego posyłał.

Tak więc robotnik wiedział, że w najlichszych nawet warunkach opłaca się pozostać, a nie jechać. Pozostać, ale jak żyć? Robotnik polski jako klasa społeczna jednak

<sup>42</sup>Arbeitsamt (niem.) — urząd pracy; w hitlerowskich Niemczech organ administracji państwowej zajmujący się sprawami zatrudnienia, w Polsce na ziemiach okupowanych przede wszystkim egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz wysyłaniem pracowników na roboty przymusowe do Niemiec. [przypis edytorski]

przeżył, a złożyło się na to wiele powodów. Przede wszystkim, zwłaszcza poza wielkimi skupiskami przemysłu i kopalnictwa, robotnik nasz w wielu okolicach nie jest jeszcze określony i skryształowany ostatecznie jako klasa socjalna, całkowicie od ziemi oderwana i żyjąca tylko z pracy rąk. Szczególnie nim nie jest w tych ośrodkach przemysłowych, które pozostały na terenie Gubernatorstwa. Bo proletariat Łodzi, Zagłębia Dąbrowskiego, Śląska już tych cech przejściowych nie posiada, całkowicie swoją pozycją klasową umieszczony jest „na fabryce” i na znaczku kontrolnym w portierni. W ośrodkach, jakie pozostały w Generalnym Gubernatorstwie, robotnik często stoi jeszcze na przejściu pomiędzy wiejskimi ojcami a proletariatem czysto miejskim, jeszcze posiada skrawek roli, w wielu wypadkach chałupę odziedziczoną. Istnieją całe kategorie pracowników — klasycznym przykładem jest tu kolejarz polski — którzy to swoje przejściowe stanowisko nawet utrwalili.

Większość musiała sobie radzić według sposobów, powodujących — niestety — ujemne skutki psychosocjalne. By wyżyć, musiała zerwać z wszelką moralnością pracy. Dobrze płatny i związany ze swym warsztatem robotnik, jeżeli nadto czuje, że kontrola jest skuteczna, nie wynosi z fabryki jej produktów. Portier zakładu nie przemyka oczu na podejrzenie wypchaną kieszeń. Za okupacji robotnik kradł i musiał kraść. Nie pomagała żadna kontrola, żadne niebezpieczeństwo. Tak samo wynosiło się wódkę, jak części broń z zakładów zbrojenia. Kiedy w roku bodaj 1943 w fabryce papierosów krakowskiego monopolu tytoniowego zgromadzono niespodziewanie personel celem kontroli, w jednej chwili cały dziedziniec zabielił się od pudełek papierosów. Nie było kogo ukarać, skoro winni byli wszyscy.

Ale co ma wynosić np. robotnik zajęty w kamieniołomach? Kto od niego kupi bryłę porfiru? Ten uciekać się musiał do zabiegów bardziej skomplikowanych. Spędziłem wojnę w pobliżu kilku wielkich kamieniołomów i mogę podać przykład takiego zabiegu. By żyć, trzeba było „zahandlować”, żeby zahandlować, trzeba mieć dwa, trzy dni wolne w tygodniu, ale tak wolne, by oficjalnie być w pracy i nie narazić się na karną wywózkę. Jako dalsza niewiadoma równania wchodzi to, że robotnik ma nałożoną normę wydobywania. A jak się równanie rozwiązuje?

Przez zwiększoną pracę i przez porozumienie z dozorem „na placu” i w biurze. Przez cztery dni jest się w pracy, wydobywając normę za sześć dni. Dozorca i urzędnik są urobieni, ażeby tę normę w wykazach i listach obecności rozprowadzić na sześć dni. Dwa dni ma się dla siebie. Dozorca i urzędnik nie zrobią tego za darmo. Z tych dwóch dni należy im się słuszna dziesięcina. Zwłaszcza urzędnikowi, którego skontrolować łatwo i który musi być codziennie w biurze. Nie wszędzie w ten sposób można się było urządzić i dlatego zakłady pracy, gdzie kontrola niemiecka nie pozwalała na to, a nie dawała w zamian żadnej możliwości wynoszenia towaru, były katorgą, przed którą robotnik bronił się pazurami. W mojej okolicy powiedzenie „przydzielili go do IG Farben”, to znaczy do kamieniołomu tego koncernu, miało wydźwięk podobny słowom: posłali go do Płaszowa, to znaczy do najcięższego z obozów pracy.

Wszystkie zabiegi robotnika zmierzały więc do tego, by zyskać nieprawnie albo towar o dużej wartości handlowej, albo czas wolny mający tę samą wartość handlową. „Pojechać za towarem”, sprzedać i zarobić. Robotnik handlował, szczególnie robotnik miejski. Gdy nie mógł sam, posyłał żonę. Był to szczególny handel nędzy i konieczności. Zajętych nim należy odróżniać od handlarzy i pośredników zawodowych. Nie znam przykładu robotnika, który by na tym handlu z konieczności dorobił się i kapitalizował dolary. Co zarobił — zjadł i nie był w stanie wiele więcej zarobić nad to, co przejeść musiał. Jakżeż nam znany z podwarszawskich czy podkrakowskich pociągów obraz zapłakanej kobiety, której „zabrali” w Kuluszkach albo w Miechowie pięć kilo kaszy i kilo tłuszczu, która płacze, że to już było dla dzieci, jest obrazem prawdziwym w swojej funkcji gospodarczej. To był naprawdę zarobek, który dzieci byłyby mogły zjeść spokojnie. Pisarz-realista owych czasów, jeżeli nie zdoła odtworzyć cierpień i wyrzeczeń tych kobiet, ich poniewierki, nocny nieprzespanych, wędrówek po błotnych topielach, lichym będzie realista. Pamiętajmy bowiem, że mężczyzna samotny, poza szajkami zawodowców, którym łapówki nadawały nietykalność, w takim handlu wyjazdowym pojawiał się rzadko, był bowiem zbyt łąko-

Robotnik, Handel,  
Kradzież, Kłamstwo, Praca,  
Mężczyzna, Kobieta, Wojna

mym kąskiem dla łapaczy. Dlatego pociągi handlowe pełne były kobiet — od opasłych hien w spódnicach, po matki, dla których te pięć kilo kaszy stanowiły naprawdę problem.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, jakoby psychologia gospodarcza robotnika za okupacji rozwinęła się prawidłowo i moralnie. Powiadam tylko, że jego odporność i spryt życiowy zdały pełny egzamin. Sama zaś psychika przybrała formy bardzo niezdrowe. Jeżeli mniej zdeprawowane niż w innych klasach społecznych, to dlatego, że *robotnik nie był winien tej deprawacji*. Została ona wywołana jako konieczna samoobrona przed niszczycielskim systemem pracy dla okupanta. Tym niemniej formy zostały zepsute i zgangrenowane. Zerwany został stosunek moralny pomiędzy robotnikiem a jego pracą. Robotnik pracujący dla znienawidzonego systemu pracował jak najmniej i jak najgorzej. Klasycznym przykładem jest tu ten majster fabryczny, który zwraca uwagę inżynierowi, że rysunek wykonanej części jest błędny i nie będzie się zgadzał po odrobieniu. Słyszy w odpowiedzi: a co to was obchodzi? Robić według dostarczonego z góry rysunku. I obydwaj skrupulatnie przykładają się do pracy, o której wiedzą, że jest zła.

Robotniczym herbem okupacji pozostanie żółw powolności. Rysowano go po murach fabryk. Robotnik polski przeszedł to wsteczne doświadczenie w czasie, kiedy robotnik całego świata demokratycznego czuł głęboki sens swojego wysiłku, wiedział, ku jakiemu zwycięstwu przyczynia się jego poświęcenie i trud. Kiedy czuł, że jego praca i niedostatek są ceną, którą wnieść musi do wspólnego tryumfu nad faszyzmem. Tego umoralniającego, uzdrawiającego doświadczenia robotnik polski został pozbawiony. Wyłączenie moralne gospodarki z procesów całego życia zbiorowego dokonało się u niego z jaskrawością jak najszkodliwszą dla psychiki. Bo jeżeli handlarz łupi co wlezie, to jedynie maksymalizuje on haniebne założenie całej funkcji gospodarczej, którą wyraża, jeżeli zaś robotnik za dewizę kładzie sobie żółwia powolności, staje w sprzeczności ze swoją funkcją.

Z takimi dyspozycjami z czasów okupacji wchodzi robotnik w trzecią niepodległość. Mimo to nie patrzymy pesymistycznie. Wierzmy, i widzimy to od pierwszych tygodni wyzwolenia, że trzeba tylko pracy nadać sens, a odpadną złe nawyki. Jeszcze bardzo daleko do stanu, kiedy te nawyki naprawdę odpadną. Mówią o tym cyfry produkcji, przerażające, gdyby miały być trwałe. Takiej trwałości nie będzie i dlatego w dalszej perspektywie nie patrzymy pesymistycznie na skutki odziedziczonych przez robotnika nałogów.

## URZĘDNIK I INTELIGENT

W identycznej, co robotnik, sytuacji znalazł się urzędnik czy nauczyciel przejęty przez administrację niemiecką. Podobnie kształtowała się psychologia gospodarcza inteligenta zmuszonego do pracy biurowej, inaczej zaś inteligenta wolnych zawodów: adwokata, lekarza, aptekarza.

Inteligent pracujący w biurze, zajęty przed wojną w innym zawodzie, urzędnik biurokracji przedwojennej stanęli przed tą samą co robotnik perspektywą: zdechnąć na głodowej pensji albo nie porzucając biura dla swojego bezpieczeństwa osobistego — jakoś sobie poradzić. Nie zdechł, zdaje się, nikt, biedowało wielu, ale większość poradziła sobie niezgorzej. Ulica miejska była dobrze ubrana, moda zmieniała się w miarę lat, cukiernie i miejsca rozrywek miały swoją stałą, chociaż nieliczną w ogólnej proporcji klientelę. Obserwator powierzchowny, który oglądał Generalne Gubernatorstwo po innych krajach okupowanych, powiadał, że tu panuje dobrobyt. Niemcy gubernatorscy w bezgranicznej głupocie, pysze czy nienawiści przypisywali naturalnie ten stan swoim zabiegom. Trwało wśród nich, szczególnie w głębi Rzeszy (odwrócony mit Saksów) przekonanie, że Gubernatorstwo jest krajem mlekiem i miodem płynącym. Był to gruby błąd optyczny, ale kto przesuwiał się po powierzchni naszych miast, kto widział pantofle na korkach, a nie rozumiał afiszów z listami rozstrzelanych, kto przejeżdżał pospieszonym do Berlina, a nie kolejką handlową od Piaseczna czy Kocmyrzowa, ten do takiego błędu był predestynowany.

Urzędnik i inteligent zażegnali groźbę w ten sam sposób co robotnik: handlem. Handlem jednakże innego typu, nie tak bliskim dna nędzy i wywózki, jak handel tamtego rodzaju. Zażegnali handlem polegającym na niesamowicie rozwiniętym systemie pośrednictwa. Pośrednictwo takie, jakie kwitnęło za okupacji, w normalnym życiu gospodarczym jest wykluczone. Z chwilą bowiem kiedy źródło towaru jest legalne i jego przeznaczenie również legalne, nie trzeba aż tylu pośredników. Tymczasem tutaj obydwaj ogniwa

Robotnik, Praca, Wojna,  
Niewola

Handel, Wojna, Polak,  
Niemiec

były poza prawem. Z reguły źródłem towaru był Niemiec, któremu tego towaru *nie wolno sprzedawać*, ostatnim odbiorcą Polak, któremu tym bardziej *towaru tego nie wolno było nabyć*. Aż do tak jaskrawych wypadków, jak handel bronią pochodzenia niemieckiego, który przecież kwitnął za okupacji, gdzie sprzedawcą był żołnierz niemiecki, a odbiorcą konspirator.

Typowa transakcja handlowa wyglądała tak oto w przybliżeniu: w niedzielę na herbatce u ciotki Emerytalskiej jej kuzyn, kasjer w Banku Łatwego Zarobku, pan Pośrednicki, dowiaduje się od spotkanego tam przypadkowo pana Prowizyjnego, że tenże pan posiada na zbyciu dużą partię np. kalafonii. Pan Pośrednicki zapamiętuje, bo w handlu pamiętać warto. W parę dni potem urzędnik firmy Transport Paskowy, pan Profitowiec, powiada przy kasie, że poszukuje kalafonii. Pan Pośrednicki: „Owszem, mam dużą partię”. Cena? Pośrednicki w ogóle się w tym nie orientuje, więc odpowiada: teraz jest inna „kalkulacja”, niech pan jutro zadzwoni. Pan Profitowiec też nie dla siebie potrzebuje kalafonii. Usłyszał o niej przy wódce od kolegi Bimberka, ale natychmiast biegnie do niego z wiadomością, że na *pojutrze* ma kalafonię. Zaczyna się teraz dwustronny niesamowity ruch: Pośrednicki przez Emerytalską szuka Prowizyjnego, ten odszukuje swojego Niemca z kalafonią, Bimberek z wieścią od Profitowca szuka pana Pienistego, mydlarza, któremu potrzebna była kalafonia. Powstaje łańcuszek: źródło towaru — Emerytalska — Pośrednicki — Profitowiec — Bimberek — Pienisty — przeznaczenie towaru. Dla każdego naturalnie obrywka.

Cóż to oznacza w mowie mniej obrazowej? Oto wobec nielegalności obydwu swych krańców *pośrednictwo handlowe zostało rozdeptane w olbrzymi łańcuch*, z którego żyła nieproporcjonalnie wielka liczba osób. Wokół kosteczki, którą normalny piesek przedwojenny byłby uniósł w dwóch zębach, dreptały mozolnie setki mrówek i naturalnie musiało się mrówkom wydawać, iż są niezmiernie aktywne. Zresztą mrówki z tego deptania rzeczywiście żyły, droga bowiem od podwyższonej ceny normalnej, po jakiej sprzedawał Niemiec, do podbitej ceny rynkowej pomieścić mogła tych mrówek mnóstwo. Dlatego w urzędach i w biurach handlowali wszyscy. Same biura były tylko miejscem spotkań, z których co chwila wypadało się na miasto dla ubicia transakcji. Telefony urzędowe były telefonami tysięcy pośredników, których obrotów i zarobków nie byłby w stanie ująć żaden aparat kontrolny. Stwarzało to, przy inflacyjnej łatwości pieniądza, iluzję wielkiego ożywienia gospodarczego i ileż mrówek po biurach spogląda z żalem na niedawne miesiące, kiedy tyle było ruchu.

Tym okupacyjnym pośrednikiem był oficer, który nie poszedł do niewoli; inżynier, któremu się nie opłacało iść do fabryki; żona profesora uniwersytetu, której mąż nie posiadał koniecznych do handlu talentów; poeta, który te talenty w sobie odkrył; niedoszły maturzysta, który rozpoczynając od znaczków pocztowych doszedł do wniosku, że nie warto się uczyć; maszynistka z biura i kasjer z banku, i bibliotekarka z wielkiej biblioteki, i woźny w urzędzie, wszystkie typy ludzkie, przetasowane w najbardziej fantastyczny sposób. Znowu przywołuję ku temu tematowi przyszłych pisarzy-realistów.

Tylko nieliczne zawody wolne, zwłaszcza lekarze i aptekarze żyli normalnie ze swojej pracy. Zawody te uchodziły za specjalnie cenne, ponieważ obok automatycznie niechybnych zarobków chroniły — poza Lubelszczyzną — przed łapankami i wywózką<sup>43</sup>. Reszta inteligencji albo zesłała poniżej minimum życia, wyprzedawała się i pauperyzowała, albo żyła jakimś powtarzającym się cudem. Niemały udział w tym cudzie miały paczki portugalskie, tureckie, szwedzkie. Kawa, herbata, sardynki w nich zawarte szły w brzuchy grubszych dorobkiewiczów, spełniając zasadniczą rolę w budżetach iluż rodzin inteligentnych. Dodajmy do tego znaczne kwoty, które — w Warszawie zwłaszcza — były pompowane na cele polityczne przez Londyn, a rozchodziły się na cele nader rozmaite. Nazywam te źródła cudem permanentnym, ponieważ całe ich działanie było oparte na łaskawym kaprysie okupanta, który każdej chwili mógł być cofnięty. Nie przypuszczam bowiem, by Niemcy nie wiedzieli, że portugalskie migdały i figi były alfabetem między emigracją zachodnią a krajem.

Wśród typów okupacyjnego pośrednictwa specjalne miejsce zająć musi handel wa-

Handel, Wojna, Polska

<sup>43</sup>nieliczne zawody wolne, zwłaszcza lekarze i aptekarze żyli normalnie ze swojej pracy (...) — Tutaj też należy szukać powodów masowego napływu młodzieży po wojnie na studia lekarskie, stomatologiczne i farmaceutyczne; przypisek z roku 1948. [przypis edytorski]

lutami i kosztownościami. Jest to bowiem pośrednictwo, w którym orientacja rynkowa, umiejętność chwytania odpowiedniej chwili do sprzedaży, znajomość psychologii klienta upodabniają je najbardziej do czystej gry. Do jakiegoś pokera przy zasłoniętych kartach. Pośrednictwo zatem w najczystszej postaci, matematyka usług i zarobków. Walut i kosztowności za okupacji nie brakowało, z wielu źródeł napływały one: przesunięcia klasowe wewnątrz społeczeństwa polskiego, tragedia Żydów, zagraniczne kanały zasiłków na konspirację. A chociaż sam handel był surowo zakazany, możliwość zarobku zgoła abstrakcyjnie osiąganego, szeptem od stolika do stolika, wysoka częstokroć marża tego zarobku — wszystko to z „twardych” i „miękkich” czyniło przedmiot codziennej obecności na rynku pośredników Generalnego Gubernatorstwa.

Skoro o walutach mowa, jeszcze o jednej walucie wspomnieć należy, od niej bowiem prowadzi nie do częstych objawów moralności zbiorowej tych lat. Wiele było powodów, dla których w warstwie urzędniczej, inteligenckiej i wśród nowego kupiectwa stroną aktywną były kobiety. Same handlowały, same pośredniczyły, za mężów i dla rodzin załatwiały interesy, wysyłane były do Niemców, zwłaszcza w godzinach pozaurzędowych, w porach restauracyjnych. Postawiona w takiej sytuacji kobieta szybko się orientuje, że jedną więcej walutą, jaką wnosi do interesu, jest jej ciało. Nawet kiedy zostawała kelnerką okupacyjną, kobieta miejska wiedziała, że temu przede wszystkim zawdzięcza ciężkie prawo biegania w fartuszkach. Rzecz oczywista, że dobry kupiec w spódnicy nie będzie tym pieniądzem płacił w każdej okoliczności, za byle głupstwo, ale też dobry taki kupiec rychło się nauczy swój uśmiech i wykrój łydki traktować jako grosze na drobne wydatki, a w potrzebie sięgnie również po walory bardziej cenione na rynku męskim. Siegał też często, wywołując narzekania na upadek obyczajów, powszechne w czasie każdej wojny oburzenia moralistów. Niestety moralisci nie mają zwyczaju pytać, dlaczego to, z jakich przyczyn gospodarczych i społecznych moralność upada, więc w tym wypadku im pomóżmy.

W ten sposób zdobywamy obraz drugiej już warstwy społecznej, w której konieczność życiowa sprawiła, że miejsce jej normalnych funkcji zajął polip handlu doraźnego i pośrednictwa. Lecz biurokracja istnieje po to, by życiu zbiorowemu stwarzać aparat kontroli, by procesy indywidualne włączać przymusowo w system powszechny. Zawieszenie tej łączności, cechujące psychologię gospodarczą Generalnego Gubernatorstwa, nigdzie nie przybrało jaskrawszych, a dla normalnego życia zgubniejszych form, jak właśnie w działaniu urzędowego aparatu kontrolnego. Dotyczy to urzędów skarbowych i podatkowych.

Wiadomo, że do roku 1939 urząd skarbowy był postrachem dla kupca czy przemysłowca. Sypał podatki i trudno go było oblagować<sup>44</sup>. W okresie okupacji nie było większej sielanki nad współżycie podatnika z urzędem skarbowym. Sielanka zasadzała się na tym, że obydwie strony — i podatnik, i urzędnik poboru podatków — równie mocno były zainteresowane we wspólnym hodowaniu fikcji, jaką wobec istotnych dochodów stanowiła wysokość podatków. Podatnik był zainteresowany z całkiem prostych względów: pragnie on zawsze płacić jak najmniej. Urzędnik skarbowy był zaś zainteresowany, bo tylko dzięki temu żył z rodziną, że podatnikowi nie przeszkadzał w tym kulcie fikcji, że podsuwał mu sposoby legalnego podkarmiania owej fikcji. Za to otrzymywał mąkę, kiełbasę i wódkę, za to nie troszczył się o święcone i imieniny żony. Obydwaj zaś byli czyści w swoim sumieniu i postępowaniu: wspólnie oszukiwali Niemców. Jeden zarabiał nad miarę, drugi żył w miarę. Zapominali tylko, że całe ich postępowanie było Niemcom obojętne, bo gdy wpływy podatkowe stawały się zbyt niskie, ruszała maszyna drukarska i płynęły piękne główki góralskie na banknotach.

Streszczając widzimy, że psychologia gospodarcza inteligenta uległa za okupacji swoistemu zwyrodnieniu. Zwyrodnienie to mniej było wywołane bezpośrednią groźbą nędzy jak u robotnika lub — dokładniej mówiąc — na pierwszych swoich ogniach tym było spowodowane, lecz rychło stało się nałogiem samoistnym. Jako takie jest niebezpieczniejsze i trwalsze. Szczególnie jest niebezpieczne, jeżeli chodzi o aparat kontroli państwowej nad podatnikiem. Ten aparat trzeba będzie nauczyć na nowo jego właściwych funkcji. Reszta inteligencji, chociaż przywrócona miejscom, z których ją Niemcy zepchnęli, również nie wnosi dyspozycji dodatnich. Zwłaszcza póki warunki, wspomniana dwutorowość

Wojna, Kobieta, Handel

Urzędnik, Korzyść, Wojna,  
Pieniądz

<sup>44</sup>oblagować — oszukać, okpić (por.: *blaga*). [przypis edytorski]

zarobków i potrzeb istotnych będą stwarzać pokusę, póty niebezpieczeństwo trwa. Tylko polip pośrednictwa już dzisiaj usycha i wnet pozostanie proszkiem we wspomnieniu.

## ŻYDZI I HANDEL POLSKI

Centralnym faktem psychogospodarczym lat okupacji pozostanie niewątpliwie zniknięcie z handlu i pośrednictwa milionowej masy żydowskiej. Zniknięcie, kiedy dzisiaj liczyć niedobitków, definitywne i ostateczne. Ten fakt jest główny i stały. Natomiast faktem mniej stałym, chociaż równie ważnym, jest próba inercyjnego i automatycznego wejścia żywiołu polskiego na miejsce opróżnione przez Żydów. Dlatego nazywam to wejście inercyjnym i automatycznym, ponieważ cały ten proces, mówiąc krótko i brutalnie, miał ze strony wskakujących na puste miejsce taki obraz: na miejsce *niechrzczonych* — *chrzczeni*, ale z całą ohydną psychologią kanciarza, handelesa, wyzyskiwacza, psychologią związaną z funkcją społeczną, a nie z przynależnością narodową. Cała radość polskiego „stanu trzeciego” sprowadza się właściwie do tej nadziei: nie ma Żydów, wejdziemy na ich miejsce, *niczego nie zmieniając*, wszystko dziedzicząc z nałogów, które narodowi moralisci uważali za typowe dla psychiki żydowskiej, ale tym razem będzie to narodowe cacy i tabu.

Dlatego w psychologii gospodarczej okupacji jest to sprawa centralna i musi być najdokładniej rozważona, jeżeli nie ma zaciążyć na zdrowiu moralnym narodu.

Powiedzmy wyraźnie: nieszczęściem polskiego życia gospodarczego nie to było, że wszędzie, od straganu po największy bank, przodowali w nim Żydzi. Nieszczęściem było, że procesy gospodarczo-handlowe były u nas wyłączone z moralnej tkaniny życia państwowego. Kontaktowały się z nią tylko podatkiem, wymykały cygaństwem i przepukstwem. Drobnomieszczanie i żydofobi osądzali, że jest to właśnie winą Żydów, że uświadomiony narodowo kupiec polski etc. — stara piosenka. Okupacja pokazała, że właśnie jest na odwrót: wyłączono Żydów i nareszcie powstał kupiec „narodowy”. Czy się coś zmieniło? Okazało się, że warunkuje nie psychologia grupowa czy narodowościowa, ale *wygląd bazy gospodarczej w całości ustroju*. Skoro na skutek specyficznej polityki niemieckiej znów życie handlowe zostało wyłączone od odpowiedzialności społecznej, skoro jako prywatne żerowisko zdobywcy, jako jego rezerwat dla indywidualnego łupu stanęło na uboczu, psychologia warstwy, która weszła w takie żerowisko, natychmiast się upodobniła do psychologii warstwy zniszczonej przez okupanta. Bo tam, przed wojną, inne powody, mianowicie spóźnione formy liberalizmu gospodarczego tak samo czyniły żerowisko. Wiadomo, że do kości zbiegają się zawsze hieny, nigdy lwy.

Ale, pytanie znacznie donioślejsze, czy formy, w jakich się *ta eliminacja dokonała, i sposób, w jaki społeczeństwo nasze pragnęło i pragnie ją zdyskontować*, były i moralnie, i rzeczowo do przyjęcia? Otóż, chociażbym tylko za siebie odpowiadał i nie znalazł nikogo, kto by mi zawtórował, będę powtarzał — nie, po stokroć nie. Te formy i nadzieje były haniebne, demoralizujące i niskie. Skrót bowiem gospodarczo-moralnego stanowiska przeciętnego Polaka wobec tragedii Żydów wygląda tak: Niemcy mordując Żydów popełnili zbrodnię. My byśmy tego nie zrobili. Za tę zbrodnię Niemcy poniosą karę, Niemcy splamili swoje sumienie, ale my — my już teraz mamy same korzyści i w przyszłości będziemy mieli same korzyści, nie brudząc sumienia, nie plamiąc dłoni krwią. Trudno o paskudniejszy przykład moralności jak takie rozumowanie naszego społeczeństwa. A głupcy, którzy przy nim trwają, niech pomną, że wyniszczenie Żydów było tylko pierwszym etapem oczyszczenia *Weichselraumu*, po którym miała przyjść na nas kolej.

Powtórzyła się zatem, ale tym razem na skalę większą, choć czysto psychologiczną, sytuacja, która już raz w niedawnej historii Polski miała miejsce. Tej zgagi moralnej, jaką budziło odzyskanie Zaolzia, nikt nie nazwał wówczas trafniej od Churchilla: z plecaka żołnierza niemieckiego zajmującego Sudety Polska wyciągnęła Zaolzie. Tym razem spod miecza niemieckiego kata, dokonującego niewidzianej w dziejach zbrodni, sklepikarz polski wyciągnął klucze od kasy swego żydowskiego konkurenta i uważał, że postąpił jak najmoralniej. Na Niemców wina i zbrodnia, dla nas klucze i kasa. Sklepikarz zapominał, że „prawne” wyniszczanie całego narodu jest fragmentem procesu tak niespotykanego, że na pewno nie po to go historia zainscenizowała, by zmienił się szyld na czyjś sklepiku.

Formy, jakimi Niemcy likwidowali Żydów, spadają na ich sumienie. *Reakcja na te formy spada jednak na nasze sumienie*. Złoty ząb wydarty trupowi będzie zawsze krwawił, choćby już nikt nie pamiętał jego pochodzenia. Dlatego nie wolno dozwolić, by ta reakcja

Wojna, Żyd, Handel

Handel, Żyd, Polak

Żyd, Polowanie, Niemiec,  
Korzyść, Sumienie, Zagłada

Polska, Historia, Korzyść

Polak, Niemiec, Korzyść,  
Sumienie, Krew, Zagłada

została zapomniana lub utrwalona, bo jest w niej tchnienie małostkowej nekrofilii. Mówiąc prościej, jeżeli tak się już stało, że nie ma Żydów w gospodarczym życiu Polski, to nie będzie z tego ciągnąć korzyści warstwa ochrzczonych sklepikarzy. *Prawo do korzyści posiada cały naród i państwo*. Na miejsce zlikwidowanego handlu żydowskiego nie może wejść identyczny strukturalnie i psychologicznie handel polski, bo wtedy cały proces nie posiadałby najmniejszego sensu. W okresie prowizorium okupacyjnego wszedł zaś taki handel i sądzi, że już się rozsiadł na wieki wieczne. Twierdzeniami zaś, że „handel narodowy” wygląda inaczej, po tym krótkim doświadczeniu i zastępstwie niechrzczonych przez chrzczonych niechaj nikt oczu nie mydli.

Lecz powróćmy do okupacji. Czy ta wyjątkowa koniunktura została wyzyskana przez handel polski? Czy powstał typ kupca naprawdę przedsiębiorczego, kupca z horyzontami? Twierdzą, że nie, i dowodzę, dlaczego w specyficznych warunkach okupacji powstać nie mógł. W postawie kupca w tych latach sprzęgnęły się ze sobą dwa sprzeczne objawy: *konieczność ryzyka i wystarczalność inercji*.

Niewątpliwie kupiec, by obchodzić przepisy urzędowe, musiał stale ryzykować. Prowadzenie jego ryzyka zależało najczęściej od kaprysu władz. Najgrubsze kanty uchodziły płazem, wpadało się za głupstwa, jeżeli pech sprawił, że władzom nagle zachciało się okazać surowość. To ryzyko zmniejszała sprawdzona od pierwszego roku okupacji prawda, że zaplecze w gotówce zawsze uratuje. Ryzyko gospodarcze stało w stosunku odwrotnym do posiadanego kapitału: początkujący handlarz przyłapany z tytoniem lub słoniną, jeśli mu się nie powiodło, wędrował z reguły do obozu, natomiast hurtownik rozprawdzający całe wagony, „przepuszczone” z dostaw wojskowych, był impregnowany przed niebezpieczeństwem samą grubością kantu, no i liczbą zainteresowanych a milczących.

Ryzyko zatem, formalnie tak duże, że nieoswojeni z tym stanem pytają dzisiaj, jak w ogóle można było handlować w Generalnym Gubernatorstwie, w praktyce mocno się rozcieńczało. Ale co ważniejsze, ryzyko to nie wywierało przypuszczalnego wpływu na psychikę kupca. Nie było to bowiem żadne ryzyko twórcze, żadna walka z niebezpieczeństwem prawdziwym, które znajdujemy u podstaw historycznych wielkich społeczeństw kupieckich Zachodu. Zdolność inicjatywy i przedsiębiorczość nie chodziły bowiem za okupacji z podniesioną przyłbicą, ale po zakamarkach łapownictwa i interesów zakrapianych we wzajemnej świadomości kantu i złodziejstwa. Był to, słowem, pogrobowy renesans drobnego i średniego mieszczaństwa w dobie, kiedy wiemy doskonale, że handlowo-liberalne formy należą do przeszłości i będą zastąpione innymi formami: spółdzielczość, regulacja państwowa. Nie jest to jedyny za lata okupacji ani też jedyny w naszej historii przykład nagłego rozkwitu określonej formy gospodarczej w czasie, gdy w ogólnej dialektyce zjawisk gospodarczych należy ona do przeszłości. Drugi przykład podobny znajdziemy w stanowisku wielkiej własności rolnej.

*Wystarczalność inercji* była tym drugim stanem, który anulował możliwe skutki dodatnie zwiększonego ryzyka. W latach okupacji z wielu powodów kupiec mógł się zachowywać inercyjnie, a więc sprzecznie z właściwą postawą handlowca. Przede wszystkim doświadczenie objawiło rychło, że lepiej siedzieć na uboczu aniżeli okazywać inicjatywę, bo wówczas mniejszy haracz przypada urzędom i nadzorom. Ostrożność kupiecka spychała główne przedmioty handlu pod ladę, do tylnego pokoju, do załatwienia poza sklepem. Ale inercję pogłębiały dalsze momenty: konkurencja Żydów odpadła w sposób automatyczny. Taka zdobycz darowana nikogo do wysiłku nie pobudza, jak wszystko, co bez trudu zdobyte.

Ostatni motyw inercji był najbardziej demoralizujący i im bliżej wyzwolenia, tym silniej działał. Była nim rosnąca w miarę lat rozpiętość pomiędzy ceną, za którą kupiec otrzymywał swój towar, a tą, jaką uzyskiwał. Jeżeli nadto towar jego — wódka, papierosy — pobierany był po cenach oficjalnych, wówczas inercyjny zarobek stawał się czymś zgoła fantastycznym. Wódka otrzymywana w przydziale za kilkanaście złotych „dawała w kieliszkach” 500–600 złotych. Metr kubiczny desek ze stu kilkudziesięciu złotych dawał dobrze ponad tysiąc etc. Naturalnie ten zarobek inercyjny, wynikający z samego *posiadania towaru*, dopiero wówczas dawał się w pełni wycisnąć, kiedy towar był otrzymywany obficie na poziomie cen urzędowych. To zaś zależało od dobrych stosunków z Niemcami. Interesy wspólne z nimi były najbardziej ryzykancko-inercyjne. Partia towaru ulokowana w porę i z należytych zyskiem pozwalała na długi czas wracać do spokojnego gniazda

Handel, Wojna, Bogactwo,  
Bieda

Handel, Polska

Handel, Wojna, Polowanie



za sklepem i czekać na nową sposobność łupu. Pozwalała również to gniazdo zapełniać nowymi meblami, lichymi obrazami, a spiżarnię... Nie był to więc handel, lecz skoki za łupem, połączone z sytym mruczeniem w przerwach.

Doprowadzając naszą analizę do krótkiego wniosku możemy orzec, że ani jeden z powodów, które za czasów okupacji nadały kupiectwu polskiemu wyjątkowe stanowisko, nie był postępowym i posiadającym trwałość powodem. Samo swe szerokie miejsce zawdzięczało kupiectwo doraźnemu i okrutnemu kaprysowi okupanta. Ten kaprys z chwilą zwycięstwa zostałby natychmiast odwołany i tylko chęć mydlenia oczu sprawiła, że opuszczone sklepy nie nosiły napisów, widniejących w Gdyni, Poznaniu czy Łodzi: *zarezerwowane dla żołnierzy frontowych*. W zaufaniu, jakim polski handlarz odplacał okupantowi jego łaskawy kaprys, była zdumiewająca krótkowzroczność, świadcząca, że przeciętny mieszczuch jest typem najbardziej wyzutym z wyobraźni społecznej i narodowej. Znajomość stosunków w Rzeszy, nikomu nie tajna, gdzie polski stan trzeci został doszczętnie zlikwidowany, winna mu była otworzyć oczy, jak przez porównanie otwierała je chłopu. Mieszczuchowi jako podstawa pewności życiowej wystarczyło to, że on jeszcze *handluje*, podczas gdy o kilkanaście kilometrów żaden Polak handlować nie mógł.

Również połączenie ryzyka z inercją nie dawało bodźców trwałych i godnych przechowania. Jest to bowiem typowy *stop psychologiczny spekulacji*, a nie handlu prawdziwego, opartego na dużym obrocie, a małym zysku. Ten stop spekulacji narodził dyspozycje psychogospodarcze, których świadkami jesteśmy nadal. Kupiec się przyzwyczał, że jego realny obrót i zysk wymykają się wszelkiej kontroli — od tego będzie musiał odwyknąć. Przyzwyczał się, że towar powinien mu dawać natychmiastowy zysk, bez większych zabiegów o klienta — i o tym będzie musiał zapomnieć. Słowem, jeżeli w nowym społeczeństwie polskim obok innych, bardziej uspołecznionych form handlu ma pozostać kupiec indywidualny, narodzony za okupacji, musi on zapomnieć o całym życiu ułatwionym tamtych lat.

## CHŁOP

Psychologia gospodarza chłopca czasów okupacji przedstawia się najbardziej paradoksalnie spośród wszystkich wpływów okupacji na świadomość warstw społecznych. Dlatego tak paradoksalnie, ponieważ fakty *powinny były*, gdyby tylko one decydowały, wywołać inne postawy psychosocjalne aniżeli te, które obserwacja ukazuje u chłopca w Generalnym Gubernatorstwie. Chłopcu wiodło się gospodarczo tak dobrze, jak nigdy w ciągu dwudziestolecia międzywojennego. Przeskok w jego sytuacji od cen produktów z roku 1939 do cen okupacyjnych był zasadniczy i trwały, chociaż dokonał się powoli. Chłopca zaczął jak nigdy dotąd inwestować w swoje gospodarstwo. Towarem, który pierwszy zniknął z rynku zimą 1939/1940 roku, były maszyny i narzędzia rolnicze. Niemcy dbając o swój interes ułatwiali rzeczowy postęp gospodarki rolnej, wieś produkowała więcej aniżeli przed wojną, system kontyngentów, chociaż przeprowadzony bezwzględnie, nie był — za wyjątkiem pogłowa bydłowego — zwłaszcza w dwóch latach ostatnich wyniszczający. Chłopcu po oddaniu kontyngentu starczyło i na zasiew, i na dostatniejsze jedzenie niż przed wojną, i na handel — jednym słowem, z pozoru wszystko w tej sytuacji winno było chłopca nastawić przychylnie wobec okupanta.

Tymczasem stało się przeciwnie. Wieś uświadomiła się politycznie, skonsolidowała narodowo i nie ufała okupantowi równie gwałtownie jak robotnik. Lecz ten, pamiętajmy, miał dla swego zachowania podstawy gospodarcze. Wieś stała się zarodnią partyzantki politycznej i żadne, nawet tak okrutne jak w Lubelszczyźnie, represje nie zdołały jej stłumić. Czyżbyśmy stanęli wobec faktu, że psychologia wsi ułożyła się na przekór swym podstawom gospodarczym? Wobec faktu zatem całkiem niespodziewanego? Na pewno nie. Tyle że związki pomiędzy bazą zjawiska a reakcją psychospołeczną są tutaj najbardziej skomplikowane i dlatego najbardziej kuszące do analizy możliwie dokładnej.

Sięgnijmy do faktów z przełomu lat 1939/1940 roku. Na klęskę zniechęconego przez wieś systemu ozonowego<sup>45</sup>, klęskę, którą chłopskie poczucie klasowe rozszerzyło w ogóle na miasto, biurokrację i inteligencję miejską, wieś zareagowała typową — nie-

Wieś, Chłop, Polska,  
Korzyść, Naród, Wojna

<sup>45</sup>system ozonowy — związany z polityką nacjonalistycznego Obozu Zjednoczenia Narodowego (tzw. Ozonu). [przypis edytorski]

stety tylko niemiecki termin to oddaje — *Schadenfreude*<sup>46</sup>. Czyli po chłopsku: tyleście się pany mądrzyły, a takeście w zadek dostały. Równocześnie ceny produktów rolnych poszły w górę, a Niemcy pierwszej jesieni i pierwszego przednowka wojennego nie nałożyli żadnych kontyngentów. Reakcja chłopska, powtarzam dosłownie, słyszałem ją z wielu ust, brzmiała: „Nareszcie nam słonecko zaświeciło, 20 lat myśmy cekali, aleśmy się docekali”. Nie dziwmy się tym przypomnieniom ani się nimi nie gorszmy: chłop od czasu kryzysu około 1930 roku pracujący niżej opłacalności swojego warsztatu, nareszcie zaczął na nim pracować z zyskiem. Klęska zniechęconego ustroju, dla chłopów spóźniony tryumf polityczny, spoiła się z dawno czekanym zadośćuczynieniem gospodarczym.

Raczej dziwić się trzeba komu innemu: Niemcom, którzy dla rozbicia społeczeństwa polskiego nie zdołali wyzyskać tej jedynej koniunktury na wsi, koniunktury, jaka już jesienią 1940 roku przestała istnieć. Każdy z nas, kto jesienią i zimą 1939/1940 obserwował sytuację wsi polskiej, kto nasłuchiwał się rozmów prowadzonych w jego obecności, a niby nie pod jego inteligenckim adresem, drżał na myśl, że Niemcy poczną kuć żelazo, póki gorące. Materiał powodzenia gospodarczego i ogień politycznego zawodu był na wsi gotów. Brakowało kowala. Kowal nie przyszedł. Ścisłej mówiąc — przyszedł, ale zamiast kuć żelazo, zebranych przy kuźni chłopów zaczął „kuć w mordę”.

Nie mogło być inaczej. Ustrój przystrojony w piórko (ale tyrolskie) postępu socjalnego, ustrój w istocie wsteczny i cały rozwój świata sprowadzający do pożerania się nacjonalizmów, nie posiadał żadnych instrumentów ideologicznych, którymi by zdołał sięgnąć w sytuację tak trudną i wymagającą wielkiej oględności i wyczucia psychologicznego dla przemian u pokonanego. W schematach tępej głupoty socjalnej hitlerizmu nie było miejsca na takie działanie. Wieś polska była dla Niemców zbyt brudna, a chłop polski zbyt nędzny, by mogły się tam gromadzić przemiany zbiorowe o skutkach politycznych. Niemcy w ogóle sądzili, że myślenie jest zależne od ilości zużywanego mydła. Nie przeczuwali, że można przez całe życie nie brać gorącego tuszu, a jednak myśleć i pamiętać. Procesu, który w niemytej wsi polskiej stwarzał dla nich doskonałą koniunkturę, w ogóle nie dostrzegli. Jeżeli nawet jakieś echa dotarły do nich, próbowali je rozwiązać według schematu nacjonalizmu wygrywanego przeciwko drugiemu nacjonalizmowi. Przykładem ten idiotyzm wysokiej próby, jakim było tworzenie *Goralenvolku*<sup>47</sup>, wisielec Waciu Krzeptowski w rocznicę FIS-u<sup>48</sup> uwieczniony na zdjęciu obok Himmlera. Równocześnie można czytać, że np. Łowiczanie stanowią odrębny szczep. Dlaczego? Bo mają pasiaki. Popularny dowcip okupacyjny likwidował tę mikromanię nacjonalistyczną powiedzeniem o najnowszym szczepie polskim — *die Fornalen*<sup>49</sup>.

Zamiast wyzyskać koniunkturę Niemcy swoim postępowaniem gospodarczym i politycznym poczęli ją psuć. Pierwszym zarodem nie były tutaj ich posunięcia gospodarcze, lecz czysto psychologiczne. Że Niemcy nigdy nie byli dobrymi psychologami, chociaż najwięcej na świecie traktatów o psychologii napisali, roztrząsając ze śmiertelną powagą,

Nacjonalizm, Wieś, Wojna,  
Niemiec, Polak, Chłop

Niemiec, Władza, Siła

<sup>46</sup>*Schadenfreude* (niem.) — radość z cudzej krzywdy (termin z psychoanalizy Freuda). [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*Goralenvolk* — dosł.: naród góralski. Idea ukształtowana przez działacza przedwojennego Obozu Zjednoczenia Narodowego (tzw. Ozonu) Henryka Szatkowskiego i podjęta przez Niemców, którzy we wrześniu 1939 r. zajęli Podhalę; głosiła ona, że górale są z pochodzenia rasą aryjską, odrębną od otaczających je ludów słowiańskich i zbliżoną do narodu niem.; przedstawiciele *Goralenvolk* pod przewodnictwem Wacława Krzeptowskiego udali się z delegacją, aby przywitać gubernatora generalnego z ramienia Niemiec hitlerowskich, Hansa Franka, kiedy w listopadzie 1939 r. przybył na Wawel w Krakowie, aby objąć swoje stanowisko (został uhonorowany złotą ciupagą). Wacław Krzeptowski, przed wojną prezes Stronnictwa Ludowego w powiecie nowotarskim, stał się prezesem *Goralenverein* (powstałego w miejsce rozwiązanej Związku Górali). Wkrótce utworzono góralskie instytucje: szkołę podstawową (*Goralische Volksschule*), zawodową (*Goralische Berufsschule für Volkskunst*) i odrębny góralski narodowy klub sportowy (*Goralische Heimatsdienst*); ludności Podhala zaoferowano specjalne paszporty oznakowane literą G, które część ludności przyjęła, tworząc odrębną grupę *volksdeutschen* (tzw. etnicznych Niemców, członków mniejszości niemieckiej). [przypis edytorski]

<sup>48</sup>FIS — Międzynarodowa Federacja Narciarska (*Fédération Internationale de Ski*; FIS) utworzona z lutego 1924 r. podczas VIII Międzynarodowego Kongresu Narciarskiego w Chamonix (w Alpach francuskich), z udziałem Anglii, Austrii, Czechosłowacji, Finlandii, Francji, Jugosławii, Norwegii, Polski, Rumunii, USA, Szwajcarii, Szwecji, Węgier i Włoch; FIS miała dbać o rozwój narciarstwa na świecie, formułowanie przepisów i zasad dotyczących uprawiania tego sportu, a także organizować zawody narciarskie; pierwsze zimowe Igrzyska Narciarskie odbyły się w 1924 w Chamonix. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*die Fornalen* (z niem., żart.) — analogicznie do nazwy *die Goralen* (od polskiej nazwy: góral) używanej w znaczeniu grupy etnicznej, narodowej, słowo utworzone od „fornal” (najemny robotnik rolny w folwarku, daw. szczególnie zajmujący się końmi) i mające oznaczać pozostałych Polaków, wykorzystywanych przez Niemców podczas II wojny światowej do pracy i posług. [przypis edytorski]

którędy *Wille*<sup>50</sup> przechodzi w swoją *Selbstdasein*<sup>51</sup>, jest to sprawa prosta i znana. Za mało się jednak podkreśla, kiedy najbardziej nimi kieruje przyrodzona tępota psychologiczna: *wobec słabszego*. Niemiec, który panuje, z wysokości swojej władzy w ogóle nie zauważa, czy w uległym jego panowaniu coś się dzieje. Tym mniej zauważa, im więcej panuje.

Chłop polski wydał się Niemcom idealnie pojętym przedmiotem takiego panowania. Jego cierpliwość uznano za zgodę na każdy kaprys. Milkiwość i podejrzliwość, która zawsze pozwala najpierw drugiemu powiedzieć, nim wygłosi swoje zdanie, wzięto za brak wszelkiego zdania. Roboczą, niewyczerpaną wytrzymałość na własnym uznano za bydlęcą zdolność do każdej harówki. Jednym słowem, starczyły Niemcom pozory, nie dostrzegli niczego z prawdziwej natury naszego chłopca. Nie dostrzegli przede wszystkim jego pamiętliwości. Skupionej, milczącej pamiętliwości własnej krzywdy, szczególnie gospodarczej.

Nie dostrzegli nadto, że ten milkiwy mruczek ceni swoją osobę nie mniej wysoko, co inteligent miejski, co jego sąsiad z dworu. Jakby wiedzeni jakimś na wspaniałym instynktem, uderzyli w te właśnie drugie cechy chłopskie — w poczucie ważności i pamiętliwość. Kowal, miast kuć żelazo, dosłownie i bez przenośni kuł mordę przy każdej okazji. Chłop przekonał się rychło, że pięść niemiecka jest gorsza od kolby policjanta granatowego sprzed 1939 roku. Nie znaczy to, by za kolbę zatęsknił. Widział ją w wiernej współpracy z okupantem. Pamiętajmy dalej, że najgorsze wybryki odbywały się w dwóch pierwszych latach, kiedy Niemcom zawróciło się w głowie od powodzeń. Chłop reagował na zniewagi milczeniem, bo wiedział, że inaczej reagować nie może. Niemiec nie pojmował, że może istnieć bunt milczący. Tylko otwarty ostro pysk wstrzymuje u niego podniesioną pięść. Milczenie rozumiał jako dowód, że skruszył przeciwnika. Kuł zatem dalej, kuł do ostatnich tygodni okupacji, z szatańską i głupią zapamiętałością kuł wówczas, kiedy chłop na plecach i twarzy miał już wypisaną całą swoją wiedzę doświadczalną o Niemcach. Chyba tylko po to kuł, by poniewieranemu chłopu polskiemu zapisać ją na wieki wieków amen i uczynić z niego warstwę, której w Polsce demokratycznej nie będziemy musieli nauczać, kim był naprawdę Niemiec. Jak musimy nauczać polskiego handlarza czy ziemianina.

Równocześnie pamiętliwości chłopskiej dostarczali Niemcy obfitego pożywienia. Nikt nie pamięta tak mocno przyrzeczeń niespełnionych i mało kto kieruje się z równą konsekwencją gołym rozumowaniem według faktów jak chłop. Pierwsza i jedyna fala dobrowolnych wyjazdów do Rzeszy, która okazała się oszustwem, poszła ze wsi. Wieś to zapamiętała raz na zawsze. Wieś dostarczyła później najwyższego proporcjonalnie ze wszelkich środowisk kontyngentu robotnika, ale był to robotnik wydobyty przemocą. Wieś pierwsza ujrzała falę wysiedlonych z ziem zachodnich i zapamiętała, co się przygotowuje dla każdej zagrody polskiej.

Wreszcie system kontyngentów. Ten najmniej się zapisał w pamięci chłopca zawartym w nim wyzyskiem czysto handlowym. Ilościowo ten system dla samej wsi, nie mówię dla ogółu naszej gospodarki, nie był rujnujący za wyjątkiem wyniszczenia bydła, ale w miarę upływu lat odczuwany był jako świadomie zadawana chłopu krzywda ekonomiczna. Przepaści pomiędzy ceną realną zbóż i mięsa a ceną płaconą w kontyngencie nie zdołały zasypać liche premie i im bardziej rozwierzały się nożyce cen, tym dotkliwiej chłop czuł, że go krzywdzą. Rozwierzały się zaś właśnie w miarę przeciągania się okupacji. Jedynie barwne obrazki propagandowe, wystawiając szczęśliwego i uśmiechniętego wieśniaka, który z prosiakiem pod pachą spieszy w podskokach do spółdzielni powiatowej, a na drugim obrazku ugina się pod ciężarem otrzymanych w zamian podków, butelek z wódką, worów z cukrem, śliczną sielanką kładły się nad tą przepaścią.

Afisz taki miał pouczać chłopca o jego szczęsnym a prawdziwym losie, ale kiedy zbyt blisko granicy Rzeszy i Gubernatorstwa został rozlepiony, klócił się mocno z innym już nie afiszem, lecz obrazem realnym, według którego chłop polski urabiał wiedzę o swoim losie. Była tym obrazem miedza graniczna pomiędzy polami jego rodzinnej a polami

Chłop, Polak, Krzywda,  
Honor

Chłop, Wieś, Polak,  
Niemiec, Wojna

<sup>50</sup> *Wille* (niem.) — wola. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *Selbstdasein* (niem.: *Selbst*: jaźń; *selbst*: samo w sobie; *dasein*: bycie tu, tu-bycie) — bycie samo w sobie; nie do końca jasne odwołanie do terminu z zakresu fenomenologii: *dasein*, oznaczającego w filozofii Jaspersa „byt w sobie”, czyste istnienie (którego przeciwieństwem jest egzystencja, otwarta na autentyczne bycie), zaś w filozofii Heideggera odwrotnie, oznaczającego sposób przejawiania się rzeczy (byt; którego przeciwieństwem jest fenomen w sensie ścisłym, *sein*: bycie, jako zasada istnienia rzeczy). [przypis edytorski]

wsi sąsiedniej, nie mniej polskiej i przez nikogo niekwestionowanej w swojej polskości. Nawracając na niej pług chłop dostrzegał swoją niedaleką przyszłość na wypadek zwycięstwa niemieckiego. Bo po tamtej stronie w ogóle chłop polskiego już nie było, a jeżeli ktoś się pozostał, to jako niewolnik neopańszczyźniany u Bauerów<sup>52</sup> niemieckich. To pouczające cięcie socjologiczne zostało przeprowadzone z szaleńczą konsekwencją właściwą tylko Niemcom. Każdy inny naród, nieco bardziej przenikliwy psychologicznie, byłby zapewne stworzył jakiś przejściowy pas neutralny, by wieści o losie wsi wcielonej do Rzeszy nie przenikały w sposób tak dowodny i obrazowy. Wiadomo, że słowo nie posiada tej mocy, co widowisko przeżywane na miedzy granicznej dwóch światów. Chłop nawracał pług na tej miedzy granicznej i wiedział, co go czeka. Od wsi pogranicznej wiedziała wieś sąsiednia, a kiedy od granicy było już całkiem daleko i podana wiedza mogłaby się zatracić wśród chłop polskiego, przewidujący Niemcy prowadzili kolonizację rolną, całkowicie wysiedlając chłop polskiego właśnie w Zamojszczyźnie, by przypadkiem nie zatraciło się doświadczenie przeżywane pod Kuluszkami, Modlinem czy Częstochową.

Na skutek takiej zapobiegliwości chłop przeczuwał — i to przynosi chlubę jego realnej, niedającej się nabrać na żaden werbalizm wyobraźni społecznej — przeczuwał doskonale, że jego względny dobrobyt stanowi prowizorium do czasu zupełnego zwycięstwa hitlerowskiego. W wyniku tych wszystkich powodów chłop stosunkowo dobrze oparł się deprawacji moralnej.

Oparł się wszakże w sposób nierównomierny, w swej nierównomierności zależny od struktury klasowej wsi polskiej. Gdybyśmy bowiem reakcję psychosocjalną chłop wobec okupacji potraktowali jako zjawisko przebiegające jednakowo na całej wsi, popełnilibyśmy niewątpliwie błąd. Deprawacji moralnej oparł się przede wszystkim chłop małorolny i biedota wiejska. Dlatego, ponieważ ciężar świadczeń wobec okupanta ponoszonych przez wieś tego chłop obciążał przede wszystkim. Krowa zabrana na kontyngent z dużego gospodarstwa była tylko uszczerbkiem. Krowa-żywicielka, kiedy się ją oddawało za nędzny grosz, była stratą nie do odrobienia. Jej miejsce zajmowała z reguły koza, słusznie nazywana krową biednych ludzi. Ponadto świadczenia personalne, wywózka na roboty, obciążały głównie tę warstwę wiejską. Z tej przyczyny, że biedoty nie stać było na wykupno porywanego niewolnika. Poprawa zaś bytu, wynikająca z wysokiej ceny produktów rolnych, w tej warstwie zaledwie wyrównywała skutki wieloletniej nędzy przedwojennej. U chłopu dwu-trzymorgowego poprawa nie osiągała rozmiaru umożliwiającego udział w spekulacji wiejskiej, bo ta związana była przede wszystkim z potajemną hodowlą żywca i jego ubojem.

A ponieważ równocześnie tym najbardziej kutym w pysk, pomiatanym i uważanym za podczłowieka z racji swego lichego przyodziewku i zaniedbanej obory był chłop biedny, ponieważ on to głównie przegrywał na zdekonspirowanym micie Saksów, widzimy, jak z postawą wrogości wobec okupanta łączy się jej fundament ekonomiczny. Inaczej u chłop bogatego. On był tym, który głównie ciągnął zyski ze wzrostu cen, z popytu na tłuszcze, na mięso. On miał możliwości potajemnej hodowli. On dzięki nagromadzonej gotówce i zapasom umiał na wypadek „nakrycia” przez władze umniejszać ryzyko tej hodowli. On wreszcie potrafił swoją rodzinę uchronić przed wywózką na roboty i jemu to na gospodarstwie nie zbywało rąk do pracy. Spekulacyjne nalogi handlu okupacyjnego zetknęły się ze wsią głównie przez chłop bogatego i jego to utwierdziły w egoizmie klasowym.

Stopnie przenikania gospodarki wyłączzonej na wieś wymagałyby analizy bardziej skrupulatnej, aniżeli ją tutaj szkicuję. Nie mogąc jej podać w pełnym rozmiarze, wskażę przynajmniej wrzód najbardziej obnażonego spekulactwa, najpewniejszych zysków i ustawicznych kontaktów łapowniczych z policją granatową i niemiecką. Był nim młyn wiejski. Był zaś z wielu przyczyn. Ograniczenia przemiału obchodzić się musiało, a najłatwiej się je obchodziło w ustronnym młynie. Za ryzyko nielegalnego przemiału młynarz kazał sobie dobrze płacić, albowiem rzeczywiście suto oddawał władzom. Nie oddawał jednak ani części tego, co za ryzyko pobierał. Wszelkie władze lokalne doskonale się orientowały, że młynarze przepisy omijają, ale nie były skłonne tej wiedzy wykorzystywać na swoją niekorzyść. Nie miały zamiaru czopować źródła tryskającego wódką, obstawionego

Chłop, Wieś, Wojna, Bieda,  
Bogactwo, Walka klas

Wieś, Wojna

<sup>52</sup>Bauer (niem.) — rolnik, gospodarz wiejski; chłop. [przypis edytorski]

workami z najczystsą pszenną mąką. I dlatego kto by skutki gospodarki okupacyjnej na wsi pragnął prześledzić w jej przykładzie najbardziej jaskrawym, niechaj akcją swojego utworu umieści w młynie pod olchami na ustronnym krańcu wsi, w błotnistym krajobrazie listopadowym. Powinien panować zmrok, a zalani policjanci i *Sonderdienst* mają się sadowić na bryczce. Pod siedzeniem boczek i wódka.

Z ustronnego krańca wracając do wsi stwierdzamy, że procesy gospodarcze bogatego chłopą były najbardziej wyłączone z procesów zbiorowych. Tracił podobnie, jak tracił wszyscy, ale w proporcji tracił znacznie mniej i co gorsze, jedynie *chłop mógł to sobie odbić na skórze ziemków*. Nie on szukał nabywcy ze swymi produktami, ale nabywca przyjeżdżał do niego, na wieś najbardziej zapadłą, i płacił każdą cenę. Nie on ponosił główne ryzyko handlu okupacyjnego — przewóz, ale handlarz miejski, zawodowy czy przypadkowy. Podobne procesy powtarzają się każdej wojny, nie inaczej sytuacja wyglądała pod koniec ubiegłej wojny, ale tym razem wobec zarządzeń niemieckich objawy te doznały szczególnego zaostrzenia. Ta uprzywilejowana sytuacja wyrobiła specyficzną nadczułość ceny, trwającą do dzisiaj: łatwo i w byle jakiej okoliczności cena ulegała podbiciu, a już szczególnie słonina miała tutaj wrażliwość mimozy. Trudno natomiast i opieszale wracała do normy, mimożowata dotąd słonina stawała się nagle nieczuła jak agawa.

Chłop nasz, jak każdy zresztą, jest nieczuły i twardy. Jego nieczułość pogłębiały specjalnie polskie remanenty wiekowej niedoli chłopskiej. W tych okolicznościach stawał się nieczuły do potęgi i takim go dziedziczy Polska po czasach okupacji.

Chłop, Polak, Polska,  
Historia

## WIELKA WŁASNOŚĆ

Stosunku do wielkiej własności nie tłumaczą żadne widoczne i dostępne zarządzenia, ale motywy sięgające głębiej, mianowicie nadzieje Niemców co do przyszłości *Weichselraumu*. Jak Niemcy przedstawiali sobie przyszłą strukturę rolną Generalnego Gubernatorstwa, nie wyjaśniają tego — za wyjątkiem „wzorowych” osad niemieckich w Zamojszczyźnie i w dystrykcie radomskim — stosunki panujące w Gubernatorstwie, lecz tylko zmiany przeprowadzone przez nich na ziemiach przyłączonych do Rzeszy. Przede wszystkim zmiany w pasie pomiędzy granicą rosyjsko-niemiecko-austriacką z roku 1914 a granicą Rzeszy i Gubernatorstwa. Pas od Żywca po Mławę, najszerszy na równoleżniku Kalisz-Koluszki.

Struktura rolna ziem polskich miała być włączona w system kolonizacji Wschodu przez chłopą niemieckiego. Podstawą jej na tym pasie było osadzenie w każdej wsi kilku lub kilkunastu Bauerów<sup>53</sup>, wyłącznie prawie przesiedleńców z Bukowiny, Siedmiogrodu, pomiędzy których podzielono ziemię przynależną wsi, tworząc w ten sposób kilkanaście dużych gospodarstw rolnych typu i wielkości istniejącej już dawno w Poznańskim. Ludność autochtoniczna była przydzielona tym kolonistom jako parobcy na własnej roli. Reszta zbędna do tego zadania, wobec przeludnienia naszej wsi ilościowo znaczna, jechała do Rzeszy do fabryk, najaktywniejsi do obozów zniszczenia. Stadium to, już niosące w sobie straszną groźbę, stanowiło niewątpliwie ogniwo przejściowe. Niewątpliwie w razie zwycięstwa niemieckiego element autochtoniczny polski, niebezpieczny, bo związany z ziemią obrabianą, zostałby zastąpiony elementem roboczym ściągniętym z innych krajów. Przejściowa pańszczyzna tego etapu byłaby się cofnęła, zgodnie z całą logiką gospodarczą faszystów, jeszcze bardziej wstecz, na etap feudalizmu podbijającego, do stulecia najazdów normandzkich: pan rycerski i niewolnik sprowadzony.

Na tym tle dopiero rozumiemy politykę rolną Niemiec w Generalnym Gubernatorstwie, chociaż sam ten przejściowy etap pańszczyzny według klucza nacjonalistycznego na razie się zatrzymał u granic Gubernatorstwa. *Niemcy nie byli zainteresowani w jakichkolwiek postępowych społecznie przemianach ustroju rolnego*. W ogóle w ustroju gospodarczym Gubernatorstwa tylko te zmiany aprobowali, które dokonały się inercyjnie i jakich nie dało się uniknąć: handel polski, który „wskoczył” na miejsce żydowskiego. Gospodarkę rolną Gubernatorstwa traktowali jako ogniwo tymczasowe, z którego w okresie wojny mają wyciągnąć jak największe dla siebie korzyści, by dopiero po zwycięstwie przerobić ją według swego planu kolonizacyjnego. Dla tego zamiaru najszlachetniejszym doraźnie postępowaniem było czasowe zachowanie ustroju rolnego, zwłaszcza tych jego komórek,

Nacjonalizm

<sup>53</sup>Bauer (niem.) — rolnik, gospodarz wiejski; chłop. [przypis edytorski]

które będą dogodniejsze dla kolonizacji. Otóż niewątpliwie łatwiej zlikwidować jednostkowego obszarnika, a majątek nadać kilku Bauerom aniżeli proces ten przeprowadzać na fundamencie drobnych gospodarstw i przeludnionej wsi. W pierwszym wypadku mamy kawałkowanie, w drugim — całkowanie, proces znacznie trudniejszy. Dlatego Niemcy wielkich majątków pozostałych bez właściciela nie nadawali wsi pod obróbkę, ale systemem *Liegenschaftu*<sup>54</sup> i powiernictwa trzymali w przejętym kształcie.

Doskonały tego przykład miałem w Krzeszowicach, w dawnym majątku Potockich, przejętym przez Franka. Ziemi ornej i łąk jest niecałe dwieście hektarów. Budynek folwarczny, chociaż stare, całkiem dobrze obsługiwały tę niewielką całość. Mimo to kosztem wielu milionów przeprowadzono rozbudowę stajni, stodoł, magazynów nawozów sztucznych w rozmiarze zdającym obsłużyć tysiące hektarów. W roku bodajże 1941 rozeszła się też pogłoska, że folwarki okoliczne zostaną wcielone do majątku w Krzeszowicach, a za nimi kolejno grunta chłopskie. Pogłoska wywołała niepokój, rychło ją też zatuszowano. Rozbudowa folwarku szła jednak dalej i dla uważnego obserwatora nie ulegało wątpliwości, że to niedoszły pan feudalny na Kressendorfie przygotowuje podstawę, wedle której wcieli po zwycięstwie grunta swoich sąsiadów, chłopów, obszarników i klasztorów. Nie ulegało dalej wątpliwości, że zatuszowana pogłoska była przedwczesnym odsłonięciem planu przygotowywanego dalej i z pełną konsekwencją.

Ta powściągliwość Niemców wobec wielkiej własności posiadała również powody dalsze, na pozór bardziej autonomiczne psychologicznie, w istocie tkwiące w ich zadawnionych tęsknotach władczo-feudalnych. Niemcom, zwłaszcza górze partyjnej, niewątpliwie imponował typ życia dworskiego. Czuli się doskonale wśród zastawionych stołów, przodków i kominków, i każdy z góry partyjnej, skoro mógł, urządzał się na wzór ziemianina polskiego. Nabywał jego sposobu bycia, tym parweniuszom o wstecznej wyobraźni społecznej doskonale było w całym otoku socjopsychologicznym ziemianstwa. Przechabawny był widok Franka w pogodny dzień wiosenny urządzającego przejażdżkę otwartym landem, parą koni, po drózkach swojej posiadłości, Franka przyjmującego na jesieni od służby folwarcznej wieniec dożynkowy. Jeszcze zabawniejszy był widok jego pełnomocnika, przebudowującego dla siebie stare domostwo całkiem na wzór dworu szlacheckiego, ściągającego na gwałt czeczoty, karabele i berdysze (autentyczne), z tą zmianą, że dwór był z szykanami fizjologicznymi, nieznanymi w dworach autentycznych. Przypuszczam, że w razie zwycięstwa ci sami panowie byliby malowali galerie przodków, kasztelanów w żupanach i biskupów w krzesłach senatorskich.

O tyle ta sprawa daje się wytłumaczyć, że w ten sposób urzeczywistniał się w łagodniejszym polskim klimacie psychologicznym typ życia pruskiego junkra, który dla Niemca władającego na Wschodzie stanowił zawsze wzór życiowy. Junkier jest jednak surowy i od jego zamku niedaleko do Burgu krzyżackiego, tutaj zaś realizował się całkiem inny typ tęsknoty za władzą. Typ brutalnie obnażający zgniliznę moralną i społeczną góry partyjnej, typ *skończenie hedonistyczny*, nastawiony na używanie życia, typ, który stwarzał sobie przeto złudę, że żyje w warunkach umożliwiających hedonizm. Tą złudą było rzekome zaufanie i miłość poddanych, wianuszek dożynkowy, łaskawe schodzenie między lud, komedia wzajemnej ufności i wiary, te nieprzebrane, kiedy je poruszyć, pokłady głupoty, zakłamania i cynizmu hitlerowców.

Wsteczność społeczna narodowego socjalizmu nigdzie się przeto nie obnażyło jawniej jak w tych odruchach psychologicznych. Chłopem Niemcy gardzili, nie rozumiejąc go ani na jotę. Inteligencję nienawidzili i tylko wzgląd na własny interes hamował nienawiść. Ziemianom do połowy zazdrościli, w drugiej połowie żywili tajony podziw. Rzecz jasna, że taki chętny skłon psychologiczny wywoływał przystosowaną reakcję z drugiej strony. Trudno nie być grzecznym wobec notorycznego brutalą, który *tylko dla mnie* jest greczny. Dlatego największa liczba chętnych do ograniczonej współpracy z Niemcami rekrutowała się spośród ziemian. Pochodzenie społeczne góry Rady Głównej Opiekuńczej<sup>55</sup> jest tutaj nader wymowne. Widok nadciągającej nieuchronnie w wyzwolonym kra-

Wojna, Niemiec, Szlachcic,  
Obyczaj, Polska, Dworek

<sup>54</sup>*Liegenschaft* (niem.) — nieruchomości; posiadłość. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Rada Główna Opiekuńcza* — polska organizacja charytatywna z centralą w Krakowie, działająca w czasie I, a następnie również II wojny światowej, współpracująca ze szwajcarskim Czerwonym Krzyżem. Adam Ronikier (z pierwszego zarządu rady) za zgodą gubernatora Hansa Franka wznowił działalność RGO w 1940 r.; funkcję prezesa pełnił Ronikier, a następnie Konstanty Tchorznicki (1943–1944); RGO wspierał arcybiskup

ju przebudowy ustroju rolnego umacniał te koneksje, a najbardziej utrwałała świadomość, że oddawszy kontyngenty, właściwie — nawet policzywszy łapówki — żyć można.

Niemcy chętnie widzieli wszelkie inwestycje rolne. Ziemianin, zasadniczo lepiej od chłopu posunięty w swojej wiedzy rolniczej, mógł je stosować i pielęgnując własny interes wychodził władzom w pół drogi. W tej produkcji rolnej, na którą Niemcy kładli największy nacisk, dając wysokie premie towarowe, uczestniczył przede wszystkim dwór: buraki dla cukrowni, kartofle dla gorzelń, nasiona oleiste.

Cały ten konglomerat powodów, jednych pochodzących od obiektywnej, chociaż doraźnej sytuacji gospodarczej — rzepak i buraki, innych wywodzących się z postawy Niemców, spowodował, że przy wysokich cenach produktów rolnych dworom nareszcie wiodło się dobrze. Wiodło się dobrze — u ich schyłku ostatecznego.

W charakterystyczny też sposób wyrażało się to przecucie, że dobrobyt jest ostatnim uśmiechem słońca zachodzącego nieuchronnie. Ziemianstwo polskie było do lat wojny jednym z głównych klientów na rynku przedmiotów artystycznych. Za okupacji dwory przestały kupować obrazy i ładne meble. Bo kupują je tylko ludzie, którzy wierzą w trwałość swoich mieszkań. Wojciecha Kossaka, Wierusza-Kowalskiego, Brandta nabywał bogacący się kupiec. Jego tajemnicą pozostanie, dlaczego wierzył w trwałość swojego mieszkania.

Jeżeli chodzi o wypełnienie obowiązków zbiorowych, trzeba przyznać, że spełniała je przyzwoicie większość dworów jako przytulisko nie tylko dla wysiedlonych krewniaków. Wiele cennych głów polskich nie byłoby przetrwało okupacji, gdyby nie miejsce we dworze, rozumiejącym swój niepisany obowiązek dobrobytu. Ten spóźniony dobrobyt znajdujemy również w położeniu handlu za okupacji. W obydwu wypadkach nasz zapóźniony rozwój gospodarczy sprawił, że powodzenie materialne wraz z jego skutkami w świadomości członków danych warstw nadeszło wówczas, kiedy w całej dialektyce gospodarczej stanowiło objaw zapóźniony i paradoksalny.

Wyniknęły stąd skutki jeszcze dalsze, kładące się na pierwszych miesiącach niepodległości. Powodzenie pozostawia zawsze osad psychologiczny tęsknoty za tym, co było, niechęci do sił, które go zlikwidowały. Nikt naturalnie nie twierdzi, by obszarnicy tęsknili za władzą germańską nad narodem. Każdy jednak widzi, że tęsknią i długo jeszcze tęsknić będą za swoim miejscem gospodarczym z czasów okupacji. Tęsknota taka jest pomyłką społeczną. Stanowisko Niemców wobec wielkiej własności było jak uśmiech na obliczu bestii, która na razie wstrzymuje się od skoku. Uśmiech, który zapowiadał równocześnie: *ten kąsek będzie mi najbardziej smakował.*

## DZIEDZICTWO NA HIPOTECE NIEPODLEGŁOŚCI

Czas obecnie na bilans przeprowadzonych analiz oraz na wnioski, które, wynikając z nich, dotyczą przyszłości.

Psychologia gospodarcza społeczeństwa polskiego czasów okupacji kształtowała się pod wpływem czynników wykluczających życie gospodarcze od twórczego, a tym samym moralnego uczestnictwa w planie nadanym temu życiu. Samo to wykluczenie najważniejszych procesów życia zbiorowego od odpowiedzialności i sprawczego uczestnictwa musiało wywołać głęboką deprawację jego uczestników, deprawację przeważnie niezawinioną, wywołaną samą koniecznością przetrwania w systemie opartym na fikcji jako usłudze dla rządzonych, na krzywdzie jako zasadzie. W wielu wypadkach ta deprawacja była jednak celowa i świadoma, doskonale pojęta i podjęta przez uczestników życia gospodarczego. Dotyczy to handlu i pośrednictwa. W innej wreszcie odmianie problemu fakty same przez się dodatnie na pozór, jak powstanie drobnego handlu polskiego oraz ożywienie produkcji większych warsztatów rolnych, pojawiły się zbyt późno, by stanowiły miały zarodnię przyszłego rozwoju gospodarczego.

---

Adam Sapieha, a także Karolina Lanckorońska; większość zarządu rekrutowała się z inteligencji. Środki na swoją działalność RGO otrzymywała z różnych źródeł: zarówno od niem. władz okupacyjnych, jak z zagranicy, gł. z USA, ze zbiorów społecznych, wreszcie (tajnie) od rządu polskiego na uchodźstwie. RGO organizowała pomoc medyczną, żywnościową, materialną (odzież, zakwaterowanie) i finansową, pomoc dla wysiedlonych, sierocińce, wysyłkę paczek dla osób przebywających w obozach jenieckich i więzieniach itp. Jednostki terenowe nosiły nazwę polskich komitetów opiekuńczych (PolKO). Z pomocy RGO korzystało co roku kilkaset tysięcy osób. [przypis edytorski]

Ważniejsze są wynikające stąd wspólne dyspozycje psychiczne, które gotowe przetwać za niepodległości, przynajmniej w jej pierwszych latach. Społeczeństwo polskie dziedziczy po okupacji na pół świadome, ale mocno zakorzenione przekonanie, że w nowoczesnym życiu gospodarczym najważniejszą funkcją jest handel. W dodatku handel pojmowany w sposób najbardziej indywidualistyczny. Powtórzmy przyczyny tego faktu: usunięcie Żydów, inercyjne wejście Polaków na opróżnione przez nich miejsce, wywołany koniecznością życiową udział w handlu warstw, które dotąd nie ocierały się o tę dziedzinę — robotnik, urzędnik. *Społeczeństwo polskie za okupacji żyło i okupację przeżyło z handlu*. W zacofanym polskim rozwoju gospodarczym dokonało niewątpliwie kroku w przód. Ale taki krok, powstanie handlu indywidualistycznego, w skali światowej byłby postępowy w dobie powstawania mieszczaństwa światowego, nie dzisiaj, w dobie jego schyłku. Ponieważ jednak przeżyło z handlu, gotowe sądzić, że w nastającym ustroju gospodarczym niepodległości będzie podobnie. Jest to błąd, wybaczalny psychologicznie jako echo niedawnej przeszłości, niewybaczalny, gdyby się miał stawiać nadzieją i przewidywaniem na przyszłość.

Na razie jednak można przewidywać, że sytuacja, która ukształtowała się w granicach Gubernatorstwa, w najbliższych miesiącach, a może i dłużej będzie zarażać ziemie zachodnie. Kiedy przejeżdżać — piszę to w marcu 1945 roku — linię dzielącą te obszary, w widoku miast przynależnych za okupacji do Rzeszy uderza brak tych wystających na wszystkich ulicach typów, pomrukujących — „kupuję, sprzedaję, papierosy, dolary”. Uderza zupełny brak wystaw zapełnionych wszelakim towarem, od perfum po słoninę. Handel polski tam nie istnieje, ale można z wszelką pewnością przewidzieć, że te kobiety spod samego frontu, z którymi jechałem z Oświęcimia na Katowice, bo tam zahandlować można z zyskiem uzyskanym dzięki fantastycznej naiwności Ślązaków, nieoswojonych z handlowym obyczajem okupacji, te właśnie kobiety i ich wspólnicy przeniosą handlowy obyczaj Gubernatorstwa na ziemie, które go dotąd nie znały<sup>56</sup>.

Przewidywanie nie zmienia jednak oceny. Rozrost handlu był tylko polipem, wyhodowanym w atmosferze gospodarki wyłączanej moralnie i niedbającej o najbardziej prymitywne potrzeby podbitego narodu. Był jego doraźną samoobroną. Wszystko to nastąpiło w latach wojny, którą wygrały nie tylko dzielność żołnierzy, ale w większym jeszcze stopniu krzywe produkcji i kryjący się za nimi codzienny, pełen ofiar i poświęcenia, *uparty wysiłek pracy*. Wygrywają tę wojnę narody, które wyrobiły w sobie wysoką moralność gospodarczą, moralność pracy, a u przegrywających jedynie zdolność do takiego wysiłku jest czymś cenniejszym od bzdurnych ideologii. Społeczeństwo polskie tylko czytało o fabrykach rosyjskich, ewakuujących się wraz z załogami tysiące kilometrów, wyładowywanych w pustkowiach i w kilka tygodni rozpoczynających normalną produkcję. Tylko słyszało o stoczniach w tydzień wypuszczających nowy okręt. Słyszało o drogach przecinających całe kontynenty, od Senegalu po Abisynię. Słyszało i czytało, ale w *żadnym podobnym procesie nie uczestniczyło* jako aktor świadomy. Nie zna i przeczuć nie może sumy poświęcenia, wysiłku, głodu i zapobiegliwości myśli, kryjących się w faktach, których ostatnie i olśniewające wyniki otrzymywało. Odebrana mu została, wymazana z zasobu doświadczeń, kto wie czy nie najważniejsza nauka wojny: *procesy gospodarcze wprzęgnięte moralnie w życie narodu*. Nie jakąś heteronomiczną czy idealistyczną moralnością, ale moralnością, która się rodzi z celu i świadomości tego celu, z rozeznania w rzeczywistym porządku świata. Tego wielkiego zysku dziejowego społeczeństwo polskie nie poznało.

Doświadczenie podobne nie powstało bowiem drobnym sprytem chrzczonego handlarza ani przebiegłością chłopka, umiającego obejść każdy zakaz, ale powstało na skutek tego, że z gospodarki został uczyniony w życiu narodów proces najbardziej moralny, bo najbardziej odpowiedzialny. Tymczasem gospodarka wyłączona pozostawiła po sobie osad predyspozycji, że stan taki może trwać w nowym państwie i społeczeństwie. Ten osad niełatwo przyjdzie zmyć i usunąć. Tymczasem, gdyby się nie dało inaczej, *wraz ze skórą musi on być zdarty* z psychiki naszego społeczeństwa, jeżeli zażęgnięta nim deprawacja

<sup>56</sup>*przeniosą handlowy obyczaj Gubernatorstwa na ziemie, które go dotąd nie znały* — W czerwcu 1945 dopisać mogę, że tak się stało istotnie. [przypis autorski]



nie ma przetrwać dłużej nad to trwanie, które jeszcze wybaczyć i pojąć można — echo. Echo stanu już nieaktualnego.

Ten osad psychosocjalny w różnych warstwach posiada różną głębokość. Najsilniejszy jest w kupiectwie. Rozumiemy dlaczego: jego doraźnie uprzywilejowana sytuacja powstała bez odpowiedzialności i udziału. Była, górnice mówiąc, łaskawym darem losu. Również normalna kontrola państwa — podatek — była tutaj najbardziej fikcyjna. Stanowisko takie zwykło rodzić pretensje trwające dłużej aniżeli jego podstawa. Nie ustały przeto nadzieje na fikcyjny system podatków, na brak kontroli społecznej, na inercyjny i paskarski zarobek. Warunki dzisiejsze ułatwiają te nadzieje. Świeży kupiec polski, o ile go nie zastąpi system sklepów spółdzielczych, musi się dopiero nauczyć życia na normalnym zarobku handlowym. Dlatego w nowym naszym państwie rola kupiectwa musi być uważnie kontrolowana, a złe nawyki najmocniej tępić.

Drugi co do grubości osad pozostał w ziemiaństwie. Przeprowadzenie reformy rolnej likwiduje jego wagę społeczną, znosi sam problem. Postawa ekonomiczna wsi zdaje się przedstawiać względnie dobrze, chociaż taka jest twarda i bezwzględna. Opory i zadrżnienia, jakie na wsi powstawały za okupacji, dotyczyły raczej czysto psychologicznej strony rzeczy niż samego prawa państwa do ingerencji. Rentujące się ceny rolnicze w kraju przesuwającym swoją gospodarkę ku strukturze przemysłowej winny się utrzymać stale. Odpada w ten sposób główne źródło niezadowolenia wsi. Zasiedlenie zachodu stwarza klępkę bezpieczeństwa dla przeludnienia wsi. System kontyngentów, o ile będzie rozsądnie nałożony, możliwie wysoko płatny, a przede wszystkim przeprowadzony bez podkradania w instytucjach zbiorniczo-rozdzielczych, będzie można utrzymać, nie sięjąc na wsi niezadowolenia, bo chłop jego potrzebę rozumie.

To jest wyraźnie ciemna — handel, i wyraźniej jaśniejsza — wieś, pozycja na hipotece niepodległości. Natomiast środek problemu jest nadal skomplikowany i niełatwy do rozwiązania. Ten środek oznacza robotnika, inteligenta miejskiego, urzędnika, dysponenta w przemyśle podległym kierownictwu państwowemu. Dlatego skomplikowany, ponieważ podstawy gospodarcze, które za okupacji sprowadzały deprawację moralną, trwają w znacznym stopniu dalej i niestety w niejednym wypadku trwać muszą. Podstawy te polegały na dysproporcji między rzeczywistym poziomem życia, jego wymaganiami finansowymi a zarobkami robotnika i urzędnika. Ta dysproporcja trwa dalej, i jasne, że miast tępić nawyki okupacyjne sprzyja w wielu wypadkach i sprzyjać będzie ich utrwaleniu.

Przed wszystkim rozszerzony został zakres możliwych pokus. Dyspozycja gospodarcza, rozdział produktów, które nadal mają i długo mieć będą dwie ceny, jedną oficjalną, a drugą rynkową, dostała się w ręce polskie. *Bezugscheiny*<sup>57</sup> leżą na biurku polskiego naczelnika wydziału. Skutkiem tego wszystkie możliwości legalnego kantu, które znajdowały się w rękach Niemców, obecnie weszły w palce Polakom. Weszły wraz z całą podpatrzoną za sześć lat okupacji praktyką. Skutki wiadome i wiele czasu upłynie, nim te skutki przeminą. Rozumiemy, że trudno od razu tę dysproporcję usunąć: państwo nie może płacić pensji inflacyjnych, jeżeli nie ma wpaść w błędne koło gospodarki łataną drukami pieniędzy, a zatem jest mu trudno usunąć tę podstawę dysproporcji przez powiększenie swoich świadczeń. Ale z drugiej strony nowe państwo polskie, jeżeli ma żyć, nie może poprzestać na fikcyjnych podatkach i żądaniach. Musi żądać w proporcji do swoich potrzeb, a tym samym musi sankcjonować ceny względnie wysokie, by brać od nich równie wysokie odrzuty podatków. Dawać możliwie mało, brać możliwie dużo.

Takie postępowanie jest koniecznością, ale ono to sprzyja na razie utrwaleniu pokus i dysproporcji. Sprawia, że wyłączona moralnie psychologia gospodarcza nie straciła dotąd swojej bazy. Dlatego właśnie na ten wycinek odziedziczonej hipoteki musi być zwrócona najbaczniejsza uwaga. Nim sam rozwój gospodarczy i zarządzenia państwa przekreślą tę rozbieżność, nie wolno jej zablagać pięknym frazesem. Nie wolno przede wszystkim publicystyce, która powinna nazywać miejsca zła po imieniu. Najgorsze miejsca zła skupia się wokół dyspozycji w przemyśle kierowanym, wokół rozdzielnictwa towarów kierowanych, wokół ingerencji administracji w życie gospodarcze, przede wszystkim zaś wokół fikcyjnych zarobków.

<sup>57</sup>*Bezugschein* (niem.) — talon, bon. [przypis edytorski]

Gospodarka wyłączona moralnie z życia narodu pozostawiła fatalne nawyki psychosocjalne. Hitlerowcy orientowali się w tych nawykach, ale niewiele im na nich zależało, jeśli tylko wycisnęli swoje. Ponadto deprawacja dotyczyła znienawidzonych Polaków, a to było im na rękę. Wreszcie wszystko, co się działo w Generalnym Gubernatorstwie, uważali za prowizorium gospodarcze, które się skończy z dniem zwycięstwa. Natomiast na nowe państwo polskie te nawyki i skrzywienia społeczne spadają całym ciężarem. Teraz dopiero płacimy cenę okupacji, przedłużoną w świadomości zbiorowej. By jej podolać, należy ją najpierw uświadomić — i temu to zadaniu pragną służyć niniejsze uwagi.

1945 r.

## HISTORIA TRZECH GODZIN

Kiedy w niedzielnym wydaniu „*Krakauer Zeitung*” — był to dzień 14 stycznia 1945 — komunikat *Oberkommando der Wehrmacht*<sup>58</sup> obwieścił, że nieprzyjaciel w piątek przystąpił do dawno oczekiwanego ataku na całej rozciągłości frontu wschodniego: Serock, Warka, Baranów — już od ubiegłego wieczoru wiadomość ta była mi znana. W Krzeszowicach mieszkalem w domu przy ulicze ogrodów, a liczącej wszystkiego dwa budynki. Uliczka zamykała się od wschodu wciśniętą pomiędzy dalsze budynki i ogrody parcelą budowlaną o niewielkim od lat, lecz podstawowym plodozmianie: żyto, kartofle, żyto, kartofle.

Poprzedniego wieczoru nie trzeba było natężyć uszu. Wystarczyło zawiesić rozmowę, by dotarł nieustanny, głęboki pomruk dalekiego frontu. Ten sam, co w upalnych dniach z końca lipca, później na długo zamilkły. Wysłuchiwalismy go wówczas w późne godziny nocne, młody księżyc przygasał nad cmentarzem. Okna mojego pokoju patrzyły na wzgórze ponad miasteczkiem, zagrządzające od zachodu horyzont, na rąbek białego muru cmentarnego.

Od lipca zmieniło się wiele. Ta jesień była niewypowiedzianie ciężka. Zrazu wyglądało wszystko na jedną więcej niepoważną i groteskową zabawę pod batutą swastyki, na jakąś majówkę w nieznanym stylu. O świcie w jeden z pierwszych dni sierpnia spędzono rozkazem mężczyzn na targowisko miejskie. Łopaty, robocze ubranie. Spisano, zliczono, po kilku kilometrach leśnej drogi przystanęliśmy w rozprażonym mimo wczesnej godziny zagajniku. Już tam zwijali się górnicy śląscy. Na przestrzał lasu wytyczona prosto przecinka była już wykarczowana. Sąsiedzi — rymarz, murarz, sędzia, podmajstrzy budowniczy — dziwili się dobrotliwie, że profesor umie się obchodzić z łopata. Tłumaczyłem rzeczowo, że przecież przez całą wojnę sam zarywam ogród. W mojej okolicy przekopywanie na wiosnę ziemi w ogrodach nazywa się zarywaniem. Zarywałem teraz — rów przeciwpancerny. Z ochotą wierzyło się, że czołgi radzieckie są tuż i tyle robota im przeszkodzi, co koniowi wybój na szosie.

Mijały jednak tygodnie i miesiące. Z obronnej improwizacji począł wyrastać system. Majówka dawno się skończyła. Wśród jesiennego błota daremnie było nasłuchiwać frontu w ulicze. W odległej o parę kilometrów Rudawie, w pięknej wsi Nielepice z krzyżem na wapiennej skale, spod którego widać Kraków, budowalismy betonowe bunkry. Linia obronna rozrastała się w głąb. W grudniu dotarła tuż pod uliczkę. Ogrody od wschodu położone przeciał nowy rów przeciwpancerny. Jasne było, że siedzimy na pasie, z którego Niemcy zamierzają bronić dostępu na Śląsk, jeśli przyjdzie im oddać Kraków. Z Warszawy, w przejeździe do Zakopanego i do Goszyc, pojawili się Jerzy Andrzejewski<sup>59</sup>, później Czesław Miłosz<sup>60</sup> z opowiadaniem o losach swoich i nie swoich rękopisów.

<sup>58</sup>*Oberkommando der Wehrmacht* (niem.) — naczelné dowództwo armii (niemieckiej). [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Andrzejewski, Jerzy (1909–1983) — prozaik polski; w latach wojennych miał za sobą debiut (opowiadanie *Wobec czyjós życia* publ. 1932, nast. znane pod tytułem *Kłamstwa*), tom opowiadań *Drogi nieumknięte* (1936) oraz uhonorowaną Nagrodą Młodych Akademii Literatury powieść *Ład serca* (1938); był wówczas związany ze środowiskami pravicowymi i nacjonalistycznymi (pisma „ABC”, „Prosto z mostu”) i uznawany za przedstawiciela chrześcijańskiego nurtu literatury; w czasie okupacji hitlerowskiej zaangażowany w ratowanie osób zagrożonych Zagładą ze względu na pochodzenie żydowskie. Najważniejsze dzieła Andrzejewskiego powstały po wojnie (opowiadanie *Wielki Tydzień* 1945, powieści: *Popiół i diament* 1948, *Ciemności kryją ziemię* 1957, *Bramy rajy* 1960, *Idzie skacząc po górach* 1963, *Miazga* 1979). [przypis edytorski]

<sup>60</sup>Miłosz, Czesław (1911–2004) — poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz, dyplomata, laureat literackiej Nagrody Nobla w 1980 r.; przed II wojną światową Miłosz był członkiem wileńskiej grupy Żagary,

Czekało się. Czekano się wśród dwóch przepowiedni strategicznych. Jedna już się spełniła. Od tego, czy i druga się spełni, zależał los okolicy. Oto siedząc gdzieś z początkiem lipca na wzgórzach obramujących od północy dolinny rów, jaki od Krakowa ciągnie się ku Krzeszowicom i tam kończy, mówiłem przyjacielowi — tędy najlepiej przeprowadzić linię obronną, obstrzał na dolinę obustronny. Wszyscy podówczas byli strategami!

Kiedy w niewiele tygodni grzebaliśmy się w ciepłym piasku przeciwp pancernym, śmieliśmy się z tej spełnionej zapowiedzi. Bo wtedy obowiązywała już inna przepowiednia strategiczna. Wierzyli w nią wszyscy, a najmocniej ci, którym po ogrodach zasklepiono bunkry: — Ruski nie jest taki głupi, żeby od przodu szedł na bunkry. Oni już swoje rozpatrzenie mają, a śpiegów<sup>61</sup> tyż<sup>62</sup>, i obeńdą<sup>63</sup> od Raclawic i Czubrowic. (To znaczy od północy). W Raclawicach i Czubrowicach powtarzano zapewne to samo, przesuując sam manewr jeszcze bardziej na północ.

A to — kończył znajomy gospodarz wskazując na betonową kopułkę — przyda się kobiecie na kwaśne mleko. — Po czym rozpoczynał dygresyjną opowieść o włoskim froncie, bo cała wiedza militarna dorosłych chłopów z tych stron, byłych poddanych c. k. monarchii austro-węgierskiej, pochodzi z Krasu i znad Isonzo<sup>64</sup>. Kto zaś pamięta książki Zegadłowicza, ten wie, że tak groźna, kiedy ją przebywać w Hemingwaya „Pożegnaniu z bronią”, rzeka Tagliamento służy tutaj jedynie jako fonetyczna podbudowa dla bardzo soczystego przekleństwa.

Ten drugi dogmat miał się teraz sprawdzić wśród zimowego krajobrazu. Niepewność jest przebiegła i posiada swoje pociechy i wykręty. Rzeki były zamrożone, bezśnieżne pola stężały i rude. Tylko wyżej, pod lasami, smużki śniegu. Ponieważ i tajne nauczanie, i wiele spraw innych wiązało z Krakowem, postanowiłem pojechać, póki jeszcze koleje są na chodzie. We wtorek, 16 stycznia. Chętnych do ujrzenia Krakowa przed oblężeniem było wielu. Wierzyło się bowiem stanowczo, że Kraków będzie oblegany i że Wawel jednak jakoś ocaleje. Miasto było przystosowane do obrony i walk ulicznych. Nie wiem, czy burząc zapory przeciwczołgowe, czy usuwając strzelnice w narożnych domach — zarząd miejski przechował plan tych umocnień, który by świadczył w przyszłości o niedosłej kupie ruin, jaką pozostałoby to miasto, gdyby cofające się spod Tarnowa dywizje niemieckie nie zostały uprzedzone. Po Mogilany sięgał język, którym się cofały obok zajętego już Krakowa, rozbite działa i czołgi stoją na mogiłańskiej górze.

Mieszkania przyjaciół, do których wstępowałem w te dwa ostatnie dni okupacji, były przygotowane na dwie ewentualności: na oblężenie albo na Pruszków. To znaczy wszędzie powściubiano podstawowe zapasy i niezależnie od nich wszędzie też stały gotowe do podjęcia za uchwyt walizy z wyborem ubrań, bielizny, skarpetek i butów, dokonany według pruszkowskich doświadczeń Warszawy<sup>65</sup>. W pierwszych dniach stycznia znów ścigani z Krakowa, znów wywlekani w nocnych łapankach nieszczęśliwcy byli w tej mierze ekspertami.

---

tworzył poezję katastroficzną, wydał dwa tomy wierszy *Poemat o czasie zastygłym* (1933) i *Trzy zimy* (1936); w czasie wojny był zaangażowany w podziemny ruch literacki, opublikował tomik zatytułowany po prostu *Wiersze* pod pseudonimem Jan Syruć (1940); już ten zbiorek, a także powojenna twórczość począwszy od tomu *Ocalenia* 1945 przynosi zasadniczą zmianę tonu wypowiedzi, uproszczenie stylu, bezpośredniość. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>śpieg (gw.) — szpieg. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>tyż (gw.) — też. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>obeńdą (gw. forma) — obejda. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>wiedza militarna (...) chłopów z tych stron, byłych poddanych c. k. monarchii austro-węgierskiej, pochodzi z Krasu i znad Isonzo — na płaskowyżu Kras (obecnie w Słowenii) schodzącym ku Morzu Adriatyckiemu i wzdłuż rzeki Isonzo, na ok. stu kilometrach jej brzegu, na granicy pomiędzy Austrią-Węgrami a Królestwem Włoch w czasie I wojny światowej toczyły się krwawe starcia (ostatnie z użyciem gazów bojowych) pomiędzy czerwcem 1915 a listopadem 1917 (w sumie 12 bitew trwających od kilku tygodni do kilku dni); na froncie włoskim walczyli Polacy wcieleni do armii austro-węgierskiej. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>pruszkowskie doświadczenia Warszawy — nawiązanie do niemieckiego obozu przejściowego (*Durchgangslager* a. *Dulag*) w podwarszawskim Pruszkowie, utworzonego 6 sierpnia 1944 na terenie dawnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego dla ludności cywilnej Warszawy i okolic, którą w trakcie powstania warszawskiego i po jego upadku masowo wypędzano z domów; pierwszymi więźniami byli mieszkańcy dzielnicy Wola; więźniów z Dulagu 121 Pruszków wysyłano na roboty przymusowe do Niemiec a. do obozów koncentracyjnych; wielu zmarło w obozie z powodu wycieńczenia, chorób i złego traktowania; przez obóz przeszło ok. 400 tys. ludzi; Dulag 121 funkcjonował do końca 1944 r. [przypis edytorski]

I znów przepowiednie strategiczne. Jestem u Krystyny Grzybowskiej. Rozmawiamy o napisanej przez nią historii teatru krakowskiego, o tekach dziadka, Karola Estreicher, o korespondencji Marii Trębickiej, później Faleńskiej, o wszystkich rękopiśmiennych skarbach Estreicherowskiego rodu. — Gdzie to ukryć na czas oblężenia? — pyta pani Krystyna fachowca od rowów przeciwczołgowych. — Chciałabym do Archiwum Akt Dawnych miasta Krakowa, nie wiem, czy punkt bezpieczny, jak pan radzi?

Wtedy, pamiętam, urządziłem fachowy wykład strategiczny. Archiwum Akt Dawnych znajduje się, jak wiadomo, na rogu ulicy Siennej i św. Krzyża, nieco odchylone od linii ulicy Siennej, fasadą skierowane ku Starowiślniej spiętej u góry łukiem III Mostu. Hamując tramwaj od mostu, ruszając z kolejnych przystanków, widzi je motorowy przed sobą przez całą długość wyciągniętej jak na Kraków ulicy. Tłumaczyłem, że dla czołgów sowieckich wdzierających się od Podgórza ten budynek będzie tarczą strzelniczą. Dogmat manewru od północy nie znajdował zastosowania w obliczu cennych papierów. Dla urodzonej krakowianki argumentacja była niezbita. Rękopisy pozostały w piwnicy przy ul. Sobieskiego.

Środa 17 stycznia była dniem słonecznym i przemglonym, jak zawsze w Krakowie. Przez III Most, wzdłuż Wisły, gdzieś od Niepołowic i Brzeska Nowego, po obydwu walach przemykały pospiesznie i bez wyraźnego szyku gromadki w mundurach *Organisation Todt*<sup>66</sup>, *Arbeitsdienst*<sup>67</sup>. Obok jacyś spieszeni<sup>68</sup> lotnicy. Kuchnie polowe bez ognia. Starowiślną w stronę Podgórza i frontu ciągnęły inne gromady. Mundury SS. Przystanęłem podслушаć języka. Był ukraiński. Więc i Kraków?... Opowieści warszawskich przyjaciół stały się dotkliwie bliskie, jak ręka, która nagle z ciemności spocznie na ramieniu.

Postanowiłem odjechać do Kressendorfu pociągiem odchodzącym o godzinie dwunastej trzydzieści. Od tego miejsca wspomnienia zaczynają być bardzo dokładne. Całe planty były podówczas obwieszane głośnikami. Przechodziłem obok Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, godzina jedenasta. Ten znad głowy charczy, że szybkie oddziały nieprzyjaciela dotarły do źródeł Pilicy (*Quellengebiet* — niemieckie terminy, kiedy się zrosną, zamiast być dokładne stają się wieloznaczne), gdzie toczą się z nimi ciężkie walki. A potem jakieś baśnie o najbliższych terminach płatności podatkowych.

Te słowa wystarczą: *Quellengebiet von Pilica*. Miasteczko o tej nazwie w północnym kącie powiatu olkuskiego. Jakaś wycieczka w latach gimnazjalnych, Rabsztyn, Ogrodzieniec, Pustynia Będowska. Słowa o źródłach nie są dla mnie tylko słowami, lecz pobudzeniem krajobrazu podmokłych, torfiastych łąk. Leżą te łąki dobrze na północny zachód od Krakowa. — Ruski nie taki głupi — powiedział znajomek w Nielepicach.

Wiadomość oznacza, że za kilka dni może być przecięta komunikacja z Katowicami. Staram się odtworzyć wiernie ówczesne rozumowanie i nie będę udawał, że miałem jakiegokolwiek przeczucie tego, co zająć miało w trzech następnych godzinach. Poszedłem spokojnie na dworzec. Tam dopiero stało się jasne, że wypadki mają już tempo inne, pospieszniejsze nawet od nadziei i przewidywania. Wpuszczono nas na peron, by w niewiele minut charknąć przez głośnik, że pociąg do Katowic mający jechać przez Trzebinę pojedzie na Oświęcim i pasażerowie do bliższych stacji nie mają po co nadal czekać. Perony zatłoczone, niebo rozjaśnione i bez jednego samolotu, żadnej z września 1939 roku oznaki nadciągającego frontu. Także wbrew przewidywaniu i schematowi!

<sup>66</sup>*Organisation Todt* — niem. organizacja utworzona w 1938 r. i dowodzona Fritza Todta (stąd nazwa), zajmująca się zajmująca się budową obiektów wojskowych; zrzeszała prywatne i państwowe firmy budowlane, w czasie II wojny światowej zatrudniała przymusowo pracowników z obszarów okupowanych; jej dokonania to m.in. budowa umocnień wzdłuż zach. granicy Niemiec (tzw. Linia Zygfryda), w Normandii (tzw. Wał Atlantycki), we Włoszech (tzw. Linia Gustawa), kwatery Hitlera, ośrodka doświadczalnego testującego rakiety V1 i V2 i in.; w czasie odwrotu wojsk niem. (od 1943 r.) formacja zajmowała się niszczeniem ośrodków przemysłowych i ich infrastruktury; *Organisation Todt* wykorzystywała pracę przymusową jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*Arbeitsdienst* (niem.) — dosł. Służby Pracy; *Reichsarbeitsdienst* (RAD): Służba Pracy Rzeszy; w hitlerowskiej III Rzeszy początkowo organizacja przysposobienia wojskowego i obywatelskiego dla młodzieży; podczas II wojny światowej formacja pomocnicza Wehrmachtu (tj. armii niem.): zajmowała się budową umocnień na liniach frontu i brała udział w walkach pod koniec wojny. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*spieszony* — daw. o członkach oddziałów konnych: żołnierz, który na skutek utraty wierzchowca przechodzi do wojsk piechoty. [przypis edytorski]

— Źródła Pilicy sięgają widocznie aż po wał kolejowy przez Krzeszowice do Katowic — oświadczyłem sobie. — Wobec tego idziemy piechotą. Natychmiast. Do zmroku odbędę tych dwadzieścia parę kilometrów.

Ulicą ku przejazdowi kolejowemu i ku Bronowicom ciągnie kolejka samochodów wojskowych. Przetkane osobowymi, przetkane zwykłymi ciężarówkami. Te o śmiesznych kotłach na gaz drzewny, jak żelazne piece prowincjonalnych zajazdów. Dużo waliz na tylnych siedzeniach wozów osobowych. Poprosić o miejsce? Przecież pojedą przez Krzeszowice. Coś odradza tę decyzję. Odmowę umacnia widok po lewym ręku. Na polach za poprzeczną, rzadko zabudowaną ulicą przedmiejską samotne parterowe domy i płoty, już w pobliżu przejazdu kolejowego krzątania. Żółcieje świeżo wykopana glina, ustawiają dwa działa. Ku zachodowi wycelowane. Ich szczątki po dzisiaj dzień sterczą na owej pozycji.

Po przekroczeniu toru, na którymś z bronowickich zakrętów, w bełkot motorów zaczyna się wdzierać jakiś inny, dalszy łoskot. Zrazu uszy nie umieją go umiejscowić wśród zapamiętanych głosów. Gdy się już umiejscowił, nadzieja jeszcze się broni przed zawodem. Od północy dokładne sapnięcia dział. Terkot karabinów maszynowych coraz wyraźniej nakłada się na huk motorów. Gaśnie, odzywa się znów. Samochody ku niemu przyspieszają biegu, jakby wystarczyło wyminąć strefę niebezpiecznego głosu. Naciągam kroku.

Znacie dobrze ten kraniec Pasternika, z którego szosa gwałtownie opada w dół w stronę Zabierzowa i szeroko ku prawej i lewej otwierają się krajobrazy. Ku lewej skłębione w niedalekie lasy, ku prawej rozległe i bezdrzewne, przekrojone wybojami dolin ujętych w wapienne skały. U któregoś z tych wylotów siedziało się w lipcu prorokując strategię, a otóż — tutaj widowisko staje się absolutnie przejrzyste. Nie tylko dla mnie. Wzdłuż szosy ciągną gęsto inni piechurzy — cywile.

Samochody z rozpędu staczają się ku kotlinie, ale tam, gdzie droga odgina nieco w lewo, zjeżdżają na ośnieżone pole, wyją zmienianym biegiem i nawracają ku górze. Dalej szosa, aż po wał kolejowy, już pusta całkowicie. Na wale kolejowym, na polach tryskają rudawe i brudne wachlarze, ziemia ostro stęka. Jakiś oddział w hełmach policyjnych i białych płaszczach ochronnych rozkłada się w tyralierę na skraju akacyjnego zagajnika przesłaniającego stary fort na prawo od szosy. Po chwili na garbie wzgórz od Ujazdu, Modlnicy, opadającym ku kotlinie, zaczynają wytryskiwać w coraz bardziej mgłami zasnutę niebo białe igielki. Tryska ich cały grzebień, rozplywa się w warkoczykach z dymu.

Widowisko jest bardzo jasne. Szosa i wał kolejowy pod obstrzałem. Sądzę, że artylerii, jeszcze nie wiem, że czołgów. Garbem tym niegdyś przebiegała granica Galicji i Królestwa Kongresowego, Ojców był już za granicą. Z góry chełmskiej Kongresowiaci poprzez jej linię oglądali rozpostarty w kotlinie Kraków i jego wieże. Od tego granicznego garbu nadciąga linia bojowa. Patrzę na zegarek — dochodzi pierwsza.

Wracać do miasta, które ma być oblegane? Nonsens. Szosą na wprost pod ogień? Drugi nonsens. Należy tak uczynić, by możliwie szybko linia walki przeskoczyła przez człowieka. Zatem skrócić na prawo, ku grzebieniowi z cicho tryskających igielek, który w moim ówczesnym, przez kwadrans ważnym pojęciu oznaczał cofających się Niemców. Świece dymne nad ich linią oznaczał.

Zeszedłem szosą niżej, do miejsca, gdzie niedawno nawracały samochody. Już teraz nie nadpływają od miasta. Pozostało po nich zbrudzone rozdroże w poprzek asfaltowej jezdni. Ruszam wprost boczną drogą na wieś Brzezcie. Tak, Spytek z Brzezcia, ten z *Krzyżaków*. Następna wieś — Kobylany. Tak, Domarad z Kobylan, ten spod Grunwaldu.

Po kilkuset metrach widowisko rozjaśnia się ostatecznie. W płytkim rowie przy twar-do zamarzniętej i słabo jeżdżonej drodze żołnierze niemieccy. Okryci zielonymi płachtami, cekaemy gotowe do strzału. Obstrzał artyleryjski nagle ustaje. Nie słychać również karabinów. Pytam żołnierza z wnętrza dłoni kopającego spieszenie papierosa, gdzie jestem właściwie. Obok schylone przemykają się jakieś cywilne postacie. — *In Niemandland*<sup>69</sup>. — A rakiety? — *Das sind schon die Russen gegenüber*<sup>70</sup>.

<sup>69</sup>*in Niemandland* (niem.) — w kraju niczym. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*Das sind schon die Russen gegenüber* (niem.) — naprzeciwno to są już Rosjanie. [przypis edytorski]

Rozumowanie sprzed kwadransa poczyna się błyskawicznie sprawdzać, lecz miejsce nie do promenady. Dobiegamy do dużego obejścia u skrzyżowania dwóch polnych dróg. W kępie drzew stodoły, jakieś zabudowania gospodarcze, garnki gliniane na płocie i zapomniana, blaszana od mrozu spódnica. Obejście obsadzone przez drużynę niemiecką. Mają pięści przeciwpancerne, żadnej cięższej broni. Przykucnęli przy kamiennym narożniku drewnianej stodoły.

Na wale kolejowym ukazuje się lokomotywa, stacza się od Krakowa, przyczepiony jeden wagon towarowy. Wał znów zaczyna pryskać brudnymi wytryskami. Jakież postacie wyskakują z wagonu i przepadają za wałem. W kilkanaście dni później, znów piechotą, wzdłuż toru do Krakowa maszerując na pierwsze zebranie Związku Literatów, mijamy zastygły, z wygaszoną lokomotywą, z niej i wagonu złożony pociąg. Wiózł saperów mających wysadzać w powietrze urządzenia kolejowe. Zdołali rozsadzić wybuchem nastawnie w Mydlnikach. Do mostów przed Zabierzowem już nie dotarli. Lokomotywa otrzymała pocisk w korbowodę. Na wagonie skrupulatny saper nagryzmolił kredą — *min niet*.

Ogień znów cichnie. Zagroda wygląda na zasadzkę na czołgi. Trzeba umieścić się gdzie indziej. Tylko czemu Niemcy w ogóle nie odpowiadają na ogień, i ci spod akacji, i ci z rowu przydrożnego?

Przebiegam wzdłuż drogi od drzewa do drzewa. Wieś niedaleko. Od równej płaszczyzny śnieżnej podnosi się łańcuch sylwetek. Nieskładnie, jak dzieci przy zabawie w chowanego. Igiełki z dymem w górę nad nimi. Więc to chyba już. Postaci nagle zapadają się, nad drogą zacina coś batem. Raz po raz i przenikliwie. Cholera, rozpoczęli ogień karabinowy. Padam do rowu. Rów bardzo płytki, parapet drogi nisko, zacina nad nią wciąż batem. Sucho w gardle, śnieg połkany nie smakuje nawet w przypomnieniu.

Nie rozumiem również, co ma oznaczać niski, huczący huk gdzieś przede mną, od strony, gdzie droga dobiega wioski. Domy, drzewa, cóż za bąki tak huczą w styczniu? Nagle kilkaset metrów przede mną drogę przekracza obły bąk z wysuniętym ryjem — jeden, drugi. Jest ich sześć. Rozprowadzają się w wachlarz po płaskiej łące, spod szczupłego śniegu przezierną zmarzła trawiasta szczecina, i jak nagonka na zwierza suną równo. Nie strzelają. Ten najbliższy drogi rośnie wprost na linii moich oczu. A jeśli mu się zechce plunąć i sprawdzić, co to właściwie leży w rowie, dobrze widoczne na śniegu gęstszym właśnie u skraju drogi?

Na szczęście nad drogą ustało. Znów biegiem do jakiejś zagrody, nie osłaniają jej drzewa, niedawno zbudowana, znów gwizdże blisko, dół na gnój w ogrodzie, wskakuję. Jestem już trzeci taki mądry. Sąsiad śmieje się i pokazuje draśniętą od kuli dłoń. Coś tam do siebie pogadujemy i dopiero kiedy kolki w płocie zaczynają trzaskać wyłamywane — widzimy żołnierzy sowieckich sunących do nas z okrzykiem i wymierzonym karabinem: — *German? German?!*

Zamiast się ucieszyć czy coś ludzkiego powiedzieć, doskakuję do pierwszego z brzegu i wrzeszczę: — Po jaką cholere strzelaliście do nas, przecież widzieliście cywilów? — Żołnierz widocznie coś rozumie, wybałusza oczy, łeb pod hełmem ma obwinięty czymś jak stara pończocha, odpowiada: — Polskie partyzany też do nas strzelali. Skąd mam wiedzieć, co ty za jeden? Wojna! — Od razu pyta, czy mam papierosy. Ponieważ nie palę, opiera się o karabin i na skrawku gazety skręca z własnego tytoniu. Sięgnąwszy po wszystko w kieszeń. Nagle przypomina sobie widać użyte co dopiero słowo *wojna*, doskakuje do mnie — a gdzie ty widział *Germanca*<sup>71</sup>? A *gorod*<sup>72</sup> Kraków gdzie?

Wtedy i ja przypominam sobie, że przecież wojna. Opowiadam szybko o zagrodzie z zasadzką. Raportują to oficerowi. Usiłuje ją znaleźć na mapniku. Pokazuję palcem w krajobrazie. Czołgi przejechały, minęły nasze obejście. Niemcy dalej milczą. W ogóle nie spróbowali ani obrony, ani ucieczki. Towarzysze przygody, którzy później nadsięgnęli, widzieli ich w niewoli.

Oficer jeszcze pyta, skąd i po co idziemy. Na czyjś gest sięgający po dokumenty macha lekceważąco ręką. Ruszamy dalej na Brzezcie, na Kobylany. Kilka nowych czołgów, doliny i wzniesienia po prawej milczą i nie wypuszczają sztucznych ogni. Patrzę na zegarek: wpół do trzeciej. Słońca nie widać. Napływały gęste mgły, siada szron.

<sup>71</sup>*Germanca* (z ros.) — forma D.lp: Niemca. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*gorod* (z ros.) — miasto. [przypis edytorski]

I wtedy, pamiętam doskonale, ogarnia widza coś w rodzaju zawiedzionego zdziwienia — więc to wszystko? Więc już się stało? Więc *TAK WYGLĄDAŁO!*

Za wsią jest cisza, coraz głębsza cisza wczesnego wieczoru. Nie zatelepie wóz, nie zaszczeka pies. Spokój również od strony Krakowa. Mgły same się rozdmuchnęły. Idę śpiesznie, towarzysze gdzieś się rozeszli, od wschodu powstaje księżyc. Więc to naprawdę już? Wygnieciony własnym ciałem rów, żołnierz z papierosem, czołgi w luk złożone, wszystko to nierealne. Na pustej drodze wrzeszczą wrony.

Dopiero po czasie, po kilku tygodniach będę wiedział, że wszystko to było właśnie jedną z najbardziej realnych rzeczy, jakie udało mi się zobaczyć i przeżyć. Będę wiedział, jak godnym zapamiętania skrawkiem życia własnego, okupacji i frontów są te trzy godziny, od źródeł Pilicy na krakowskich plantach po czołgi na łące pod Brzeziem. Nie znam nazwy oddziału, który napotkałem wówczas. Pamięć nie odtwarza ani jednej twarzy żołnierskiej, niczego prócz garści gestów i zdań. Lecz wiedzieć będę, że to spotkanie pod Brzeziem należało do ważniejszych fragmentów manewru okalającego Kraków od zachodu: przecięcie szosy i linii kolejowej wiodącej na Katowice.

Opowiedziane godziny miały swój dalszy ciąg, o którym już krótko. W Rudawie patrol niemiecki przy bunkrach budowanych przez strategów krzeszowickich. Bunkrów tych nie zdołali Niemcy uzbroić w artylerię, nie zdążyli w ogóle wprowadzić do nich jakiegokolwiek załogi. Nie chcą wierzyć mojej opowieści. W Krzeszowicach normalnie Niemcy i normalnie bimber po długim marszu zimowym. Tak bardzo normalnie, że kiedy następnego ranka — czwartek 18 stycznia — nowi przybysze z Krakowa opowiadali, że we środe był to tylko wypad, po którym czołgi radzieckie się wycofały — całkowicie wierzyłem.

Czwartek pod potarganym przez samoloty sowieckie dachem, noc w piwnicy, działa całą noc gadały nad miasteczkiem, w lasach, gdzieśmy ryli pierwsze rowy, magazyny amunicji szły w powietrze wśród fantastycznie kolorowego fajerwerku — i o świcie, w piątek 19 stycznia, na rogu uliczki, którą od wschodu już w lipcu niosły się pomruki frontu, przystanął pierwszy patrol z pepeszami. Teraz wiedziałem, że już jest na pewno i naprawdę. Przyszli drogą od Czatkowic, z północy, jak tego pragnął dogmat strategiczny całej okolicy. Poryte naszymi łopatami pola i ogrody milczały.

Opowiastka o trzech autentycznych godzinach, wiem to nie mniej dobrze, jest opowieścią ziarenka piasku o tym, co czynią fale.

26 grudnia 1946 r.

## HAUS KRESSENDORF W HRABSTWIE TĘCZYŃSKIM

Zacznijmy od słów fałszywego proroka z *Woli mocy*: „W cieniu mieczów jest raj”. Potwórzmy te słowa Nietzschego.

Dzieje *Haus Kressendorf* w hrabstwie tęczyńskim godne są napisania już dzisiaj, chociaż zaledwie ich szkic pobieżny dać można obecnie. Godne są napisania, albowiem jak w przyzmacie skupia się w nich wszystko, co było tajemną podszewką, istotną sprężyną panowania hitlerowskiego w Polsce. Sprężyną niewidoczną od fasady rzeczy. Lub — jeżeli kto woli — co było jedną z najbardziej patologicznych komórek tego ustroju. Tak doskonałą w swojej patologii, że lekarze zwykli go zwać przypadkiem klasycznym. Takim przypadkiem klasycznym jest — *Haus Kressendorf*.

Ale nie mniej znamienna jest jego przeszłość dawniejsza. Nazwa tej przeszłości —

### HRABSTWO TĘCZYŃSKIE

Jego dzieje rozpoczniemy cytatem z Niemcewicza. Odbywając w roku 1811 jedną ze swoich „Podróży historycznych”, taką notatkę umieścił o Krzeszowicach: „Krzeszowice leżą w najprzyjemniejszym położeniu. Stąd, na wyniosłych i lasami okrytych górach, odkrywa oko klasztor karmelitów bosych w Czernej i poważne zamku tęczyńskiego ruiny. W miejscu przeznaczonym do kąpieli, gęsto zasadzone drzewa użyczają już i cienia, i chłodu. Wijący się środkiem na kamykach strug czystej wody, mručeniem i świeżością swoją przechodzących przyjemnie rozrywa”.

Wdzięki tych okolic wyraził Niemcewicz w sposób mile staroświecki: „rozwija się kraj otwarty, wynoszący się stopniami w nieznaczące piętra; na nich przewijają się pasma żniw. Rozmaitość farb ich, wesołe, zielone smugi, wioski otoczone kasztanami, mile zachwycają oczy patrzących”.

Podobnie jak on łagodne piękno tych miejsc odczuwać musiały całe pokolenia krakowian, ciągnących niedzielami na wypoczynek do Czernej i Krzeszowic, miasteczka odległego od Krakowa o 25 kilometrów, przy szosie i kolei do Katowic, nim w ostatnich latach przed wojną obecną nie złuzowały ich nie mniej liczne gromady Ślązaków, stawiających tutaj swoje domy wypoczynkowe, wypijających nieprzebrane ilości piwa. Kraków pociągnął ku góróm prawdziwym. Śląsk zaś na ten sposób poczynął się zrastać ostatecznie ze swoją ziemią sąsiednią.

Każdy z nas, kiedy pamięcią wzroku przywołuje krajobraz, który ma być typowy dla jego ojczyzny, nie jest w stanie uczynić tego inaczej, jak w kształcie krajobrazu swych lat dzieciennych. Typowego pejzażu mej ziemi ojczystej, wśród niego urodzony i wychowany, nie mogę sobie wyobrazić inaczej: wzgórza łagodne i rozmaite. Jeżeli nimi kroczysz, podnoszą cię, wędrowcze, niepostrzeżenie i bez wielkiego trudu. Otwierają się mniej łagodne, niedalekie, wszędzie po grzbietach obwiedzione czernią lasów stoki i falizny. Gdzie stąpisz, wszędzie rozmaitość form, lecz bez zaskakującej niespodzianki, humanistyczna i uładzona. Pod zachód słońca, poziomymi promieniami u wylotów leśnych wydobyte z zieleni, wysterczają okruchy wapiennych dolin — białe jak wymyte kości. Stoki układają się w wielki rów, spływający ku wschodowi, nalany niebieszczejącą mgłą. W nim wsi gęsto sadzone, obfite czerwienie dachów. Zaś od południa, w czyste dni jesienne, obraz obwiedziony „gubiącymi się w horyzoncie Tatrami, które jak nieprzerwanym łańcuchem obwiodły z tej strony granicę Polaków” (Niemcewicz).

U wschodniego stoku jednego z tych wielu pagórków spoczywa najdawniejsza część Krzeszowic. Tutaj w dolinie popularny już pod koniec XVIII stulecia zakład kąpieli siarczanych — dzisiaj, kiedy źródła zaniknęły, opustoszały budynek.

Ciągnący ku Krakowowi, których nazwiska zapamiętała historia, zatrzymywali się tutaj nieraz. Miał pono nocować Goethe. Na pewno spędził kilka tygodni ks. Józef Poniatowski. Cmentarz miejscowy przyjął prochy Chłopickiego. Na przyklasztornym cmentarzyku w Czernej spoczął Aleksander Błędowski, kiedy umierał — generał powstania listopadowego, lecz tutaj go pamiętamy przyjacielem Antoniego Malczewskiego, który w pojedynku miłosnym przysłemu poecie strzaskawszy nogę uczynił go podobnym do Byrona. Korespondował z właścicielami hrabstwa tęczynskiego Norwid i miał dla dóbr niewykonane zamówienia. Wspomina mile w listach Orzeszkowa. Do willi Pareńskich w Tęczynku zajeżdżał Wyspiański. Do niedalekiej Rudawy zaglądał Sienkiewicz. Lata wojny spędził i zmarł w tej samej Rudawie Karol Koniński, tak mało znany, a tak niezwykły charakter i umysł Polski międzywojennej.

Tam, gdzie ów stok Krzeszowic wysyła nad dolinę swoją falę ostatnią, gdzie widokiem swoim ogarnia i wschód, i południe krajobrazu, dnia 25 czerwca 1850 roku położono kamień węgielny pod budowę pałacu Potockich, przyszłego *Haus Kressendorf*. Pałac zaś pomyślano tak, by fasadą swoją patrzył na „o milę stąd, na wyniosłej górze stojące, opuszczone już ze wszystkim ruiny ogromnego Tęczynskich zamku”. Dnia tego w dziejach przyszłego *Haus Kressendorf* zadzierzgnął się jeden z najbardziej wymownych pod względem socjalnym punktów jego historii. By go zinterpretować należycie, zapytać musimy, z czego ten kamień węgielny powstał i *dłaczego* powstał.

Z czego? Jesteśmy w hrabstwie tęczynskim. Tak zwał się rozległy kompleks dóbr, którego początek w tych ruinach o milę odległych. Były one siedzibą jednego z najpotężniejszych rodów Polski piastowskiej i jagiellońskiej. Autentyczni hrabiowie cesarstwa rzymskiego niemieckiego narodu. Losy ich podobne są losom tych wielu rodów małopolskich, co położywszy podwaliny pod Polskę jagiellońską, wygasają za tej dynastii i z początkiem XVII stulecia. Jak Firleje, Herburty, Kmity, Ostrorogi, Koniecpolscy, Szydłowieccy, Wapowscy i ileż pomniejszych.

Mury zamku odbijają wiernie przemiany rodu i późniejsze przemiany Rzeczypospolitej szlacheckiej: z gotyckiego, obronnego zamczyska wspaniała pałac renesansowy — to przemiany rodu, jedna z nici ogólnego zaniku rycerstwa średniowiecznego. Później,



czasu wojen szwedzkich, szczególnie wojny północnej, pogorzelisko i ruina, ruina po dziś dzień imponująca swoim rozmiarem — to przemiany Rzeczypospolitej całej. Dobra i tytuł hrabstwa tęczyńskiego poprzez Sieniawskich, Czartoryskich i Lubomirskich przejdą małżeństwem na Potockich linii prymasowskiej.

Zatem: świetność warstwy, staczając się z wyniosłości zamku tęczyńskiego, na chwilę, chwilę równą latom 1850–1914, przystaje na pagórze o wiele niższym, by zejść z niego już w niepowrotne i nieodwracalne. Dlatego był w tym symbol mimowolny, że *Haus Kressendorf* w hrabstwie tęczyńskim od swego kamienia węgielnego ruinom patrzył w twarz, chociaż ich nazwę dziedziczył.

Dlaczego jego mury powstają? Przypomnieć musimy trzech pierwszych posiadzicieli Krzeszowic z rodu Potockich. W ich następstwie odbija się doskonale proces kotwiczenia arystokracji w rzeczywistości galicyjskiej. Pierwszy z nich to zapisany trwale w naszej literaturze swym *Rękopisem znalezionym w Saragossie* Jan Potocki. Jeden z najciekawszych okazów późnego oświecenia, z jego mistycznymi i naukowymi skłonnościami, pierwszy archeolog polski i etnograf ogólnosłowiański, podróżnik i literat. Dzisiaj, kiedy dla zniweczonej przez Niemców Słowiańszczyzny zachodniej budzi się tyle zainteresowania, godzi się pamiętać, że Potocki był pierwszym, który zwiedzał, opisywał i przekopywał ziemie Słowian zachodnich.

W dziejach hrabstwa tęczyńskiego ten „błąkający się duch, niepozbowiony uroku i szlachetności”, jak go nazwie panegirysta Potockich Ludwik Dębicki, niczym się nie zapisał. Trzy następne pokolenia Potockich budują *Haus Kressendorf* w sposób równie znamienity dla rozwoju swojej klasy, co... architektury XIX wieku.

Syn Jana Potockiego, Artur, oficer napoleoński, jest pierwszym, który widzi swoją przyszłość w porządku ustalonym przez Kongres Wiedeński. Stajemy u początku procesu, który na długie dziesięciolecia prymatu i dobrobytu wysuwa arystokrację na czoło przemian socjalnych Galicji. Pierwsze zamysły Artura posiadają jeszcze zakrój napoleoński. Plany pałacu zostają zamówione u głośnych architektów Perciera i Fontaine’a, twórców stylu Cesarstwa, budowniczych Palais Royal, nowych części Louvre’u. Plany pełne cesarskiego rozmachu, niemożliwe do zrealizowania na krzeszowickim pagórku. Następne projekty pochodzą od nie mniej głośnego architekta niemieckiego, Fryderyka Schinkla, posiadają sens i proporcję, i również nie zostają wykonane. Mimo to w dziejach pałacu odegrają rolę w stulecie później. Artur Potocki przedwcześnie umiera — 1832 rok, projekty są o dziesięć lat wcześniejsze.

Nowe wstrząsy, nowe daty. 1831, 1846, 1848. Lecz my przydajmy daty inne: Szujski<sup>73</sup> rodzi się w roku 1835, Stanisław Koźmian<sup>74</sup> 1836, Stanisław Tarnowski<sup>75</sup> 1837, Bobrzyński<sup>76</sup> 1849. Kiedy w roku 1850 Adam Potocki, syn Artura, kładzie ów kamień węgielny, mamy w tym akcie przykładową komórkę socjologiczną. To przyszłe pokolenie konserwatystów galicyjskich, autorowie „Teki Stańczyka”, osadza się ostatecznie w polityczno-socjalnej rzeczywistości Galicji.

Osadzamy się, budując dom. Z domu na wzgórzu w Krzeszowicach nie wyjdzie żaden już pisarz ani twórca nowych idei. Jan Potocki był tu przypadkiem. Adam Potocki, bu-

<sup>73</sup>Szujski, Józef (1835–1883) — jeden z przywódców obozu stańczyków (tj. galicyjskich konserwatystów), historyk, pisarz, publicysta, założyciel „Przeglądu Polskiego”, w którym w 1869 r. ukazał się pamflet polityczny m.in. jego autorstwa, *Teka Stańczyka*; pisarz, publicysta, historyk, współtwórca krakowskiej szkoły historycznej, autor m.in. syntezy historii Polski pt. *Historji Polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście*. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Koźmian, Stanisław (1836–1922) — polityk konserwatywny, jeden z przywódców obozu „Stańczyków”; współpracował ze stronnictwem Hôtel Lambert od 1860 r., wziął udział w powstaniu styczniowym, od 1 grudnia 1863 był członkiem Rządu Narodowego na obszarze Galicji; po latach wydał krytyczną, obszerną publikację na temat powstania (*Rzecz o roku 1863*, wyd. 1895); wieloletni redaktor (wraz z Pawłem Popielem) krakowskiego „Czasu”, założyciel (wraz z Józefem Szujskim i Stanisławem Tarnowskim) „Przeglądu Polskiego” (1866), poseł do Sejmu Krajowego (1869–1870) i deputowany do wiedeńskiej Rady Państwa; był też reżyserem i krytykiem teatralnym, w latach 1866–1868 kierownikiem artystycznym, a od 1873 r. dyrektorem Teatru Krakowskiego. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Tarnowski, Stanisław (1837–1917) — krytyk i historyk literatury, jeden z głównych przedstawicieli konserwatystów krakowskich, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Akademii Umiejętności. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Bobrzyński, Michał Hieronim (1849–1935) — działający na terenie Galicji polityk konserwatywny związany ze stronnictwem Stańczyków, prawnik i historyk (współtwórca krakowskiej szkoły historycznej); w l. 1908–1913 namiestnik Galicji, od 1914 r. dożywotni członek Izby Panów sejmku austro-węgierskiego, uhonorowany przez cesarza Franciszka Józefa tytułem tytułu c.k. tajnego radcy. [przypis edytorski]

downiczny pałacu, jest za to jednym z naczelných budowniczych stronnictwa Stańczyków. On pierwszy podpisuje adres hołdowniczny do Franciszka Józefa, gdy urodził się następca tronu — Rudolf z Mayerlingu, adres przez współczesnych zwany ironicznie „pieluszkowym”. Jego pióra są słynne słowa z roku 1888: „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. Za młodu był pupilem Krasieńskiego, jemu Krasieński poświęcił *Pokusę*, z myślą o nim pisał *Resurrecturis*. Jakimi ścieżkami od takiej poezji wieszczęj dochodziło się do adresu pieluszkowego, pytanie to zbyt skomplikowane, by w krótkich uwagach móc je rozjaśnić. Lecz pytanie, którego pominąć nie sposób.

Syn Adama, Andrzej, zamordowany przez Siczyńskiego za politykę faworyzującą Starorusinów, namiestnik Galicji w latach 1903–1908, przebudowuje i zmienia pałac dalej. Czyni to w coraz fatalniejszy sposób. Kiedy przejrzyste i zwarte projekty Schinkla czy trzeciego z projektodawców, Lanciego, porównać z osiągnięciem po roku 1890, po siedemdziesięciu latach przebudów, prób i projektów, stanem, trudno o jawniejszy przykład upadku sztuki architektonicznej w drugiej połowie XIX stulecia. Niekształtny, nieproporcjonalny, z fatalnym układem czterech pseudowież nad częścią środkową, pałac krzeszowicki charakteru reprezentacyjnego, chociaż go zamierzono, w swojej bryle nie posiada.

W zaraniu pierwszej wojny światowej kończy się świetność hrabstwa tęczyńskiego. Jak każda przejrzłość formy już martwiejącej ta świetność jaśnieje niejednym blaskiem. Część rozległych lasów przemieniona w zwierzyniec. Sarny i ministrowie. Specjalna bażantarnia. My, urodzeni w tych latach, już tego nie pamiętamy. Pragniesz wiedzieć, jak wyglądało — patrz do klasyka tej warstwy i tych lat: polowanie na bażanty w *Sprawie Dolegi* Weyssenhoffa. Tor do wyścigów konnych i odrębny tor do biegów z przeszkodami. Kryte trybuny. Wreszcie — w miasteczku, skąd nie odgałęzają się żadne magistrale, przystawały pociągi pospieszne, dążące do „Widnia”. Miasteczko namiestnika. Dzisiaj z tych wszystkich urządzeń i świetności tylko wspomnienie i zapomnienie.

Ale w miasteczku rzeczonym, już w latach opowiadanych, odgałęziały się tory, których nie wyczytasz w żadnym rozkładzie jazdy, a przecie tory, jakie na podobieństwo nowej tkanki narosły niepostrzeżenie na miejscu tkanki martwiejącej. Bocznic kolejowa do kopalni węgla „Krystyna” w Tęczynku. Kiedy w latach niepodległości kopalnia nie wytrzymała konkurencji węgla górnośląskiego, bocznic nie była martwa, obsługiwała bowiem łomy bazaltu w Niedźwiedziej Górze. Bocznic do ładowni łomów porfiru w Miękini. Od ładowni zaś do samych kamieniołomów kilka kilometrów kolejki linowej. Bocznic niewielka do wapiennika w Gwoźdźcu.

Już pierwsza z tych bocznic symbolicznie przekroiła zwierzyniec i lokomotywa wyploszyła sarny. Lata dalsze, międzywojenne i ostatnie, nie powstrzymały tego rozrostu. Przybyła bocznic do browaru i fabryki marmolady w Tęczynku. Wreszcie chłopcy z *Baudienstu* potem swoim i niedożywieniem wykroili długą i trudną technicznie bocznicę do nowych kamieniołomów w Czatkowicach.

Na krótki czas ten tor włączał nową tkankę Krzeszowic w system niemieckiego niewolnictwa. Kamieniołomy zainwestował centralny koncern niemieckiego przemysłu chemicznego, *IG Farben-Industrie*. Swoim wapieniem dewońskim, który dzięki wyjątkowemu układowi geologicznemu w tym jedynym miejscu Europy wyziera na powierzchnię ziemi o krok od wapieni jurajskich, obsługiwały one wytwórnice gumy syntetycznej i jej pochodnych w Dworach pod Oświęcimiem. Dla armii niemieckiej szła guma syntetyczna, dla robotników... niełamiące się grzebyki, w które dobrze była zaopatrzona kantyna kamieniołomów. Dwory zaś obsługiwali niewolnicy oświęcimskiego obozu. Krąg wyzysku, zwany „socjalistycznym” porządkiem pracy w „nowej Europie” (germańskiej), rozpoczęty na półniewolnikach z *Baudienstu*, z dziwną konsekwencją zamykał się tutaj.

Krąg przysł. Lecz nowy obraz hrabstwa tęczyńskiego, który tak nieprzerwanie i konsekwentnie narósł, pozostaje. Sieć rozprzestrzeniająca się z niewielkiego dworca pokryła już całkowicie dawną komórkę socjalną Potockich. Jej ostatnie ogniwo ujrzymy, kiedy dzieje *Haus Kressendorf* doprowadzimy do dni, w których piszę.

Rozpoczynaliśmy cytatem z Niemcewicza. Początek nowego procesu dostrzegł on równie dokładnie, co naiwnie: „Blisko Tęczynka znajdują się od dwudziestu kilku lat odkryte węgielne kopalnie częścią do księżnej Imci Lubomirskiej, częścią należące do innych. Węgiel ten nie jest lśkniący, nie jest najlepszego gatunku, lecz przez zakaz od

austriackiego rządu wywożenia drzewa z Puszczy Niepołomickiej, węgle z tej kopalni, a nierównie więcej z kopalni narodowych w Jaworznie, opatrują opalem Kraków, Wieliczkę i inne miejsca pobliskie. Byłem przy wybieraniu szyby jednej: węgle leżą tam warstwami, warstwa ilowatej ziemi i warstwa węgla. Dobywający je górnicy o kilkadziesiąt łokci głębokości, biorą po 1 floren na dzień; skromna zaiste zapłata za tę ciężką podziemną pracę. Przyzwyczajenie, potrzeba, czynią tę pracę znośną, a może i przyjemną”.

Prymityw pracy i płacy niewiele się zmienił, kiedy miejsce hrabstwa tęczyńskiego zajął

## HAUS KRESSENDORF

Drugi węzeł dziejów przypadnie bowiem w stulecie później od dnia kamienia węgielnego. Zapowiedzieliśmy, dlaczego on przede wszystkim wart jest uwagi: przecinają się tutaj nici, wywodzące się nie tylko z obrębu hrabstwa tęczyńskiego, ale z zakresu przemian, roszcujących sobie pretensje do panowania nad całą Europą.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego pałac wegetował. Nie oznaczał żadnych przemian, żadnego sensu nowego. Był i tyle. Mieścił cenne archiwa, zwłaszcza masonskie, jakie właściciele, przyznać to trzeba, przekazali latem 1939 roku do archiwum Akademii Umiejętności. Uchroniło je to przed zniszczeniem, którego wnętrze zaznało we wrześniu 1939 roku.

Którejś niedzieli pod koniec kwietnia 1940 roku, trudno dzisiaj powiedzieć, przez kogo naprowadzony, zjechał gubernator Frank. Oglądał pałac, folwark, okolicę. Całość musiała mu przypaść do smaku, albowiem w niewiele tygodni rozpoczęły się gorączkowe prace nad przebudową i urządzeniem wnętrza. Równocześnie dobra hrabstwa tęczyńskiego, zresztą maleńkie poza rozległymi lasami, miały przejść na własność każdorazowego gubernatora generalnego. Do tej dotacji dynastycznej jednak nie doszło, podobno dlatego, że Trybunał Administracyjny w Lipsku samej nieobecności właścicieli nie uznał za dostateczny powód do przelania ich majątku na imię Franka. Całość przeszła pod władzę *Liegenschaftu*<sup>77</sup> jako *Staatsbetriebe*<sup>78</sup> *Kressendorf*. Lasy, folwark, tartak, zakłady ceramiczne.

Przejęcie dóbr miano uczcić w sposób bardzo germański i bardzo makabryczny. W okolicy znajduje się zbiorowy grób kilkudziesięciu dywersantów, rozstrzelanych we wrześniu 1939 przez cofające się władze Śląska Górnego. Kazano już przygotować trumny i zwłoki miano przenieść uroczyście — gdzie? — właśnie na dziedziniec ruin zamku tęczyńskiego. Tym aktem przeszłość hrabstwa z jego wyglądem dzisiejszym miała być spięta jedną klamrą. Pomyśl nie został wykonany. Szkoda, tak był charakterystyczny.

Prace nad przebudową trwały wiosną i lato 1940 roku, pod koniec pracowano dniem i nocą. Projekt przebudowy pochodził od architekta Herberta Pohla, urządzili i wykonali wnętrza architekci Koetgen i Horstmann. Kierowali się w swoim przedsięwzięciu dwoma wskazaniem: higiena i reprezentacja. Higienę rozwiązano w prosty sposób, wedle powszechnej na *Ostraum* recepty niemieckiej: ten kraj posiada *za mało* WC i łazienek, by mógł być kulturalny. My ich posiadamy znacznie więcej, więc w tej samej proporcji jesteśmy bardziej kulturalni. Wmieszczono przeto w budowę niezliczoną ilość WC i łazienek. Wszystko z kafelkami.

O reprezentacji panów Koetgen i Horstmann warto pomówić szerzej. Najlepiej ją poznamy, zaglądając do kartek inwentarzowych, naklejonych po blejtramach obrazów wiszących na ścianach *Haus Kressendorf*. Nie spodziewano się zapewne, że będą je kiedyś oglądać polskie oczy, nikt bowiem nie pokusił się wcale, ażeby je usunąć, jak wydrapywano na przykład z pochodzącej z Belwederu sypialni napis w drzewie, do kogo należała. Kartki głoszą: Muzeum Narodowe w Krakowie, Warszawie, Muzeum Miasta Warszawy, Gmachy Reprezentacyjne Rzeczypospolitej, Łazienki, Belweder, Gabinet Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kolekcja Pinińskiego i tak dalej. Nawet naklejek, świadczących, że cykl Canaletta *Warszawa* znajdował się czasu ubiegłej wojny w leningradzkim Ermitażu, nie zdjęto. Na meblach, dywanach, zegarach, porcelanie, gobelinach rzecz podobna.

Kradzież? Nic podobnego. U początku sprawy stoi jesienią 1939 roku dekret gubernatora, jedno z pierwszych jego zarządzeń, którego mocą wszelkie dzieła sztuki będące

<sup>77</sup>*Liegenschaft* (niem.) — posiadłość; nieruchomości. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*Staatsbetriebe* (niem.) — przedsiębiorstwa państwowe. [przypis edytorski]

w posiadaniu prywatnym i muzealnym „zabezpiecza się na rzecz ogółu”. Dekret umyślnie sformułowany tak ogólnikowo, by dawał podstawę prawną dla wszelkiego rabunku. Dla pani gubernatorowej dystryktowej, która podobający się jej świecznik muzealny „zabezpiecza” we własnym mieszkaniu, dla pana architekta, który meble muzealne „zabezpiecza” znów u siebie, i tak w nieskończonej ilości wydań. Panowie Koetgen i Horstmann z „własnych” składów „dostarczali” urządzenia gubernatorowi. Meble i przystroje „zakupywali” zaś u państwa, które je prawnie zabezpieczyło; „zakupiwszy” — „odprzedawali”.

Nawet krąg Dwory-Czatkowice nie zamyka się pięknie od tej ulegalizowanej i sypiącej piękne dochody grabieży. Kiedy bowiem nie starczyło z muzeów i pałaców polskich, urządzenie przyjeżdżało z Francji; zważmy synchronizm dziejowy — jesteśmy w okresie kapitulacji Francji. Był to zatem typowo hitlerowski nowy ład z rabunku.

Przejdźmy chociażby kilka sal. Z kredensu, urządzonego z wszelkimi szykanami, wkraczamy do kremowej sali jadalnej. Wspaniałe wazy, olbrzymi dywan perski. Czarną kawę pijemy już w ogrodzie zimowym, przylegającym do sali, wśród palm i egzotycznej roślinności, w wysokiej ośmiobocznej rotundzie z kopią Thorvaldsenowskiego *Mercurio* pośrodku. Jedyna to pozostałość dawnego pałacu Potockich. Muzykujemy, kwartet, mała orkiestra smyczkowa, obok w zielonej sali muzycznej. Odpoczywamy w dalszych gabinetach, ciesząc oczy pięknym meblem empirowym, zegarem stanisławowskim. Ci parwienusze „narodowego socjalizmu”, dla których usłano to gniazdko, umieli podpatrzeć smak wielkopański, potrafiliby się nim cieszyć, niestety — o parę pokoleń za późno i w sytuacji tak przedziwnej, że nie sposób pojąć ich pewności siebie.

Najpierw pewna przypuszczalna cyfra. Przebudowa w latach 1940 i 1941, kiedy siła kupna złotego niewiele się różniła od przedwojennej, kosztowała prawdopodobnie 6–8 milionów złotych. Nawet odliczając zarobki przy transakcjach, o jakich była mowa, nawet pomijając, że robotnikom i rękodzielnikom płacono, ile zaśpiewali, suma ogromna. Toczy się najstraszliwsza z wojen, o której propaganda hitlerowska ustawicznie pisała, że chodzi w niej o „nagi byt” narodu niemieckiego, że wyteżone przeto być muszą wszystkie jego siły, a poniechany każdy zbytek. Tak wygląda fasada, w tych milionach podszewka rzeczy.

Sens moralny tego cynicznego zakłamania byłby nam ostatecznie obojętny, gdyby nie wyzierały spod niego dwie sprawy — jedna czysto polska, druga powszechniejsza. Pierwsza dotyczy reprezentacji panów Koetgen i Horstmann, kiedy się ją przymierzy do oficjalnego stosunku Niemców wobec dorobku kultury polskiej. Stałym argumentem kulturalno-historycznym imperializmu niemieckiego na naszych ziemiach było twierdzenie, że wszystko, co cenne w tym dorobku, jest pochodzenia germańskiego. Od Gotów, ojców *Goralenvolku*, po c.k. biurokrację galicyjską. Zgodnie z tym gubernatorowi Frankowi stopy ogrzewa — dywan konstytucyjny, oczy cieszy — waza i obraz Stanisława Augusta, odpoczynek daje — fotel Piłsudskiego. Nawet jada na ćmielowskiej zastawie prezydenta Mościckiego, a orzeł polski, zdzierany skrupulatnie z herbów i budynków, tutaj go nie razi.

Jest w tym postępowaniu gruby nieporządek. Ktoś, kto reprezentuje przekonanie, że kultura polska niczego nie wydała, nie powinien się otaczać wazami Stanisława Augusta ani jadać na porcelanie prezydenta państwa. Skoro zaś to czyni, mało że jest złodziejem — staje się człowiekiem, któremu to, czym rzekomo pogardza, właściwie imponuje. Imponuje tak dalece, że nie śmie się do tego przyznać.

Przebudowa nie tknęła zewnętrznego wyglądu pałacu. W tym poszanowaniu mamy nowe, a wielce zabawne oblicze kulturalnego argumentu germańskiego. Wśród architektów zajętych przebudową musiała zapewne krążyć głucha wieść o udziale Schinkla w powstaniu pałacu. Wobec tego mimo oczywistej brzydoty i niekształtności budowli, wykluczającej odpowiedzialność za nią architekta równie wielkiej klasy, mimo znanego notorycznie faktu, że pałac powstał w kilkanaście lat po śmierci Schinkla, uznano, że wygląd jego zewnętrzny spoczywa *in odore sanctitatis germanicae*<sup>79</sup>.

Rychle badania archiwalne samych Niemców (por. kwartalnik „Die Burg” ze stycznia 1944) ograniczyły odpowiedzialność Schinkla do właściwego rozmiaru, jednak teza nieetykalności pozostała i ustrzegła Haus Kressendorf przed jedyną, niestety, sposobnością nadania mu godniejszego wyglądu. Szczegół krzeszowski był bowiem niezmiernie do-

<sup>79</sup>*in odore sanctitatis germanicae* (łac.) — w aurze (dosł.: woni) świętości germańskiej. [przypis edytorski]

godny dla całej tezy: oto każdemu ciosowi miecza po wsze wieki zdobywającego ponownie niemiecki wschód towarzyszą ślady twórczego ducha germańskiego czasów minionych. Ślady te są „święte”.

Kiedy 19 stycznia z pierwszym oddziałem Armii Czerwonej wchodziłem w mury *Haus Kressendorf*, ciekaw jego wyglądu, papiery, dokumenty, niemiecka biblioteka, ubrania i bielizna, co najcenniejsze obrazy były wywiezione. Otwarte szuflady i szafy świadczyły o pośpiechu, z jakim to czyniono. Na biurku Franka leżał najświeższy, styczniowy zeszyt czasopisma „Das Generalgouvernement”. Lecz słoju z kompotami i butelek wina została w piwnicach ilość nader obfita. Raczyli się nimi znużeni żołnierze. Owe słoje i butelki najlepiej wprowadzają w tę powszechniejszą, europejską część usankcjonowanej grabieży. Chodzi o proste pytanie: dlaczego tak szybko biologiczny witalizm ideologii hitlerowskiej ukazał swoje pospolite oblicze — obżarstwa i wygodnictwa? Wszak prosty rozsądek zalecał jeszcze trochę cierpliwości, a później dopiero raje w cieniu zwycięskich mieczów.

Odpowiedź spoczywa we wschodnim obliczu niemieckiego światowida. Siedzący pośrodku Europy Niemcy zawsze inną twarzą zwracali się ku jej zachodowi, inną ku jej wschodowi. Jeżeli zachód tak długo pozwalał się mamieć przekonaniem, że środek Europy naprawdę nie z geografii tylko, ale z samego dna kultury do niej przynależy, to dlatego, że prawdziwego oblicza germanizmu nie widział on prawie nigdy. Dostrzegał jedynie uśmiech, jedynie pozór, podawany tym narodom, wobec których Niemcy nie śmieli się obnażać.

Prawdziwe oblicze znali tylko Słowianie, szczególnie my, Polacy. Oblicze germańskie, kiedy opadną z niego wszelkie maski, a wyrzy sama naga wola przemocy, rozrostu bezwzględności, tępoty psychologicznej, niszczytelstwa pod zaspokojenie własnego brzucha. Jest gorzkim, na szczęście całe niespóźnionym tryumfem Słowian, że tej wojny ową prawdziwą, dotąd jedynie zwracaną ku wschodowi twarz niemieckości ujrzała cała Europa. Bo oszołomionym powodzeniami w tej wojnie wydało się, że nareszcie wszędzie, nie tylko na wschód od Odry, mogą być sobą.

Był jednak dział rzeczywistości, na którym oblicze niemieckie zachowało swoją dawną dwoistość: sprawy kultury. Ileż naczytaliśmy się na temat dowództwa niemieckiego, które w swój plan operacyjny wciągało każdą katedrę francuską, byle jej nie uszkodzić. Ile samochwalstwa, że ani jeden obraz nie został rzekomo skradziony z galerii francuskich. Dywizja SS w sposób wzruszający ratowała bibliotekę z Monte Cassino, a inny generał SS lubelskiemu prałatowi wręczał kielichy i ornaty „uratowane” z Kowla przed wojskami sowieckimi. Słowem, armia złożona z samych muzealników i kustoszów. Byle nie ujrzeć jej wschodniego oblicza. Pomniki miast polskich, rękopisy Biblioteki Krasieńskich, piwnice krakowskie, zatłoczone zbiorami wleczonymi przy odwróceniu z Ukrainy, po cóż to wyliczać! Znamy doskonale — aż po *Haus Kressendorf* i jego kompoty.

Od zachodu była to bowiem „obrona wspólnego dorobku kultury europejskiej przed zalewem bolszewickim”. Od wschodu widzieliśmy, czemu ta obrona miała służyć: nasyceniu, nareszcie w jego najprostszym pojęciu. Nasyceniu, które najpierw usunie wszelkie ślady wspólnoty europejskiej istniejące w kulturze zjadanego, a później nareszcie strawi wszystko pozostałe. Dlatego w *Haus Kressendorf* polskie były jego dwie kondygnacje, zabytki po ścianach i kątach oraz służba w piwnicach, dla dozoru kompotów, win, zmiatania dywanów. Zabytki, które bez pośredniczącego głosu same nie przemówią, i służba, która niczego nie rozumie.

Na 1 września 1940 roku przebudowa części reprezentacyjnej została ukończona. Dnia tego pod sztandarami ze swastyką trębacze z *Hitlerjugend* głosili przyjazd dygnitarzy hitlerowskich. Goering, Goebbels, widziałem ich. Krótco potem „*Krakauer Zeitung*” przyniosła opis tej inauguracji i po raz pierwszy pojawiającą się wówczas nazwę siedziby — *Haus Kressendorf*. Po wieczne czasy świadectwo niemieckiej odbudowy, woli prowadzenia poczętego już w głębokim średniowieczu dzieła przodków itd. itd. Wnet i samo miasteczko przechrzczono na Kressendorf. Pałac zaś, chociaż odświeżony i przystrojony germańskim argumentem historycznym, wegetował jak przed rokiem 1939. Rodzina Franka mieszkała krótko, okazało się bowiem, że pani gubernatorowej nie dogadza klimat miejscowy.

Na tym się dzieje nie kończą. Jest aż do odwilży ciepły, słoneczny dzień lutego. W zimnym, niebieskawym krajobrazie tego czasu pałac płonie żarliwie żółtymi ścianami.

Niemiec, Polak, Wojna

Na zewnątrz żadnych ran nie dostrzeżesz. Wnętrze jest ponure, złupione. Pozdzierane obicia z foteli. Walają się strzępy beczennych dywanów. Lecz to zaniedbanie czasowe jest tylko epizodem, otwierającym lepszą i sensowniejszą przyszłość

## AKADEMII LEŚNEJ W KRZESZOWICACH

Do tego dobija nazwa *Haus Kressendorf* w hrabstwie tęczyńskim. Nie łupieska i cyniczna reprezentacja najeźdźcy. Nie pusty i mało komu przydatny pałac, prywatny. Na bramach parku i budowli bieleją nalepki, że zostają one przeznaczone na Akademię Leśną i Państwowy Instytut Badań Leśnych z siedzibą w Krzeszowicach. To poczynające się ogniwo dziejów *Haus Kressendorf* pozostanie jego ogniwem trwałym. Czuwa już bowiem nad nim gwarant. Przed frontem budowli przechadza się wartownik, żołnierz Rzeczypospolitej. Oto zarazem, by do zapowiedzi powrócić, ostatnie ogniwo sieci, pod którą ginie utrwalona przed wiekiem komórka socjalna.

Czym zaś w tym całym rozwoju okupant niemiecki? Tym jednym zdaniem: takie raje w cieniu mieczów są niczym raj biblijny. Wypędzają z niego i nawet wspomnienie nie pozostaje. Wypędzają razem z fałszywymi prorokami.

luty 1945 r.

Nieco dalszego ciągu po latach dwunastu.

Upór obydwu pertraktujących stron czy może pekuniarna<sup>80</sup> małoduszność niedoszłego nabywcy spowodowała, że w dziejach *Haus Kressendorf* zabrakło listka, który by je ozdobił i uczynił jeszcze dobitniejszymi tam, gdzie były one puste — w dwudziestoleciu międzywojennym.

W jakiś czas po napisaniu tego szkicu od wzorowego miejscowego notariusza, Adolfa Reaourga, dzisiaj na stałe gościa krzeszowickiego cmentarza — nie wiązała go już podówczas tajemnica zawodowa, przez notariuszów przestrzegana jak przez spowiedników — dowiedziałem się, że na krótko przed wojną pertraktował z Potockimi o kupno Krzeszowic Józef Beck, minister spraw zagranicznych. Rozmowy były daleko posunięte, rozbiły się o niewielką różnicę zdań. Żądano 700 tysięcy złotych, pełnomocnicy Becka proponowali 650 tysięcy. Szkoda, bo gubernator Hans Frank jako bezpośredni następca ministra Józefa Becka — o ileż więcej logiki eseistycznej, a w istocie historycznej.

Strug czystej wody płynący w bok pseudogotyckiego kościoła i u stóp klasycystycznego pałacu, co gościł ongiś ks. Józefa, został przed laty ujęty w piękny bulwar betonowy. Żelazne, odkute przez solidnego majstra kraty czyniły go bezpiecznym dla dzieci i pijaków trzeźwiących się przy siarczanym źródle, które nad brzegiem strumienia ujęte zostało w postaci piętrowej kapliczki z daszkiem jak u pagody, źródle pryskającym w błękitno-żółtą od siarczanego osadu muszlę z kamienia. Budował ten bulwar mój ojciec. Zarosły go ponownie gęstymi fontannami zieleni krzewy i drzewa płaczące, sięgając pluszczącej wody swą drżącą miotłą. I znów jak za Niemcewicza użyczają i cienia, i chłodu potokowi, a nam, przechodniom poprzez czas idącym — przyjemnej świeżości.

Nie opowiedziałem dokładniej, małoduszny, co działo się w murach pałacu, zanim stanął przed nim ów patetycznie nazwany gwarant. Najpierw po szeroko rozłożonych i każdemu otwartych salach snuł się tłum trochę onieśmielony, pokazywałem kartki z pochodzeniem zachowanych dzieł sztuki, tłumaczyłem. Na ścianach wisiał cały cykl Canaletta.

Rychło zaczął się rabunek, zrazu nieśmiało, później coraz odważniej. Czynili go miejscowi. Dobrze pamiętam tę kobietę, która z dywanu konstytucyjnego, wzięwszy najpierw u siebie dokładną miarę, taką szerokość i długość wycinała po bordiurze, jaka jej była potrzebna do sionki. Nic nie pomagało. Dwie odrębne władze ujawniły się kolejno pierwszego dnia, „londyńska” najpierw, „lubelska” po niej, milicjanci sami pomagali w grabieży.

Towarzysze z nocnych wędrówek zakładników powiadali później: — Bo pan byłeś głupi, panie Wyka. Trzeba było podjechać wozem i zabierać, póki czas, co lepsze. Po dzień dzisiejszy, kiedy patrzę na zimne, trochę oschłe i dokładne światło warszawskich wędut Canaletta, widzę je zmieszany z tym styczniowym światłem, wśród rozwianych

Kradzież, Lud, Chciwość,  
Sztuka, Polak

<sup>80</sup>pekuniarna (z łac. pecunia: pieniądź) — pieniężna; finansowa. [przypis edytorski]

firanki i wybitych szyb, zgoła nie pojmując, jak to się stało, iż nie utraciły one podówczas ani centymetra kwadratowego zamalowanej swej powierzchni.

*Haus Kressendorf* leży nieopodal katowickiej szosy i przeciągające oddziały frontowe uważały za swoje prawo nieco od takowej zboczyć i zaznać przedsmaku zdobytego Berlina. Pozostawiając właściwą żołnierzowi frontowemu pamiątkę, od strzału w lustro poczawszy. W pobliskim browarze tęczynskim pozostały niewywiezione, wspaniale zapatrzone esesmańskie składy win i spirytualiów. Też wystarczyło zboczyć lub podesłać prowiantowych. Rowy drogi wiodącej w tym kierunku były aż do wiosny, naprawdę, z poziomem szosy wyrównane butelkami. Zdarzało się w życiu pić bimber oddzielnie, szampana oddzielnie, ale tylko w te dni napojem zwycięstwa dla całej okolicy był bimber z szampanem wspólnie.

Dawny pałac Potockich zagościł ostatecznie i gości stale inną instytucję o charakterze dobra ogólnego: Państwowe Zakłady Wychowawcze im. Tadeusza Kościuszki. Szkoła podstawowa, liceum, internat. Zbiory dawniejszych właścicieli też miały później losy godne przypomnienia: ukryte w klasztorze kamedułów na Bielanach pod Krakowem z zamiarem wywozu za granicę, wykrytym przez władze, zakończonym wyrokiem, znalazły się ostatecznie w Warszawskim Muzeum Narodowym.

Wreszcie opowieść miejscowa głosi, że wdowa po namiestniku Andrzeju, Krystyna z Branickich, która przeżyła drugą wojnę światową i przed śmiercią na pewien czas powróciła do kraju, przyjechawszy na kilka godzin do dawnej posiadłości i zobaczywszy, czemu służy, miała oświadczyć: — Wszystko w porządku. Tylko dbać i nie niszczyć.

Obawiam się, że nie wszystko ze słów starej pani namiestnikowej spełnia się według jej i naszej woli.

1957 r.

## MIECZ SYRENY

Z nielicznych pomników Warszawy, które ocalały, dwa posiadają szczególną wymowę, równą symbolowi nieledwie. Kiedy pierwszy raz Tamką schodzisz na Wybrzeże Kościuszkowskie, w perspektywie ruin wita cię, przybyszu, sylweta Syreny. Twarzą zwrócona na północ, tarczą osłania się od grozy, staczającej się ku niej Powiśle. Mieczem i Wisłą tnie miasto na dwa miasta tak niesamowicie różne, że tylko ona, zwodnicza i piękna, podobnego cięcia dokonać mogła. Mieczem rzecze wskazuje bieg i przyszłość.

Kiedy w dzień Wielkiego Piątku spojieram w jej twarz, której ani jedna kula nie dotknęła, gazeciarze biegnący od mostu wywołują zdobycie Gdyni i Gdańska. To Syrena, po wieczne czasy, z samego serca swego tragicznego miasta, dobywa miecz i wbija w ujście rzeki, nad którą czuwa. U jej stóp, wśród potarganego bruku, szczyrzy się rów strzelecki i dlatego Syrenie nie wytrącił miecza dynamit *Kulturträgera*. Całe miesiące stała w pierwszej linii frontu i w sposób najbardziej dosłowny była żołnierzem.

Kiedy łuską iskrzy się Wisła w słońcu marcowym, nie mogę opędzić się myślom, że tak stała na swoim — wyznajdzie mi lepsze słowo — posterunku w mgły listopadowe, w mróz i lód skuwający rzekę, że nocami blask reflektorów wydzierał jej kształt z ciemności i żołnierz z brzegu przeciwnego dziwił się tej niesamowitej kobiecie. Nie jestem w stanie zapomnieć, że obok jej cokołu prześlizgiwał się hełm niemiecki i niszczyciel, który zajrzał w jej wyniosłą twarz, jeżeli była w nim resztką człowieczeństwa — musiał zdrzeć. Nie mogę zapomnieć, że jeśli nadejdzie kiedyś okres nowej sztuki symbolicznej, Syrena z Tamki przemówi głosem, jakim posągi Łazienek mówią w *Nocy Listopadowej*.

Idźmy dalej. Toboły, szafy, krzesła płyną na most u wylotu Karowej. Brzegu Wisły nie opuszcza rów strzelecki. I z tego rowu wyrasta znów żołnierz spiżowy. Wznosi patetycznie sztandar. Ponieważ jest tylko pomnikiem, wybacmy mu ten banalny i niewczesny gest. Twarzą zwrócony ku Pradze, szablą przyzywa oddziały swoje. Tym mostem przeszły dawno. Są już w Kołobrzegu, Gdyni, Gdańsku, tam gdzie Syrena wskazała im drogę. Niektórzy pozostali. Żołnierze sowieccy z baterii przeciwlotniczej strzegącej mostu malują hełmy na letnią zielen. Żołnierze polscy regulują ruch na przedmościu. Wszyscy przyszli stąd, skąd ich przyzywa szabla skierowana ku Pradze.

Żołnierz, Alkohol,  
Zwycięstwo, Pijaństwo

Warszawa, Wojna

Powrócimy jeszcze do wymowy tych posągów. Spieszmy dalej, na Nowy Zjazd, na Wybrzeże Gdańskie. Kto pragnie o zniszczeniu Warszawy mieć sąd, jaki nie opuści go do końca życia, niech nie wkracza w ulice, które mu były drogą. Ogarnie go ból lub gorycz, a wszelkie wzruszenia są tutaj nie na miejscu. Temu miastu trzeba patrzeć twardo w wypalone i ośleple oczy, inaczej niczego nie dostrzeżesz. By tak spojrzeć, należy je widzieć od Wisły.

Miasto każde, widziane z odległości, posiada swój krajobraz. Mury, wieże i kościoły nie zmieniają miejsc w ciągu wieków i kto najlepiej chciał widzieć krajobraz Warszawy od strony Wisły, ten przywoływał pamięcią panoramę stolicy malowaną przez Canaletta. Ja przynajmniej czyniłem tak zawsze. Schodzę z Nowego Zjazdu, zamykam oczy i widzę ją wciąż pamięcią wzroku, nasyconą tym samym precyzyjnym światłem co dzisiaj. Nie chcę podnieść powiek, bo tego krajobrazu, co we mnie bije, nie znam zupełnie. To miasto jest mi obce, tak skończenie obce i inne, jak łańcuch gór, który by wyrósł tam, gdzie go nigdy nie oczekiwał. Daremnie w poszarpanej sylwecie tego łańcucha szukać jakiegokolwiek podobieństwa z dawnym krajobrazem Warszawy. Doznaję wrażenia, i to jest najsilniejsze, co wyniosłem z Warszawy, że stoję w obliczu *całkiem nowego i niewidzianego dotąd zjawiska przyrody*.

Kto zniszczenie dokonane w Warszawie będzie chciał interpretować jako dzieło ludzkie, ten nie dotrze do sedna rzeczy. Warszawa stoi na tej granicy, gdzie rozmiar spustoszenia i zła, dostępny człowiekowi, przechodzi w działanie równe siłom przyrody. Przerazenie zaś i groza stąd się biorą, że na Warszawie widać, czym byłyby siły przyrody, gdyby posiadały złośliwość człowieka i systematyczność Niemca, słowem, gdyby prócz potęgi swojej posiadały cechy ludzkie. Niech pozostanie haniebną sławą narodu, który wydał największą ilość filozofów, że to on w czasie swego najgłębszego upadku nie przestał być narodem filozoficznym, ponieważ przesunął wszelkie doświadczone dotąd granice pomiędzy siłą człowieka a siłą przyrody. Ponieważ w sposób filozoficzny a namacalny dowiódł, że tzw. kultura środka Europy posiadała w naszych latach wszelkie elementy samostrawienia i samozniszczenia. Ten dowód filozoficzny, jeżeli o ciałach ludzkich mowa, przeprowadzały piece krematoryjne. Jeżeli o ciało kultury i historii chodzi, preparatem stała się Warszawa.

Na trzęsienie ziemi, powodzie, zgorzeliska, gradobicia nie reaguje się lamentem. Tym więcej na zjawisko, które przekracza wszelkie podobne katastrofy. Dlatego to w obliczu Warszawy wszelkie wzruszenie jest małostkowe i niewczesne. Z powodzi i trzęsienia ziemi ratuje się, co jedynie uratować można, i od razu myśli się o planie nowego domu. Stąd nie potępiałbym ryczałtowo tego potoku, co z kilku deskami, ramą od obrazu, ułomkiem krzesła spieszy do mostu, ponieważ ten potok posiada swoją słuszność. Słuszność chłopca, który ze zgorzałej chałupy wyciąga przepaloną miszkę i łyżkę i zabija dziury w płocie wokół nieistniejącej sadyby.

W ten nieznan mi krajobraz wchodzi wąwozem, którego nazwę, gdy był ulicą, może znałem. Wkraczając na Stare Miasto, wnikasz w najbardziej patetyczną część Warszawy. Uliczki z pieśni Or-Ota przeorane są do fundamentu i odrzucone jak potworne skiby gruzów. Ciała domów, które sterczą jeszcze, potargane nad wszystko, co słowo jest zdolne wypowiedzieć. Ponieważ wiem, że tutaj był dom Skargi, a tam katedra, widzę je jeszcze, chociaż widzę tylko przestrzeń i obłoki. Ci, którzy nie widzą tego, ci z obcych narodów i ci młodzi, nie ujrzą nigdy.

Gdzieś na Podwalu wiatr przywiewa mi pod nogi papier. Podnoszę i czytam — Parry, 5 X 1912. Hotel de Hollande, 18–20, rue de la Paix. Widzę ją teraz, w tym samym powietrzu marcowym, spokojną i żywą rue de la Paix<sup>81</sup>. Tutaj jest inna ulica — ulica polskiego pokoju. Czytam dalej: „Przesyłam panu adres mój w Lozannie (Szwajcaria), proszę o parę słów wiadomości. Przypominam Panu, że komorne za moje mieszkanie Rb 250 trzeba niezwłocznie wpłacić do zarządu dóbr Czartoryskich. Krak. No 7, druga brama na dole. Ach, prawda, czy dużo wysłaliście mebli do Petersburga?”

Obok stoją inne listy. Na resztkach zgorzałych bram Zalewscy donoszą, że są na Kole. Ktoś szuka Edwarda, ostatni raz go widzieli na barykadzie na Freta. Nie szukaj daleko, nieznan. Polacy mają ten dziwny obyczaj, że dla swoich wielkich ludzi, po śmierci, z pia-

Warszawa, Ruiny, Natura,  
Kondycja ludzka, Niemiec,  
Żywioty, Lud

Warszawa, Wojna, Ruiny

Miasto, Grób, Warszawa,  
Śmierć bohaterska, Ruiny,  
Polak

<sup>81</sup>rue de la Paix (fr.) — ulica Pokoju. [przypis edytorski]



sku i gliny sypią z daleka widoczne kopce. Na tym wzgórzu nad Wisłą usypali nad twoim Edwardem i nad przyjaciółmi jego najkosztowniejszy kopiec, jaki zna historia. Przemieszali bohaterstwo swoje i lekkomyślność, nierozsądek i ofiarę, zaprawili popiołem bibliotek, a niewiele ich mają, przemieszali rumowiskiem zamków i starych kościołów, a na palcach je liczą, stare cegły skropili krwią, by były czerwieniejsze, i oto stąpaj po kopcu, który musi być niekształtny, skoro z takich elementów zbudowany, i szukaj kredą swojego Edwarda.

Najdziwniejszy cmentarz Warszawy jest tutaj, na międzymurzu odsłoniętego przed wojną urywka murów średniowiecznych. Ten ceglasty zygzak, starannie odznaczający po ścianach wpisanych na niego domostw — potąd autentyczne i z epoki, a za tę wyższą resztę nie odpowiadają, ten zygzak i zakole trwa nienaruszony. Nie pojmuję, dlaczego ani jeden z domów, którym przecież było wolno przewracać się na każdą stronę, nie wybrał tego międzymurza. Może bym uniknął widoku spraw, które zawsze sąsiadują w charakterze Polaków — patetyczna szarża i porządna niedbałość nasza. Polegli przeważnie w ostatnich dniach sierpnia. Byli z plutonu czołgów i z plutonów przeciwpancernych. Nie było czołgów, były butelki z benzyną. Pod tamtą trumną nie kopano dołu. Obsypano ją po prostu ziemią. Teraz deszcze zmyły ziemię, ktoś oderwał deskę, i musisz odwracać oczy.

Było dużo historii w tych ciasnych uliczkach. W tych Piwnych, Nowomiejskich, Kapitulnych. Nie śniły, że taka będzie ich apoteoza, że tak przejdą w historii oklasku, który składa się z bomb, z najcięższych pocisków, z kanonierek plujących od Wisły. Myślę, że skoro już nie ma tych uliczek i rynku, trzeba mieć odwagę dalszej konsekwencji. Mówimy o odbudowie Warszawy. Już słyszałem młodego człowieka, że zbudujemy nareszcie szklane domy etc. Niech przekłete będą chwile słabości wielkich pisarzy, kiedy padają w ich pismach słowa, które na całe pokolenia mącą wyobrażenia ludzi, z szacunkiem podchodzących do wszystkiego, co oni pozostawili.

Mówiąc o odbudowie, polskim obyczajem przeskakujemy parę najbliższych ogniw rzeczywistości. Dzisiaj należy mówić przede wszystkim o zburzeniu Warszawy. Nie tym, które rozpoczęli Niemcy, ale tym, które skończyć musimy sami. Nim rozpocznie się odbudowa, *Warszawa Śródmieścia i Starego Miasta musi być do szczytu zburzona*. Tym szlachetnym maniakom, którzy z rurą od piecyka i kawałkiem dykty uczepili się niespalonego pokoju w trzeciej oficynie na Hożej, trzeba rzec, że ta oficyna też będzie zmieciona, tym razem polskim dynamitem. Na dawnym założeniu urbanistycznym Warszawy niewiele się daje uratować i niewiele uratować warto. Krakowskie Przedmieście, saski rzut miasta z placem Saskim, to chyba wszystko. Z reszty niech zostaną tylko nazwy, i to nie wszystkie, ponieważ ulic powinno być mniej. Prawdopodobnie wkraczam w nie swoje kompetencje, sądzę jednak, że ludzie, którzy odbudowują Warszawę, myślą kategoriami jej zniszczenia, a nie jakiegokolwiek, choćby najbardziej cennego, sentymentu wobec przeszłości.

Kategoriami zniszczenia należy przede wszystkim myśleć o Starym Mieście. Tutaj najtrudniej nimi myśleć, tutaj najbardziej mąci sprawę sentyment. Powiem prosto: nie powinno się tych zoranych skib podnosić i na nowo czynić bruzd Świętojańskiej, Dunajów wąskich i szerokich. Wiem, że mnie zakrzyczycie — kult przeszłości, tradycje, Or-Ot, Kiliński, wartość zabytkowa.

Wszystko to wiem, ale myślmy kategoriami zniszczenia: czy te wszystkie argumenty istnieją jeszcze, czy jest z nich tylko popiół i wspomnienie? Czy każda odbudowa według takiego schematu nie byłaby pospolitym fałszerstwem? Dla kogo i po co? Pomijam już to, czy stać nas będzie niezliczone miliony wkładać w odtwarzanie ciupek średniowiecznych, legowisk odwiecznej gruzlicy i wenerii, a jeśli tylko fasady domostw uszmkujemy ku przeszłości, cóż za lichy teatr tam, gdzie orała Historia do fundamentów? Już bym wołał nie tykać tego krajobrazu, obwieść go autostradą, usadzić przy niej restauracje i dancingi, zamówić gwiazdki w przewodnikach, niech wokół ruiny kołują bogacze z Zachodu i zostawiają dolary na odbudowę reszty.

Stoimy ciągle na rynku staromiejskim. Bywa w Warszawie większa cisza aniżeli tutaj, ale nawet pośród ciszy absolutnej to miasto jest żywe. Pojmuję to niespodziewanie, kiedy pod ocalałą kamienicą Baryczków ludzi, co przytulili się w izbie frontowej, pytam o dalszą

Warszawa, Miasto, Ruiny,  
Wojna

Warszawa, Ruiny, Miasto

drogę. Palcem wskazuje ktoś w obłok i powiada: pójdzie pan przez kamienicę, już nie pamiętam dokładnie, jak powiedział, później — lecz tej reszty już nie usłyszę. Zatem ta kamienica naprawdę istnieje dla niego na obłoku, zatem on ją widzi i dlatego, że widzi wbrew świadectwu zmysłów, mieszka tutaj. Od tego ruchu pojąłem, jak trzeba rozumieć dzisiaj Warszawę, by dostrzec, dlaczego to miasto jednak żyje.

Warszawa jest jak palimpsest. To są te stare pergaminy, z których przed wiekami wymazywano dawny tekst, by wpisać nowy. Dzisiaj uczeni umieją i stary, i nowy tekst odczytać. Ziemia tego wysokiego brzegu nad Wisłą musiała być widocznie równie rzadka i cenna, co pergamin, jeżeli tyle tekstów w nią wpisano. U spodu przeziera tekst niesłyszany dawny, chociaż jeszcze rok temu prawie cały był żywy. Warszawa, która handlowała na placu Żelaznej Bramy, o sztuce plotkowała na Mazowieckiej, interesy grubsze załatwiała na Marszałkowskiej. Z tego tekstu fizycznie nie ma śladu. Żyje on tylko w pamięci ludzi, którzy powracają. Przysypany został warstwą najgrubszą, sprawiającą nieczytelność pozorną — warstwą ruin, pożaru i ran zadanych w walce.

To tekst drugi, aktualnie najwidoczniejszy, ale tekst pisany tak opaczoną ręką, że zniknie jak zły sen. Bo już na nim, w tych tygodniach wczesnej wiosny, pisze się najbardziej wzruszający tekst trzeci, który też kiedyś przeminie. Na piśmie ruin te tysiące, które wracają do Warszawy, usiłują odtworzyć niedawny, w ich pamięci trwający tekst miasta: wiedzą, że trzeba handlować, plotkować, pić wódkę, żyć. Lecz to pismo wyniesione przez nich spod ruin nakłada się w sposób najbardziej fantastyczny i powierzchniowy na dzisiejszy plan miasta: jakbyś na rzucie domu piętro nałożył umyślnie koślavo, by kuchnie wypadły tam, gdzie salon, a salon zawisł nad pustką.

Tak więc Kercelak, Żelazna Brama i Pociągów przeniosły się pod Dworzec Główny, Poznańską i Nowogrodzką nie sposób się precyzować. Tu jest handel drobny i pokątny dzisiejszej Warszawy. Marszałkowska z grubszym interesem, Krakowskie Przedmieście z ministerstwami uciekły daleko, aż na Pragę. Nazywają się dzisiaj Targowa i Wileńska. Wszystkie ministerstwa pomieściły się w jednym gmachu, który dla jednej dyrekcji kolei był podobno za ciasny przed wojną, i dwóch dyrektorów departamentu przyjmuje w jednym pokoju, a kiedy u jednego dyrektora klient siedzi, u drugiego stać musi, bo nie ma drugiego krzesła. Tak je należy ujrzeć, by pojąć, że choć śmiertelnie ranne, miasto jest żywe.

W tym pośpiesznym palimpseście stolicy nie wszystko było konieczne do odtworzenia, by miasto poczęło żyć. Tam gdzie kupowałeś książki i plotkowałeś o sztuce, są sprawy fantastyczne. Pod wieczór jestem na miejscu, które według mojej wiedzy było placem Napoleona. Teraz zryte jest krągłymi lejami, w lejach zbiera się zielona woda i są to doprawdy Zielone Stawki Gąsienicowe z turnią Kościelca zamiast Prudentialu. Pada deszcz, jest ślisko i napotkani mówią półgłosem. W ciszy wąwozu, który był Mazowiecką, gdzieś głęboko pod kamieniami pluszcze woda.

Tyle jest pokładów w palimpseście stolicy. Jest wreszcie tekst ostatni, ledwo jak mgła zapowiedziany paroma objawami. BOS to skrót równie popularny co PIM, IPS przed wojną; Biuro Odbudowy Stolicy. Nie widziałem tego mitu. Jest gdzieś na Chocimskiej, a Mokotów daleko. Natomiast widziałem tory Dworca Wschodniego zatłoczone wagonami, ludzi wynoszących drewniane ścianki i belki fińskich domków. Z tych drewnianych ścianek powstaną po latach perspektywy ulic piękniejszych niż rue de la Paix.

Patrząc na kobiety za stolikiem z kwasem, oglądając tych mężczyzn, co jakimiś przemyślnymi sposobami z kawałków desek kleją kramy, czytając te dykty głoszące pod wypalonymi piętrami, że tutaj kawiarnia Pod Cylindrem, te cudowne, tylko przez podwarszawskich ogrodników wypielegnowane kwiaty widząc w kwaciarniach, które powstały już pośród ruin, na tę fenomenalną żywotność patrząc, czuję dopiero zmieszany z gniewem żal. Jedyne uczucie, które wolno wypowiedzieć głośno, albowiem dotyczy sprawy nawet od zniszczenia Warszawy donioślejszej. Gdybyśmy siłę przewidywania i rozsądnego spokoju choć w części posiadali tak wielką, jak mamy siłę regeneracji, jakim wielkim byłibyśmy narodem. Lecz my jesteśmy jak człowiek, który już nieraz odrąbywał sobie dłoń i przekonywał się ze zdumieniem, że przeciwnie niż u pozostałych ludzi, dłoń mu odrasta. Nabral przeto obyczaju, by zawsze dłonie swoje rąbać. Tym razem odrąbał całą rękę. Na pewno odrośnie. Lecz tym razem powiadamy sobie spokojnie: *dosyc*. Więcej już nigdy.

Warszawa, Miasto, Słowo,  
Lud, Literat

Polak, Polska, Naród

Drewniany most jak aorta tłoczy strumień ludzki z Pragi na Powiśle, z Powiśla na Pragę. Syrena rzeką i mieczem przecięła miasto i jest ono teraz jak człowiek, który miał dwa płuca. Jedno było świetne i pracowało oddechem sprawnym. Drugie płuco ledwo się zauważało — najwyżej powiadając: ach, jaka ta Praga jest brzydka. Dzisiaj płuco świetne zostało wydarte na lata, a miasto żyć musi. Z wysiłkiem potwornym pracuje tym płucem gorszym, dyszy od nadmiaru zadania, wypracować nim musi tkankę regeneracyjną, a przecież samo jest poszarpane wojną. Przecież i tutaj są kościoły o najbardziej fantastycznym zniszczeniu, i tutaj dzieci się bawią pomiędzy grobami. Jakże piękna jest Praga Inżynierskich, Białostockich, Otwockich, Praga żywa.

Płuco dyszy wysilone i wszystkiemu poddało. Bo serce jest nietknięte, aorta tłoczy strumień ludzki pełen wytrwałości, sprytu, wiary. Krew Warszawy posiada dzisiaj inny skład aniżeli do czasu powstania. Brak w niej ciałek błękitnych i pod błękitne podpadających. Składa ją lud i urzędnik czuwający nad całością państwa. Ta krew jest surowa i zdrowa.

I tutaj, na Pradze, oddaję się jednemu marzeniu. Widzę, jak to płuco, spełniwszy swoje, pocznie pracować tętnem wolniejszym, jak osłabnie z dokonanego wysiłku i ujrzymy, że było nie mniej ranne, a jeśli nie spoczęło, to dlatego, że mu spocząć nie było wolno. Damy mu odpoczynek: tę brzydką, przycupniętą za mostem Kierbedzia Pragę zburzymy sami — z wdzięczności. By za jej pracę regeneracyjną uczynić ją piękniejszą, niż kiedykolwiek była.

Wówczas dopiero wypełni się wymowa posągów, obok których ciągle przechodzimy, wytłoczeni z mostu. Na przecięciu linii, które przedłużają się z miecza żołnierza i z miecza Syreny, leży punkt idealny, według którego musi się kierować historia nasza. Syrena mieczem wskazuje morze i północ. Żołnierz od wschodu przyzywa pomocy i stamtąd ona nadeszła. Tych linii nie ustanowił przypadek, a ich przecięcie nie jest prawdą chwilą tylko.

Budując nową Warszawę nie chcemy, byśmy kiedykolwiek powtórzyć musieli o jej kamieniach słowa, którymi żegnamy tragiczny krajobraz stolicy — „z bruku twojego chciałbym mieć kamień, na którym krew i łza nie świecą<sup>82</sup>”.

1945 r.

## FAUST NA RUINACH

Logika myśli myślanych nocą jest inna od logiki dziennej. Noc już głęboka. Na zakręcie ulicy rosną przed moim oknem nadwiślańskie topole. Jest ich kilka, wierne towarzyszyki nocnych godzin. Egzemplarz *Fausta*, który leży na biurku, nie daje się czytać jako egzemplarz *Fausta* po prostu. Każę myśleć o sobie logiką myśli nocnych.

Czarny tom jest dosyć zniszczony, jakby wydobyty spod gruzów. Nosi pieczętkę: *Der Stadthauptmann in Warschau. Deutsche Bücherei*. Na zachowanej naklejce czytelniczkiej data: ostatni raz wypożyczony był do czytania 17 czerwca 1944 roku. Kiedy w Wielki Czwartek ubiegłego roku — po raz pierwszy po powstaniu przyjechałem wówczas do Warszawy — wracałem na nocleg przerażony i zgnębiony, ten czarny egzemplarz był pierwszą książką, jaką ujrzałem wśród ruin. Na Nowym Świecie, we wnętrzu wypalonego domu, walizeczka, jakieś szpargały. Chociaż miałem już *Fausta* — kupiłem. Ponieważ było to w spalonej Warszawie — kupiłem. Dlatego, że był Wielki Tydzień — kupiłem.

*Welch tiefes Summen, welch ein heller Ton  
zieht mit Gewalt das Glas von meinem Munde?  
Verkündiget ihr dumpfen Glocken schon  
Des Osterfestes erste Feierstunde<sup>83</sup>?*

<sup>82</sup>z bruku twojego chciałbym mieć kamień, na którym krew i łza nie świecą — końcowy fragment wiersza Cypriana Kamila Norwida *Dedykacja* z 1866 r. (cyt. lekko zniekształcony, w oryginale: „Z bruku twego radbym mieć kamień (...)” itd.) [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Welch tiefes Summen (...) erste Feierstunde* (niem.) — „Jaki dźwięk pełny, jakież jasny ton / Czarę przemocą od ust mi odkłania? / Czy już zwiastuje mi ten głuchy dzwon / Pierwszą godzinę Święta Zmartwychwstania? (Goethe, *Faust*; przekład Władysława Kościelskiego). [przypis autorski]

Coraz głośniejsze pluszcze dorożka. To wspomnienie z filmu. Uciszyła się muzyka i pod-  
pływają łodzią do brzegów atolu. Splątane korzenie przybrzeżnej roślinności. Wyglądają  
jak pokręcone i z wody sterzące węże. W encyklopedii: namorzyny mangrowe. Krótka  
fala klaska i pluszcze. Cichnie za rogiem domu. Conrad, Gauguin, *Noa-Noa*. Noa-noa  
znaczy bardzo wonna. Bardzo wonna wyspa i dziewczyna. Modli się dziewczyna tahitań-  
ska:

Kolonializm, Kobieta,  
Mężczyzna, Wyspa

I strzeż mnie przed tym, co krąży grózb pelen,  
Co lękiem rad jest przejmować;  
I przed tym, komu włos się zawsze jeży.

Wyprawa Bronisława Malinowskiego na Wyspy Trobriandzkie miała niewątpliwie cele  
czysto naukowe i poznawcze. Nie podejrzewam, by kierowały nim te same pobudki, jakie  
francuskiego malarza zaprowadziły na Tahiti i od noża francuskiego marynarza kazały  
mu tam zginąć w obronie tubylczej dziewczyny. Zginął, chociaż zrazu nie ufał wonnym  
dziewczętom. Obawiał się choroby, którą przynoszą im Europejczycy, jako — tak sam  
powiada — pierwszy stopień wtajemniczenia w cywilizację.

Wśród obrazów Gauguina znajduje się niewielkie płócienko nazwane *Sąd Parysa*.  
Zdradza ono w żenująco prosty sposób, za co uważał on swój pobyt na wyspach szczę-  
śliwych dziewcząt. Boginiami oddanymi pod ów sąd są trzy obnażone dziewczęta tahi-  
tańskie. Sądzi je natomiast anioł ze skrzydłami, ale nie anioł tahitański, lecz w postaci  
białego młodzieńca. Gauguin nie był cynicznym zdobywcą kolonialnym, a przecież py-  
cha białego człowieka w obliczu ludów kolorowych rzadko kiedy przemówiła w sztuce  
równie jaskrawo. I jego morderca płótno to na pewno by zrozumiał i zaaprobował, bo  
z francuskiej kanonierki zstępował na ląd również jako taki anioł i Parys w jednej osobie.

Wyspy Trobriandzkie i Wyspy Salomona są tak dalekie, że nawet średniowieczne mapy  
zupełnie ich nie znają, chociaż tak lubią wyspy fantastyczne.

Pewien szczegół z ich historii mówi o tym jeszcze dobitniej. Odkryli Wyspy Salomona  
hiszpańscy żeglarze pod koniec XVI stulecia i na całe dwa wieki zostały zapomniane.  
Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, kiedy filozofowie szukali po dalekich lądach  
poniechanych rajów ludzkości, znów do nich dotarł i ponazywał je z francuska wielki  
żeglarz Louis Antoine de Bougainville.

Kolonializm, Historia

Przed drugą wojną światową obwieszczali publicyści, że centralnym basenem poli-  
tycznym świata staje się Ocean Spokojny. — Świat białego człowieka rośnie — głosili.  
Zrazu jak pleśń obsiadał przybrzeżne skały i piaski Morza Śródziemnego. Spelznął z nich,  
ominął słupy Herkulesa i centralnym oceanem globu uczynił Atlantyk. — A teraz —  
przepowiadali publicyści — Atlantyk staje się jedynie wewnętrzną zatoką świata białych,  
a miejsce przyszłych wojen przenosi się na Ocean Spokojny. Tezy podobne również są  
efektywne i słuszne, co nic nie mówiące. Błyskotliwie stwierdzają objawy, niczego nie  
uczą o powodach. Dobrze się natomiast godzą ze ścisłym bełkotem Niemców: *Kraft-  
feld der Weltpolitik*. Na półkach spiżarki jeszcze niedawno spoczywały stare numery „Das  
Reich”. Zielnik tego bełkotu.

Polak, Nauka

Malinowski nie jeździł, by sprawdzać publicystów. Uczynił tylko coś podobnego, co  
Conrad. Kiedy Józef Korzeniowski zapragnął zostać żeglarzem i pisarzem mórz, wszedł  
do kultury, która panuje nad największą ilością oceanów. Bronisław Malinowski, kiedy  
zapragnął utwierdzić się w karierze socjologa, wszedł do kultury, która włada najbardziej  
zróżnicowanymi stopniami rozwoju człowieka. Od atolu Bikini po atol Nowego Jorku.  
Wiem, że nie atol. Logika stylistyczna nocy. Przez konary topoli przedziera się reflektor  
samochodu, uderza w okno; niknie, zapewne przypadł do jezdni.

Socjologowie są dzisiaj jedynymi ludźmi, którzy przechowali coś z dawnych marzeń  
o utraconym rajach ludzkości czy przynajmniej o nieskażonym stanie natury, w jakim  
Rousseau umieszczał człowieka. Stan nieskażony nie posiada jednak dla nich jakiegoś  
znaczenia etycznego. Po prostu oznacza, że stawiając pewne hipotezy naukowe należy  
słuszność ich sprawdzać u ludów pierwotnych. Formy miłości sprawdzać u ludów z mu-  
szelkami, a nie u ludów z zegarkami kieszonkowymi. Rodzina Europejczyka niczego nie  
uczy o praformach socjologicznych rodziny, rodzina Buszmena tak. Dawniej czynili to

również utopijni ekonomiści. Dawniej — to znaczy, póki nie powstały kartele, bo trudno na Tasmanii szukać ich załączków.

Dlatego to, by badać *Życie seksualne dzikich*, popłynął Malinowski w najbardziej zapa-  
dły kąt świata. Na lagunach trobriandzkich spędził dwa lata pierwszej wojny światowej.  
Gdyby nie krótkie napomknienia we wstępie dzieła, trudno by się domyślić, że właśnie  
w tych latach, kiedy młodzież europejska walczyła nad Sommą i Stochodem, na dalekich  
wyspach przygotowywał się materiał jej powojennych obyczajów. Malinowski pisze wy-  
raźnie: „Prosto i bez ogródek prosi się o spotkanie mające na celu li tylko zaspokojenie  
seksualne. Jeśli zaproszenie zostaje przyjęte, zadowolenie pragnień chłopca eliminuje ca-  
łą romantyczną nadbudowę, tęsknotę za nieosiągalnym i tajemniczym. Jeśli zaś zostanie  
odrzucone, nie ma miejsca na tragedię osobistą, chłopiec bowiem od dzieciństwa przy-  
wykł do tego, że jego pragnienia seksualne bywają częstokroć pokrzyżowane i że romans  
z inną dziewczyną szybko i skutecznie wyleczy go z takiej choroby”.

Latem 1942 roku pod laguny Wysp Salomona, archipelagu na tej mlecznej dro-  
dze wysp szczęśliwych, którą masyw Nowej Gwinei jak welon ciągnie za sobą po wo-  
dach oceanu, podpłynęli ludzie. „Lękiem radzi przejmować, gróźb pełni”. Działa okręto-  
we posiadają nośność i precyzję większą niż artyleria lądowa. Na wyspach, rezerwatach  
najdawniejszych form socjologicznych, wysiedli mieszkańcy atolu Nowego Jorku. Znad  
Wielkich Jezior również. Jak reagowali tubylcy na przygotowanie ogniowe przeprowa-  
dzone przez artylerię okrętową, nim do plaż dobiły gumowe łodzie (czy pluszczą? znów  
pluszcze dorożka) — tego nie wiemy. W czasie drugiej wojny światowej socjologowie  
też byli zmobilizowani. Dopiero w przyszłości opiszą nowe totemy i nowe tabu szczepów  
melanezyjskich. Nie ulega bowiem wątpliwości, że niewypał ciężkiego pocisku posiada  
wszelkie właściwości, by pozostać groźnym tabu. O nowych formach miłości napisał już  
Gauguin.

Naprzeciw japońskiej inwazji zagrażającej Australii wyszło przeciwuderzenie amery-  
kańskie. Już zimą tego samego roku, po upadku Singapuru, dywizje australijskie walczące  
w Afryce Północnej odpłynęły pospiesznie do ojczystej części świata. Mac Arthur wymy-  
kał się z twierdzy Corregidor bodajże na motorówce. Powracał w stalowym kadłubie,  
który jest bardzo honorowany, jeśli się znajdzie na dnie mórz, w Porcie Zatopionych  
Okrętów. Taki port odkrył w czasie drugiej wojny światowej jeden z pisarzy i lotników  
polskich, przebywający w Anglii. Odkrył słusznie. Bo niebo marynarzy jest na pewno na  
dnie wód. Tam Nelson rozmawia z Marlowem.

Tak się poczęły spełniać przepowiednie publicystów. W małym miasteczku byłej Ga-  
licji i Lodomerii, na starym atlasie (firma kartograficzna „Justus i Perthes” w Lipsku)  
palce chodziły po przestrzeniach pomiędzy Donem a Wołgą i Kaukazem. Później otwie-  
rały kartę Polinezji i Melanzji. Wyspy Ysabel, Choiseul, Bougainville, Guadalcanar leżą  
dla mnie zawsze na rzekach Kubań, Terek, Manycz, Kama. W rogu mapy widniał —  
dla porównania — kształt Austro-Węgier. Jakże małe były Austro-Węgry wobec No-  
wej Gwinei! Nie większe od znaczka z Franciszkiem Józefem, miłościwie i po apostołsku  
okupującym Bośnię i Hercegowinę. Najstarszy znaczek mojego dzieciństwa.

Również przebudowa współczesnego prawa konstytucyjnego rozpoczęła się na Pa-  
cyfiku. W niewiele lat później — pisaliśmy dotąd o lecie 1942 roku, niewiele lat potem  
oznacza rok ubiegły i obecny — na pobrzeżach tego oceanu zaszło zjawisko, którego skut-  
ki prawne nie dają się dotąd przewidzieć. Ani po wynalezieniu noża, ani po wynalezieniu  
prochu, nawet po pierwszym przelocie samolotu żaden z narodów nie wprowadził noża,  
prochu i samolotu do swojej konstytucji. Tymczasem po pierwszym użyciu bomby ato-  
mowej delegacja polska w Organizacji Narodów Zjednoczonych postawiła wniosek, ażeby  
wszystkie państwa wprowadziły do swoich konstytucji zakaz używania bomby atomowej.

Prawdopodobnie do wpisania odpowiedniego paragrafu nie dojdzie. Angielscy znaw-  
cy prawa konstytucyjnego udowodnią, że zwyczajowa forma tego prawa nie pozwala na  
wprowadzenie wynalazków do tekstów konstytucyjnych. Jeżeli lokomotywa Stephenso-  
na, oddana inicjatywie prywatnej, bynajmniej nie zaszkodziła rozwojowi kolei żelaznych  
na świecie, to... Można dodać na ich wytłumaczenie, że Wielka Brytania rządzi się bez  
konstytucji i aktu, który my tak nazywamy, nie posiada w swoim ustroju prawnym.

Ktokolwiek zetknął się z językoznawstwem, wie, co oznacza gwiazdka przy pewnym  
słowie. Na przykład: \**agni*. Jest to praindoeuropejska forma polskiego ogień, łacińskiego

Prawo, Państwo, Broń

Słowo, Nauka, Historia

*ignis*, litewskiego *ugnis* etc. Na przykład: \**elen*. Podobna forma greckiego *elofos*, rosyjskiego *oleń*, polskiego *jeleń*. Forma praindoeuropejska, czyli istniejąca w języku praindoeuropejskim. Ale czy taki język istniał kiedykolwiek rzeczywiście, czy istniał określony lud na określonym terytorium porozumiewający się za pomocą tych słów z gwiazdkami, od jakich się roi w dziełach językoznawców? Twierdzą oni, że tak. Kiedy odpowiadają tak, konieczność metodologiczną, która nakazuje sprowadzać słowa do wspólnych źródeł, utożsamiają niesłusznie z faktem historycznym.

Nie będziemy się z nimi spierać. Bo czy ktoś mówił czy nie słowami z gwiazdką, po ludzie takim nie przechowały się tabliczki klinowe, papirusy czy hieroglify. Nie zachowały się również płyty z nagraniem wymowy. (Szkoda. Pięknie byłoby usłyszeć Cyncerona z płyt. Zamieniłbym chętnie za głos Carusa<sup>84</sup>). Słów z gwiazdką nie usłyszymy już nigdy. Każde z nich pozostanie na zawsze słowem hipotetycznym i pomocniczym. Potrzebnym tylko po to, ażeby lingwiści podobne do siebie brzmienia słów mogli sprowadzać do jakiegoś wspólnego prabrzemienia. Słowo z gwiazdką zostało rzucone naszą zdolnością myślenia logicznego i niesprzecznego na jakiś niedający się bliżej oznaczyć ekran przeszłości. Jest dzieckiem metodologii, nie historii człowieka. I dlatego, że jest dzieckiem metodologii jedynie, przybierać może różne wyglądy. Te same słowa różni uczeni sprowadzają do odmiennych słów z gwiazdką: sama forma \**agni* nie jest całkowicie pewna. Spierają się przy tym namiętne, które słowo z gwiazdką jest prawdziwe, które mylne. Ponieważ ani na płycie gramofonowej, ani na hieroglifach sprawdzić się nie daje, spory ich bywają namiętne, jak spory średniowiecznych doktorów. Bo czy powszechniki są *ante rem*, czy *post rem*, to również się sprawdzić nie daje.

Ilekcję przeczytałem twierdzenie, że materia jest tylko specjalnie skupioną i sprężoną energią, ilekcję też ujrzałem formuły matematyczne oznaczające takie twierdzenie, myślałem: słowo z gwiazdką. Trochę trudniejsze słowo z gwiazdką. A kiedy zdarzyło się przeczytać, że noga stołka, na którym siedzę, gdyby wyzwolić zawartą w niej energię, zdolna jest zniszczyć... powiadałem sobie: oto przyrzekają mi puścić płytę z mową Demostenesa. Piszę ja, powiadam ja, ale tak sądziło na pewno dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich przyjaciół. Mam ich około stu, a tylko jeden matematyk powiadał niekiedy: pitagorejczycy mieli rację. Liczba sięga do jądra bytu. Wtedy zamiast słuchać sądziłem, że przechodzi on lekkie zaćmienie filozoficzne, szczególnie niebezpieczne u osób poświęcających się nauce ścisłej:

*Habe nun, ach! Philosophie,  
Juristerei und Medizin  
und leider auch Theologie  
durchaus studiert, mit heissem Bemühn.  
Da steh' ich nun, ich armer Tor!*<sup>85</sup>

Bolesław Miciński przypomina w *Portrecie Kanta* wypadek, jaki królewieckiemu filozofowi wydarzył się w ostatnich latach życia. Upadł na przechadźce. Przechodzące damy pomogły mu się podnieść. „Jakież może być niebezpieczeństwo przy upadku tak lekkiego ciała?” — pocieszył owe panie i jednej z nich ofiarował różę. Kant był beztroski, bo nie znał formuł współczesnej fizyki.

W Hiroszynie wybuchło zaledwie kilkanaście procent dającej się wyzwolić energii uranu. Cóż za marnotrawstwo! Na Bikini procent nie zmarnowanej energii był zapewne dużo większy. Atol Bikini zamieszkiwali tubylcy, których troskliwie wysiedlono. Nie byli już potrzebni do doświadczeń nad ludźmi, te przeprowadzono na Japończykach. Na Bikini wystarczyły kozy, łodzie podwodne i stare lotniskowce. Wysiedlonych tubylców można

<sup>84</sup>Caruso, Enrico (właśc. Errico; 1873–1921) — wł. śpiewak operowy z Neapolu, cieszący się światową sławą na pocz. XX w., zwany „królem tenorów”; od 1903 pierwszy tenor nowojorskiej Metropolitan Opera, występował na największych scenach (takich jak La Scala w Mediolanie, Covent Garden w Londynie, a także opery w Rzymie, Monte Carlo i Paryżu); jako pierwszy zaczął utrwalać swoje arie i kreacje repertuarowe na płytach gramofonowych. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Habe nun (...) armer Tor!* (niem.) — „Ach, oto wszystkie fakultety/ Przebyłem: filozofię, prawo/ I medycynę — i niestety/ Też teologię, pracą krwawą!/ A tyle przyniósł mi ten trud,/ Żem jest tak mądry jak i wprzód!” (Goethe, *Faust*; przekład Władysława Kościelskiego). [przypis autorski]

było oglądać na dodatkach filmowych i w pismach ilustrowanych. Ich królik miał kilka żon. Królowie w Europie nie posiadają nawet państw, a cóż dopiero kilku żon.

Patrząc na nagusów niepojmujących ani źdźbła z wydarzeń, które rozegrały się pod ich palmami, pomyślałem — i nocą Walpurgii widzę to jasno — że mniejsza była różnica pomiędzy Zeusem a zwykłym Grekiem aniżeli pomiędzy białym, który z formułą mającą wybuchnąć przybył na atol, a jego mieszkańcami. Mniejsza, aczkolwiek Zeus należał do gatunku bogów, zwykły Grek do gatunku ludzi; mieszkaniec Bikini i ekspert z Polski bawiący na pokazie, obydwaj do gatunku ludzi.

Cóż był zdolny uczynić Zeus? Nie ulegał Chronosowi, miał kobiety tyle co królik z Bikini, a kiedy znalazła się oporna, zdobywał się na podstęp ze złotym deszczem. Miał także władzę nad piorunami, ale ich nie wyrabiał. Niewiele. Nawet przez myśl mu nie przeszło, by zajrzeć w rachuby pitagorejczyków, by zainteresować się twierdzeniem o sumie boków w trójkącie. Sądził, naiwny, że matematyka zawsze służyć będzie budowie świątyń ku jego chwale.

Siła człowieka w dwóch wiekach cywilizacji maszynowej tak wzrosła, że jednym swoim ramieniem sięgnęła wyżej bogów. Jesteśmy sami. My, ludzie. Jesteśmy władcami naszego losu aż do jego tajemnic przypisywanych dotąd bogom. Znużona i przerażona ludzkość dzisiejsza cofa się przed tą pewnością. Sądzi, że bogom dana jest tylko władza śmierci nad drugimi, zapomniała w lęku, że dana im jest również władza nieśmiertelności nad sobą. Nie pamięta, że Zeus był nieśmiertelny po granice dostępne temu zjawisku. Żyjemy wśród nastrojów nowego końca świata. To kłamstwo. Końca świata nie będzie. To tylko noc Walpurgii jeszcze się nie skończyła i wśród ocalonych narodów błędzą jej zjawy.

Kiedy na Bikini miała spaść pierwsza bomba atomowa, byli tacy, co przepowiadali, że wzniecona wybuchem fala obiegnie świat i zniszczy lądy. Byli również zawiedzeni, kiedy to się nie stało. Znamy te głosy. Morzem Egejskim wstrząsa trzęsienie ziemi, syreny śpiewają spłoszone:

*Schäumend kehrt die Welle wieder,  
Fließt nicht mehr im Bett darnieder,  
Grund erhebt, das Wasser staucht,  
Kies und Ufer berstend raucht.  
Flüchten wir! Kommt alle, kommt!  
Niemand, dem das Wunder frommt.*

*Fort! ihr edlen frohen Gäste,  
Zu dem seeisch heitern Feste,  
Blinkend, wo die Zitterwellen,  
Ufer netzend, leise schwellen;  
Da, wo Luna doppelt leuchtet,  
Uns mit heil'gem Tau befeuchtet.  
Dort ein freibewegtes Leben,  
Hier ein ängstlich Erdebeben;  
Eile jeder Kluge fort!*

Bóg, Kondycja ludzka, Siła,  
Nauka, Broń, Wojna,  
Koniec świata, Wojna

Wielu pragnęłoby uciec jak syreny. Nie ma ucieczki. Staję u okna. Przepływa za nim droga twarz. I głos podnosi się ciągle słyszany. Większość starych topól w Polsce sadził Sobieski. Jadąc na odsiecz Wiednia. Czy te również?

Oswald Spengler był myślicielem często cytowanym po pierwszej wojnie światowej. Nazajutrz po podpisaniu traktatu wersalskiego dowodził upadku cywilizacji zachodniej i wiedział dokładnie, dlaczego upaść musi. Sprawa była prostsza. Ujął ją André Maurois w aforyzmie o tym mniej więcej brzmieniu: — Łatwiej Niemcom mówić o upadku cywilizacji zachodniej aniżeli się przyznać po prostu, że nie udało im się przejść w zwycięskiej defiladzie pod Łukiem Tryumfalnym w Paryżu.

W drugiej wojnie światowej Niemcy przeszli w takiej defiladzie. I tak przegrali. Ale — nie wszystko się powtarza. Role kasandrycznych wieszczek objęli ich zwycięzcy (od zachodniej strony). Maurois miał rację: skoro ulicami miast niemieckich poczęły masowo przeciągać SA-Fackelzug<sup>87</sup>, Spengler przestał się obawiać upadku naszej cywilizacji. — Duch pruski ją ocali — zapowiedział.

Termin kultura faustyczna, faustyczny rozpęd naszej cywilizacji, to jego ulubione słowo. Technika faustyczna, wola mocy nad naturą — znamy, dobrze znamy. Wiemy, co to znaczy, przełożone na język faustycznej polityki. Dzisiaj dopiero widzimy, jak niewiele ogniw brakowało, ażeby ten przekład dokonał się w zupełny sposób. Świat unikał końca świata, kiedy uczony niemiecki, przyszedł laureat Nobla, uciekał w ciągu wojny za granicę, by nie przykładać dalej ręki do faustycznego dzieła. Unikał go, kiedy garść dzielnych niszczyła w Norwegii zapasy ciężkiej wody gromadzone przez Niemców. Unikał, kiedy czołgi sowieckie najechały na Korei japońskie wytwórnie atomowe. Dlatego, kiedy wam mówią, że najgorsze jest jeszcze przed nami, pamiętajcie w każdej chwili zwątpienia, że najgorsze jest właśnie za nami. Pamiętajcie, że Goebbels nie kłamał ani na chwilę, kiedy wciąż dawał do zrozumienia, że Niemcy trzymają w zanadru nowe bronie.

Szatan, choć sobie mądrość i siłę przyznaje,  
Wie, że kłamie i wiary sam sobie nie daje;  
Dlatego rad wśród ludzi swoje kłamstwa szerzyć,  
By je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.

Tak napisał Mickiewicz. W tym jedynym wypadku szatan nie szerzył kłamstw po to, by sam w nie dopiero miał uwierzyć. Dlatego koniec świata jest za nami i staruszkowie mogą spokojnie podwiązywać pomidory w *Piosence o końcu świata* Miłosza.

Zostaliśmy uratowani na mocy prostego prawa fizycznego: prawa naczyń połączonych. Kiedy w jedną rurkę nalejesz wody wysoko, w drugą nisko i połączysz je, nie sądzić, że

<sup>86</sup>*Schäumend kehrt (...) um den Ort* — Fala wraca, drży i pieni,  
z pluskiem skacze nurt z łożyska,  
z dna najgłębszych nor i cieni  
rzeka żwirem na brzeg ciska.  
Uciekajmy — wszystkie siostry —  
grzmią podziemia — wicher ostry!

Uciekajmy! Na wesele  
w sennych jezior ciche tonie,  
kędy luska fal się ściele  
po kwiecistych brzegów błonie!  
Tam w poświęcie księżycowej  
rosa lśni jak diamenty —  
Naprzód! Naprzód! Na dzień nowy —  
tutaj straszy huk przeklęty,  
tutaj gniewy lżą złowrogie —  
naprzód w życie płynne, błogie!

Goethe, *Faust*; przekład Emila Zegadłowicza [przypis autorski]

<sup>87</sup>*SA-Fackelzug* — odbywający się po zmroku pochód z płonącymi pochodniami (*Fackelzug*) organizowany przez Oddziały Szturmowe NSDAP, tzw. *Sturmabteilung* (SA). [przypis edytorski]

Koniec świata, Klęska

Szatan, Kłamstwo

Obraz świata, Nauka



ta woda wysoka utrzyma się na swoim poziomie. Musi opaść. Kultura materialna i naukowa, moralna i filozoficzna tworzą całość naczyń połączonych. Nie można uprawiać techniki współmiernej do rozwoju i postępu ludzkości, a innym naczyniem komunikować się z barbarzyństwem. Nie można światopoglądem swoim tkwić poniżej myślenia mieszkańców Wysp Trobriandzkich. Bo ich pogląd na rzeczywistość jest dopasowany do ich doświadczeń. Nie można dzielić fizyki na aryjską i semicką, germańską i niegermańską. Nie można wyzbywać się mózgow w imię totemicznych przesądów, by błąd tutaj popełniony nie odcisnął się w miejscu, nieoczekiwanym. Fizyk żydowski po rasistowsku potraktowany zaważył więcej na władzy Hitlera nad światem niż niezmobilizowane w porę dywizje.

Zdarzało się niekiedy, że uczeni niemieccy w okresie hitleryzmu nie mogli się obejść bez zacytowania uczonych pochodzenia żydowskiego. Wtedy byli obowiązani przy zacytowanym nazwisku postawić gwiazdkę, by ostrzec czytelnika, że to nieczyste. Oto nowe użycie słów z gwiazdką: \*Einstein, \*Bergson, \*Freud, \*Kirschfeld. W odnowionym języku pragermańskim.

Ostatnia godzina nocy. Cisza jest głęboka. W zamkniętą przestrzeń pokoju przenika hejnał przed świtem. Miasto urosło. Niedaleko domu, gdzie mieszkam, jest ulica, z której narożnika Wyspiański malował serię pastelii z kopcem Kościuszki. W starym roczniku czasopisma Feliks Jasiński, Manggha<sup>88</sup> (kto jego dzieło czyta dzisiaj w Polsce? — kopalnia wiedzy, pomysłów, zachwyty) opisuje wizytę u Wyspiańskiego.

„Mrok zapada. Nad Krakowem, tonącym w błocie, cięży ponure, ołowiane niebo. Idę do Wyspiańskiego, uwięzionego dzięki okolicznościom i chorobie we wstrętnej kamienicy (ostatnia na prawo, narożna, przy torze kolejowym), przy wstrętnej ulicy — Krowoderskiej, na drugim piętrze. Artystę zastaję, jak zwykle, siedzącego przy stole umieszczonym na środku pokoju narożnego, o trzech oknach, z widokiem na tor kolejowy i kopiec Kościuszki... Pożegnałem go. Noc, deszcz, wicher. Płomyki latarń chwieją się, przygasają. Błoto chlupocze pod nogami ocierających się o ściany domów przechodniów, przytrzymujących trwożliwie, obiema rękami, szarpane przez wściekłe podmuchy wiatru parasole”.

Tak wyglądała wczorajsza noc krakowskiej jesieni. Ojciec młodego Józefa Korzeniowskiego, Apollo, i ojciec młodego Stanisława Wyspiańskiego, Franciszek, byli sąsiadami. Przy ulicy Poselskiej. O czym rozmawiali?

Od miesięcy otrzymujemy prasę zagraniczną i ze zdumieniem widzimy, ile miejsca zajmują tam roztrząsania na temat energii atomowej, wizje, przepowiednie, lęki, wołania o ratunek. Jak pojąć ten lęk u narodów, których dyplomacja rości sobie równocześnie pretensje do wyłączności w używaniu energii atomowej jako środka dyplomatycznego? Jak pojąć lęk człowieka, który wynalazłszy nóż drży ze strachu, by się nie zaciął? Daleko do upadku cywilizacji ludzkiej, a tyłu Faustów zasiadło na ruinach i płacze głosami jerozolimskich płaczek. Nie wiedzą, że nawet ze zburzonej Warszawy można przywieźć czarno oprawny egzemplarz i mieć przewodnika dla nocnej myśli.

Logika myśli nocnych. Nie zdarza się w ciągu dnia rozmawiać wiele o bombie atomowej. Snuć eschatologiczne pomysły. Nasi poeci czynili to przed wojną. My sami zbyt blisko byliśmy otchłani, by jeszcze powoływać ją do życia w naszej wyobraźni. Katastrofistami są pijacy, katastrofistami są szabrownicy. Nie wiedzą, czy świat potrafi jeszcze dwa tygodnie, i zarabiają, póki czas. Ale Freud ma słuszność. Sprawy niewyżyte na jawie powracają w snach. Powracają nawet w snach myśli, by ulec oczyszczeniu. Oto noc dobiega świtu. Nad bliskimi dachami niebo staje się rozciągnięte, konary topól czarniejsze.

Wschody i zachody słońca nie układają się w poezji równomiernie. Do początków romantyzmu wschodów słońca było wiele. U końca XIX wieku górują już zachody. Rzadko napotkasz poetę, który własnymi oczyma oglądał Jutrzenkę Różanopalcą. Blednieje nieboskłon, wynikają zarysy obłoków. Świt czekał nocą chmurny.

Wschody i zachody słońca w poezji nie zależą od technik poetyckich ani też od świadomych upodobań. Dla ludzi naszej doby świt jest końcem nocy, nie jest początkiem

<sup>88</sup>Feliks Jasiński, pseud. Manggha (1861–1929) — krytyk sztuki, kolekcjoner (m.in. zbiorów sztuki japońskiej przekazanej Muzeum Narodowemu w Krakowie); publikował w „Chimerze”, „Miesięczniku Literackim i Artystycznym”, „Lamusic”, „Krytyce”, „Wędrowcu” i in.; autor zbioru esejów *Manggha. Promenades à travers les mondes, l'art et les idées* (1901); mecenas sztuki, promotor modernizmu. [przypis edytorski]

dnia. Nastaje po zmęczeniu i nie pozwala się dostrzec jako zapowiedź. Świt człowieka miejskiego. Wschody słońca dostrzegali ludzie, dla których naprawdę były one początkiem dnia. Za czasów Mickiewicza wykłady rozpoczynały się latem o szóstej rano. Tacy poeci widzą wschody słońca.

Posłuchajcie uważnie urywka przedziwnego liryku Słowackiego: „Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają...”. Nie ma ich w mieście. Sąsiad Kanta posiadał koguta, który swoim pianiem budził starego filozofa. Kant chciał koguta odkupić, sąsiad się nie zgodził. Kant rzekł na to: „Pan ma uszy zwyczajne, ja mam słuch metafizyczny”.

Dźwięk, Ptak, Filozof,  
Sąsiad

Pan mię wtenczas na rannym świtanu  
Za bladymi gdzieś słucha niebiosy,  
Serce się moje roztapia w śpiewaniu,  
Sny ostatnie — przechodzą przez włosy.

Zatem poeta spał i budzi się. Chociaż? A może snami nazywa myśli myślane nocą?  
Świt, koniec nocy. Egzemplarz *Fausta* otwieram na stronie, jaka się sama rozłoży. Oto śpiewają Parki:

*Könnt ich einmal mich vergessen,  
Wär' es um die Welt mir bang,  
Stunde zählen, Jahre messen,  
Und der Weber nimmt den Strang*<sup>89</sup>.

Uprędaś noc, Lachesis. Niech siostry twoje pręda dni. W topole wniknął promień — już jesień.

1946 r.

---

<sup>89</sup>*Könnt ich einmal (...) den Strang* — „Trwam uważnie na tej straży/ chociaż świat się przeinacza — / — aż się koło me przeważy/ wołą wieczystego tkacza” (Goethe, *Faust*; przekład Emila Zegadłowicza). [przypis autorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*. Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wyka-zycie-na-niby>

Tekst opracowany na podstawie: Kazimierz Wyka, *Życie na niby*, Książka i wiedza, Warszawa 1957.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Railway line, Machynlleth, Joybot@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5562-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do *Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur* i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).